

A person in a dark suit is silhouetted against a window, holding a large, curved knife. The scene is dimly lit, with light streaming through the window panes, creating a dramatic and ominous atmosphere. The person's face is not visible, only their hand and the knife are clearly defined.

**ALEX
KAVA**

PRZEDSMIAK ZŁA

Alex Kava

Przedsmak zła

Tłumaczenie:
Katarzyna Ciężyńska

Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty

Rozdział czterdziesty

Rozdział czterdziesty pierwszy

Rozdział czterdziesty drugi

Rozdział czterdziesty trzeci

Rozdział czterdziesty czwarty

Rozdział czterdziesty piąty

Rozdział czterdziesty szósty

Rozdział czterdziesty siódmy

Rozdział czterdziesty ósmy

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rozdział pięćdziesiąty

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Rozdział sześćdziesiąty

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

Rozdział siedemdziesiąty

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

Rozdział siedemdziesiąty drugi

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

Rozdział siedemdziesiąty piąty

Rozdział siedemdziesiąty szósty

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

Rozdział osiemdziesiąty

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

Rozdział osiemdziesiąty drugi

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

Rozdział osiemdziesiąty piąty

Rozdział osiemdziesiąty szósty

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

*Pamięci Patti El-Kachouti
(28.12.1954 – 13.11.2016)*

Twoja dobroć i odwaga zawsze będą dla mnie inspiracją

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hrabstwo Shenandoah, Wirginia

Z czoła skapywał mu pot, ale i tak siłą woli zwiększył tempo. Był w dobrej formie, po prostu wyszedł z wprawy. Podniecenie i adrenalina przyspieszały mu tętno. Znał na pamięć ukryte w głębi lasu ścieżki, tyle że dawno już tu nie polował.

W dole, w pobliżu potoku, wznosiły się okazałe dęby, ale tu, na górze, sosny rosły tak gęsto, że musiał się między nimi przeciskać. Kusza wydawała się cięższa niż zwykle. To przez nią poruszał się wolniej, chociaż przewiesił pasek przez głowę i lewe ramię, by broń znalazła się na plecach. Ale i tak kusza zahaczała o niższe gałęzie, szarpiąc go do tyłu. Powtarzał sobie, że robił to dziesiątki razy, tylko trochę zardzewiał. Każdemu może się zdarzyć. Najważniejsze, że kusza była nowa i lepsza niż poprzednia. Działała szybciej i była wyposażona w laserowy celownik.

Sprzedawca w sklepie sportowym zapewnił go, że od trzydziestu czterech do pięćdziesięciu siedmiu kilogramów siły naciągu to więcej niż dość, by trafić jelenia wirginijskiego ze średniej odległości.

- Jak szybko? - spytał.

- Wystarczająco szybko. - Sprzedawca spojrzał na niego, jakby miał do czynienia ze zwykłym klientem, a nie z doświadczonym myśliwym.

- Potrzebuję takiej siły naciągu, żeby prędkość wylotowa

wynosiła co najmniej dziewięćdziesiąt jeden metrów na sekundę. Dzięki temu strzała zyska wystarczająco dużo energii kinetycznej, żeby zredukować trajektorię, zwiększyć precyzję strzału i gładko trafić ofiarę.

Dopiero wtedy sprzedawca spojrzął na niego z szacunkiem, powoli rozjaśniając twarz w uśmiechu.

- W stanie Wirginia nie obowiązują żadne regulaminowe minimum ani maksimum dla siły naciągu - odparł.

- Więcej znaczy szybciej.

- Zgadza się, proszę pana.

- Więc przejdźmy do dwustu.

Sprzedawca znów się uśmiechnął i skinął głową. Już wiedział, że ma do czynienia z nie byle jakim myśliwym.

Przeciętni szarzy ludzie często są niedoceniani. Zwykle uważał za dar losu, że postrzegano go jako szarego człowieka. Cieszył się, że się nie wyróżniał. Inni wkładali zbyt wiele wysiłku w to, żeby ich zauważono, natomiast on postępował przeciwnie, robił, co w jego mocy, by zniknąć w tłumie albo - jak w tym przypadku - by dopasować się do otoczenia.

Niczym opadające z nieba smużki chmur pojawiła się mgła. Na płaskim terenie jego posuwiste kroki, kiedy szedł po sosnowych igłach, brzmiały raczej jak popiskujące w zabawie wiewiórki niż groźne kroki tropiącego drapieżnika. Znajdując się na górze, już zyskiwał przewagę, ale doświadczony myśliwy powinien znać swoją ofiarę. Przewidzieć każdy jej ruch. Od wielu dni prowadził obserwację. To miejsce przy potoku było bezpieczną przystanią. Po kamieniach spływała krystalicznie czysta woda. To było idealne miejsce do zaspokojenia pragnienia.

Dzień wcześniej znalazł informacje o tym terenie i zabrał się do pracy. Zbudował solidną jak skała podporę, na której mógł oprzeć

kuszę. Kiedy uklęknął, widział wszystko idealnie. Przed wyruszeniem w drogę odciągnął kurek, pewien, że trzy wbudowane mechanizmy zabezpieczające zapobiegną strzelaniu na sucho. Teraz wystarczyło naciągnąć cięciwę, położyć palec na spuście, wycelować.

I czekać.

Nie musiał długo czekać. Przez mgłę dojrzał w dole jakiś ruch. Uśmiechnął się pod nosem. Wystarczyły trzy dni i nawet tam, w środku lasu, rodziła się skłonność do pewnej rutyny. Działanie według ustalonych wzorów dawało poczucie komfortu, mogło zażegnać niebezpieczeństwo. Tyle że jednocześnie ten, kto działa rutynowo, staje się przewidywalny.

Jego tętno znów zaczęło szaleć. Włoski na karku stanęły mu dęba. Zdawało się, że zakończenia nerwów ożyły, kiedy tak trwał w pozycji gotowy do strzału. Tego właśnie zbyt długo mu brakowało. Tego fantastycznego podniecenia, które rozpała wszystkie zmysły.

Trzymał palce na miejscu, w pogotowiu, i patrzył przez celownik.

Sekundy zamieniały się w minuty.

Cierpliwości, powiedział sobie, starając się ignorować spływającą po plecach strużkę potu. Ani drgnął. Nawet nie mrugnął. Patrzył, jak cel powoli przesuwa się w siatce celownika. Mgła zgęstniała, utrudniając widzenie, lecz on skupił się na jednej plamie koloru, którą rozpoznał, na której polegał.

Wycelował, wstrzymując oddech. Wiedział, że ma tylko jedną szansę.

Bezbłędna wiązka laserowa.

Patrzył, jak strzała trafiła do celu. Precyzyjnie, prosto w nogę.

Znów się uśmiechnął.

Trzy dni wcześniej, kiedy gra się zaczęła, powiedział tej kobiecie, że pewnie pożałuje zakupu pomarańczowych odbłaskowych butów do biegania.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ DRUGI

Quantico, Wirginia

Agentka specjalna Maggie O'Dell wymknęła się do swojego małego, zagraconego pokoju i zamknęła drzwi. Koperta, którą trzymała pod pachą, była wypchana i grubsza, niż się spodziewała. Zirytowała się, czując lekki skok adrenaliny. Przynajmniej zdawała sobie sprawę, że ekscytowanie się zawartością przesyłki było jednak czymś dziwnym. Ktoś mógłby nawet uznać, że chorobliwym.

Od kilku lat funkcjonariusze służb ochrony porządku publicznego z całego kraju przesyłali jej informacje dotyczące spraw, których nie byli w stanie rozwikłać. Zazwyczaj nie przysyłali zbyt wiele - skrawki dowodów, niewyraźne polaroidy i niepełne kopie raportów koronera - a wszystko to z nadzieją, że Maggie cały ten bałagan poskłada niczym fragmenty układanki i stworzy logiczną całość.

W większości przypadków udawało jej się opracować wyczerpujący profil psychologiczny sprawcy. Co więcej, robiła to, nie będąc na miejscu zbrodni. W ciągu minionych dwudziestu sześciu miesięcy w małym pokoju w czeluściach Wydziału Badań Behawioralnych FBI przygotowała profile psychologiczne, które pomogły zatrzymać i aresztować ośmiu - a przypuszczalnie nawet dziewięciu - morderców. O'Dell zyskała renome, ale sukces pociągnął za sobą taką liczbę próśb o pomoc, z którą trudno jej było sobie poradzić.

Ostatnio stale nosiła przy sobie co najmniej jedną teczkę z dokumentami. Podczas lunchu, pomiędzy spotkaniami czy w domu skulona na sofie kartkowała, przeglądała, raz jeszcze sprawdzała, szukała czegoś, co mogło jej umknąć. Zajmowało jej to niemal cały czas. Greg, mąż Maggie, oskarżył ją, że jest opętana pracą. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zaczęła się obawiać, że Greg może mieć rację. Tego dnia tak się śpieszyła, by poznać szczegóły nowej sprawy, że nawet nie zjadła lunchu.

To fakt, że właśnie dzięki niej wielu morderców straciło szansę na powiększenie listy swych ofiar. Każda pomyślnie zakończona sprawa dawała jej poczucie swoistej mocy. Ale z tą mocą łączyła się ogromna odpowiedzialność, a także równie wielkie zobowiązanie wobec tych, którzy oczekiwali od niej wsparcia. Do tego stopnia, że nie chciała odrzucić żadnej prośby, nie znosiła dokonywać selekcji, wybierać i odrzucać. Niestety – a może na szczęście dla jej psychicznego i fizycznego zdrowia – jej szef, zastępca dyrektora Cunningham, wprowadził pewne ograniczenia.

- Musi pani od czasu do czasu odpocząć, agentko O'Dell – powiedział, gdy zaczynała pracę. – Nie mogę dopuścić do tego, żeby się pani wypaliła przed trzydziestką.

Maggie niby pamiętała te słowa, ale teraz, gdy znalazła się sama w swoim pokoju, niecierpliwie otworzyła kopertę i wysunęła jej zawartość na biurko. Jej wzrok natychmiast przykuły zdjęcia. To nie były nieostre polaroidy. Na zbliżeniu karku ofiary zobaczyła coś, co mogło być otarciem po sznurze. Na kolejnym zdjęciu widniały ślady po ugryzieniu, czerwone wylewy na miękkiej wewnętrznej części ramienia.

Nie sięgnęła po żadne ze zdjęć, by się przyjrzeć z bliska. Zostawiła je tak, jak się ułożyły, wysuwając się z koperty wraz

z innymi dokumentami. Cofnęła się, wsparła ręce na biodrach i przekrzywiła głowę, próbując ogarnąć wzrokiem je wszystkie.

Po chwili skupiła się na raporcie koronera, nie biorąc go do ręki. Przebiegła wzrokiem pierwszą stronę od początku do środka, aż znalazła to, czego szukała. Denat nazywał się David Robards, lat dwadzieścia jeden, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, sześćdziesiąt osiem kilogramów wagi.

W raporcie z autopsji przyczynę śmierci określono jako „nierozstrzygniętą”. Ale Maggie już wiedziała, że pierwsze raporty policyjne mówiły o „utonięciu związanym z alkoholem”. Tylko tyle informacji zgodziła się przyjąć od detektywa Michaela Hogana. Nie krył zdumienia, kiedy go powstrzymała przed przekazaniem większej liczby szczegółów.

- Najpierw muszę obejrzeć zdjęcia - wyjaśniła. - Kiedy będziemy rozmawiać następnym razem, poproszę, żeby mi pan w taki sposób opowiedział o miejscu zbrodni, jakbym tam była obok pana.

Hogan zgodził się bez słowa sprzeciwu. Wszyscy tak robili. Gdy o tym myślała, dziwiła się, że tak niewielu z nich kwestionuje metody jej pracy, zupełnie jakby była jasnowidząca, a oni nie śmieli zakłócać magii, której nie rozumieli, ale którą szanowali.

Była pod wrażeniem, może nawet zbyt podekscytowana tym, że Hogan przesłał jej wyjątkowo bogatą dokumentację sprawy, sporo zdjęć, a nawet kilka plastikowym woreczków z dowodami. Zazwyczaj dostawała znacznie mniej.

Zanim jednak na dobre zajęła się przesyłką, raz jeszcze wróciła pamięcią do znanych już jej szczegółów. David Robards był jedną z trzech ofiar, które znaleziono w ciągu dziewięciu miesięcy. Wszystkimi ofiarami byli młodzi biali mężczyźni, studenci college'u, choć z różnych uniwersytetów. Każdy z nich przed

zaginięciem bawił się i pił z przyjaciółmi. Ich ciała znaleziono w rzece wiele dni, a czasami tygodni później.

Zerknęła na wybór zdjęć. Słowa „związane z alkoholem” nie wyjaśniały otarć po sznurze na karku Robardsa ani tego, co wyglądało na ślad po ugryzieniu na wewnętrznej stronie ramienia.

Na dźwięk stukania do drzwi wzdrygnęła się.

- Proszę - powiedziała, choć tak naprawdę miała ochotę powiedzieć „odejź”.

Preston Turner uchylił drzwi na tyle, by wsadzić do środka dużą głowę i prawe ramię. Kojarzył się Maggie z futbolistą grającym na obronie, który zabójczą szarżą może zmiażdżyć napastników drużyny przeciwnej. Była pewna, że gdyby tylko miał taką fantazję, mógłby do niej wejść bez pukania, po prostu wyłamując drzwi.

- O'Dell, rety, cieszę się, że jesteś - powiedział z uśmiechem. - Delaney ma jakąś rodzinną sprawę. Chciałabyś pojechać ze mną na autopsję?

Zawahała się nie dlatego, że jej przeszkodził, ale z powodu niespodziewanego zaproszenia. Żaden z agentów nigdy jej nie prosił, żeby mu towarzyszyła.

- Jasne - odparła nonszalanckim tonem, bo tak mówili koledzy, więc i ona powinna. Z tego samego powodu spytała: - Może po drodze zatrzymamy się i coś kupimy na lunch? - Podczas tej rozmowy chowała materiały od Hogana z powrotem do dużej koperty, stojąc do Turnera tyłem.

- Bardzo zabawne, O'Dell. Więc Delaney już dał ci cynk.

- Jaki cynk?

- Powiedział, że nie znoszę autopsji.

Odwróciła się i spojrzała na niego, i dopiero teraz zobaczyła

jego zaciśnięte zęby i prawą dłoń kurczowo trzymająca klamkę. Agenci Turner i Delaney traktowali ją jak młodszą siostrę, odkąd pomogła im rozwikłać ciągnącą się od trzech lat sprawę seryjnego podpalacza. W minionym tygodniu zaprosili ją nawet w bufecie do tak bardzo pożądanego „męskiego stolika”, gdzie jedli lunch z trzema innymi kolegami. Delaney wpadł do niej parę razy, żeby spytać, nad czym pracuje.

Nie miała nic przeciw. Obaj byli szanowanymi agentami, poza tym Maggie było miło, że w zdominowanym przez mężczyzn wydziale są i tacy koledzy, których bardziej interesuje jej talent profilerki niż to, jak wygląda w granatowym kostiumie ze spodniami. A jednak nigdy by nie zgadła, że Preston Turner, czarujący twardziel, źle znosi autopsje.

- Delaney nic mi nie mówił.

- Nie? Uhm. - Turner udawał, że to nic takiego, i zerknął na zegarek, jakby nagle czas stał się bardzo ważny.

- Nie jadłam lunchu - wyjaśniła.

- Okej, w takim razie gdzieś się zatrzymamy i kupimy ci coś do jedzenia. - Przytrzymał dla niej drzwi. - Prawdę mówiąc, jakoś się nie zmartwię, jeśli trochę się spóźnimy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Hrabstwo Warren, Wirginia

Wybrał inny zjazd z międzystanowej. Kiedy człowiek nabiera zbytnej pewności siebie i jeździ stale tą samą drogą, nigdy nie kończy się to dobrze. Chociaż z drugiej strony patrząc, obecnie był bardziej uzależniony od GPS-u, niż sobie tego życzył. Tak czy inaczej, życie to ciągle ryzyko i dostrzeganie okazji, które inni mijają, bezmyślnie jadąc dalej. Coś o tym wiedział, bo nieprzewidywalne zachowania zawsze mu się opłacały.

Aż do tej pory.

Po dziesięciu minutach jazdy po asfaltowej dwupasmówce w tylnym lusterku zobaczył radiowóz. Odruchowo zerknął na prędkościomierz. Jeśli w ogóle przekroczył dozwoloną prędkość, to najwyżej o trzy kilometry na godzinę. Mimo to gdy znów podniósł wzrok, w lusterku ujrzał mrugające światła radiowozu pędzącego tuż za nim.

To idiotyczne. Nie zrobił nic, co dałoby im prawo do takiego zachowania. Było też o wiele za wcześnie, by zgłoszono kradzież samochodu. Zwolnił i ostrożnie, tylko dwoma kołami, zjechał z asfaltu na błotniste pobocze.

Nadstawił uszu, wstrzymując oddech, i siedział absolutnie nieruchomo. Nie szukał nerwowo prawa jazdy, nie sięgnął do przegródki na rękawiczki, gdzie niektórzy właściciele samochodów trzymają dowód rejestracyjny. W każdym razie liczył, że akurat ten właściciel właśnie tam go trzymał. Zamiast

tego siedział nieruchomo, nasłuchując jakichś nadzwyczajnych dźwięków, i patrzył w boczne lustro. Widział, że dupek się nie śpieszy. Czy chodziło o numer rejestracyjny, który temu gliniarzowi z czymś się skojarzył? Wreszcie policjant wysiadł z radiowozu i dumnie ruszył w jego stronę.

Znał ten krok. Uniform opięty na piersi i ramionach dla podkreślenia mięśni, nad którymi tak ciężko pracował. Naciągnięte na czoło rondo kapelusza, tak że niemal dotykało oprawy okularów. Powstrzymał złośliwy uśmiech, kiedy zauważył, że to okulary lustrzanki. No jasne, nie mogło być inaczej. To wszystko wchodziło w skład ich szkolenia. Kurs podstawowy: jak zaznaczać swój autorytet.

Czekał, aż dupek znajdzie się o krok od drzwi jego samochodu, dopiero wtedy nacisnął przycisk opuszczający szybę w oknie.

- Dobry wieczór, panie oficerze - powiedział z szacunkiem.

Te słowa zaskoczyły policjanta. Większość ludzi natychmiast nerwowo się dopytuje, o jaką przewinę chodzi, i z góry zaprzecza wszystkim oskarżeniom. Przyjaźnie nastawiony, a nie konfrontacyjny czy broniący się atakiem kierowca? To było nieprzewidywalne.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Rzeczowy i wymagający aż do granic nieuprzejmości. Dupek sądził pewnie, że znów podkreślił swoją pozycję, tymczasem tak naprawdę się odsłonił. Właśnie udowodnił, że poziom jego pewności siebie nie jest na tyle wysoki, by pozwolił wymienić z kierowcą przyjazne powitanie, nie naruszając przy tym jakże cennego policyjnego autorytetu.

- Tak, sir.

Powoli wyjmował portfel z kieszeni kurtki. Wykonywał bardzo spokojne i przemyślane ruchy. Nie chciał, żeby policjant nagle

poczuł się zagrożony zbyt gwałtownym gestem, który mógł źle zinterpretować. Wyjął prawo jazdy i podał policjantowi. Dokument był fałszywy, ale profesjonalnie podrobiony i mógłby oszukać nawet cyfrowy skaner. Znajdowało się w nim jedno z wielu nazwisk, którymi się posługiwał, i zdjęcie odpowiadające jego obecnemu wyglądowi. Nieszkodliwy przeciętny facet w średnim wieku.

Faktem było, że od lat nie używał swojego prawdziwego nazwiska. Tylko paru ludzi wciąż go znało jako Alberta Stucky'ego, ale nawet oni by go nie rozpoznali, bo z każdym nowym nazwiskiem, z każdą nowo przybraną tożsamością, zmieniał też swoją powierzchowność. Był niczym kameleon, który zrzuca skórę i staje się nową osobą. Trzy tygodnie wcześniej był ślepy i mocno kulejącym weteranem.

Za to z dowodem rejestracyjnym może mu pójść trudniej.

- Czy mogę wyjąć dowód rejestracyjny z przegródki na rękawiczki? - spytał, zanim wyciągnął rękę.

- Niech pan wyjmie.

- To samochód przyjaciółki - wyjaśnił, otwierając przegródkę. On tylko informował dobrego policjanta. Nie było w tym cienia wymówki, nie miał powodu się bronić. - Nie lubi zostawiać go na lotnisku, więc często ją odwożę, a potem zabieram samochód.

Pod paczkami chusteczek higienicznych i trzema szminkami znalazł papier, który rozpoznał jako dowód rejestracyjny. Wyjmując dokument, zerknął na niego i zanotował w pamięci adres oraz imię i nazwisko. A więc właścicielką auta była Susan R. Fuller. Jakoś dotąd nie znał jej nazwiska, choć wiedział o niej to i owo.

Zostawił przegródkę otwartą, żeby pokazać, że nie ma nic do ukrycia, potem usiadł prosto i podał dokument przez otwarte

okno.

Nie zdejmując okularów, policjant przyjrzał się prawu jazdy i sprawdził dowód rejestracyjny.

- Dokąd poleciała?

- Słucham?

- Pana przyjaciółka.

Nie spodziewał się tego pytania.

- Na Florydę, do Fort Lauderdale.

- Na wakacje?

Musiał szybko myśleć, bo gliniarz był dobry. Niedopowiedziane pytanie brzmiało: Skoro jesteś jej przyjacielem, to czemu nie pojechałeś z nią na wakacje?

- Nie, niestety w interesach.

Kapelusz policjanta przesunął się do tyłu, ale z powodu okularów Stucky i tak nie był w stanie stwierdzić, czy gliniarz wciąż czytał dokumenty, czy może szukał jakiejś wskazówki. Czegoś, co by go upewniło, że ten kierowca kłamie.

- Co to za interesy?

- Słucham?

- Czym się zajmuje ta pani?

- Susie jest właścicielką małego butik w Gainesville. Bizuteria, kolorowe apaszki, tego rodzaju rzeczy. Wie pan, gdzie jest Red Lobster? - Prawdę mówiąc, pracowała w cukierni obok butik, ale sztuka polegała na tym, żeby gościa trochę zaskoczyć. Odwrócić role. Zadać mu pytanie kompletnie niezwiązane z bieżącą sytuacją. Gość zacznie główkować, gdzie jest Red Lobster. Ale Stucky nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej: - To jest w takim wypasionym centrum handlowym dla zamożniejszej klienteli przy drodze międzystanowej. Pewnie pan tamtędy przejeżdżał. - Miał nadzieję, że policjant nie zwrócił uwagi na

butik z damskimi dodatkami ani nie miał żadnego powodu bywać w tamtej eleganckiej okolicy, gdzie rzadko dochodziło do incydentów wymagających policyjnej interwencji.

Ku jego zdumieniu policjant oddał mu dowód rejestracyjny, ale zatrzymał prawo jazdy. Wskazał ręką na tył samochodu.

- Jedno z tylnych czerwonych świateł nie działa. Będę musiał wystawić panu mandat.

Stucky powstrzymał się przed powiedzeniem: „Ale to przecież nie jest nawet mój samochód”. Zamiast tego patrzył, jak policjant maszeruje z powrotem do radiowozu. Teraz już każdy jego nerw był w pogotowiu.

Wiedział, że dupek chciał sprawdzić numery tablicy rejestracyjnej, i co gorsza, prawo jazdy. Nieważne, czy uwierzył w jego historię lub choćby jej część. Nadal chciał, żeby Stucky się pocił, zamierzał mocniej go przycisnąć, przekonać się, czy zdoła go złamać.

Sukinsyn.

Prawo jazdy było pewne. Musi się uspokoić. Zawsze dbał o to, żeby mieć kartę kredytową i prawo jazdy na to samo nazwisko. Łatwo było je zdobyć. Tym razem postarał się nawet o kartę biblioteczną. Kiedy indziej dołączał kartę członkowską Costo albo Sam's Club. Starał się wprowadzać pewne zmiany, żeby nie poczuć się zbyt bezpiecznie i nie lekceważyć przeciwnika. To stanowiło element jego głównej zasady, wedle której należy być nieprzewidywalnym.

Tymczasem policjant właśnie do niego wracał.

Stucky przekrzywił głowę i nadstawił uszu. Cisza. Nie był jednak pewien, jak długo to jeszcze potrwa. Przez te cholerne okulary lustrzanki nie mógł spojrzeć policjantowi w oczy i nie wiedział, co może go spotkać. Bądź cierpliwy, mówił sobie.

I gotowy. Obcasem prawego buta postukał w nóż myśliwski schowany pod siedzeniem kierowcy. Obecność tego przedmiotu sprawiła, że był już całkiem spokojny, gdy policjant stanął z powrotem przy drzwiach samochodu.

Potem bez słowa podał mu prawo jazdy... oraz mandat.

Kiedy Stucky wziął od niego jedno i drugie, uwagę policjanta przyciągnęło coś innego. Odwrócił się i spojrzał w stronę radiowozu. Stucky skorzystał z okazji i zerknął na jego identyfikator, powściągając uśmiech.

Pan Twardziel zasłużył na swoje nazwisko.

Przesunął się, żeby spojrzeć w boczne lusterko, zaciekawiony, co takiego zwróciło uwagę tego dupka. Zbliżał się jakiś samochód. Pierwszy, jaki Stucky napotkał, odkąd zjechał z międzystanowej.

Policjant najwyraźniej z nim skończył, a jednak nadal stał w miejscu i nie sprawiał wrażenia, że zamierza odejść. Co więcej, Stucky dostrzegł w nim cień niepokoju. Widział to w jego zaciśniętej szczęce, zdawało się niemal, że zgrzytał zębami. Stucky zerknął znów w boczne lusterko. To była czarna furgonetka, ale nie wyglądała na to, by pędziła zbyt szybko. Mimo to przyciągnęła uwagę policjanta, jakby się jej spodziewał.

Furgonetka zwolniła tylko trochę, zjeżdżając na drugi pas, żeby szerokim łukiem ominąć policjanta i samochód stojący na poboczu. Stucky patrzył na twarz dupka. Wreszcie zobaczył jego oczy za okularami. Zaintrygował go dojrzany w nich cień złości. Do tego stopnia skupił się na dupku, że kiedy furgonetka ich mijiała, zdążył dostrzec niewiele więcej niż długie jasne włosy za oknem pasażera.

Policjant dopiero po chwili przypomniał sobie, że zatrzymał samochód na poboczu. Zastukał knykциями w drzwi auta, dając

Stucky'emu znak, że jest wolny.

- Niech pan jedzie. - Znów panował nad sobą, a przynajmniej udawał, że ma wszystko pod kontrolą.

Kiedy Stucky włączył bieg, zobaczył, że policjant ogląda się przez ramię i wciąż patrzy na tylne światła furgonetki, które mrugnęły, a potem zniknęły za zakrętem. Stucky ruszył, zanim policjant wsiadł do radiowozu. Szybko przyśpieszył, nie przekraczając dozwolonej prędkości, żeby się od niego oddalić. Za zakrętem spojrzął w lusterko i już nie widział radiowozu. O mały włos nie minął starej polnej drogi po drugiej stronie linii drzew.

Zatrzymał się po krótkim poślizgu i spojrzął w boczne lusterko. Cofnął się na drogę gruntową, plując ziemią w błotniki, aż nabrał pewności, że jego samochód jest niewidoczny z dwupasmówki, bo zasłoniły go sosny.

Potem czekał.

Chciał się przekonać, co, do diabła, zdenerwowało policjanta. Coś mu mówiło, że pod gładkim mundurem kryje się jakaś historia. Nie wspominając o tym, że dupek omal go nie złapał, co poważnie rozzłościło Stucky'ego. Za to wraz z ulgą, że jednak się wymknął, przyszło poczucie mocy. Poczucie, że jest się niezwyciężonym.

Miał ochotę powiedzieć dupkowi:

- Nie odkryłeś mojego sekretu, ale może ja poznam twój.

Zanim zacznie się martwić, miał jeszcze parę godzin. Zresztą nigdzie się nie śpieszył. Mimo to przekrzywił głowę i nasłuchiwał, obserwując drogę. Spodziewał się, że radiowóz pojawi się lada moment. Susan R. Fuller nigdzie się nie wybierała. Zastrzyk zadziałał jak zwykle. Poza tym, że to ona musiała wykopać tylne czerwone światło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Richmond, Wirginia

- No, no! Ona jest naprawdę niezłe poharatana!

To były pierwsze słowa Turnera, kiedy zajechali na miejsce. Żadnego powitania, żadnych przeprosin za spóźnienie. Zerknąwszy na ciało, Maggie zdała sobie sprawę, że słowa Turnera to niedopowiedzenie, zanim jeszcze koroner spojrzał na nich wilkiem znad połówkowych okularów. Spóźnili się dwadzieścia minut, chociaż w fast foodzie dla kierowców spędzili tylko pięć.

- Na pewno nie ma mi pan za złe, że zacząłem bez pana, agencie Turner.

Stan Wenhoff był wyraźnie niezadowolony, choć tak naprawdę trudno było zobaczyć jego minę. Stał z opuszczoną głową, przygarbiony, wlepiając wzrok w swoje dłonie. Zdążył już otworzyć ciało i zaczął badać urazy wewnętrzne. Maggie wiele razy z nim pracowała. Wyraz jego twarzy rzadko ulegał zmianie, na stałe zagościła w nim pełna dystansu dezaprobata. Wiedziała też, że w jego pracy brak emocji może być zaletą.

Wreszcie Wenhoff na moment podniósł wzrok, skinął głową w jej stronę i powiedział:

- Agentko O'Dell, miło panią znów widzieć. - Potem zwrócił się do Turnera: - Maski, fartuchy, ochraniacze na buty. - Wskazał skalpelem metalową półkę przy ścianie za ich plecami, a potem przeszedł do rzeczy: - To nie jest zaginiona radna z Bostonu.

Wszystkie media w kraju nagłośniły tę historię. Wciąż pojawiały się zdjęcia i wywiady ze spanikowanymi członkami rodziny. Kobieta przepadła bez śladu parę dni wcześniej, jej samochód znaleziono na parkingu restauracji, w której często bywała.

Teraz, stojąc nad ciałem, Maggie zastanawiała się, skąd brała się pewność Wenhoffa. Potargane włosy, siniaki i rany cięte na opuchniętej twarzy nie pozwalały rozpoznać ofiary.

Jakby czytając w jej myślach, koroner oznajmił:

- Ta kobieta zaginęła znacznie wcześniej, przed tygodniem, może nawet dwa tygodnie temu.

- Nie wygląda mi na to, żeby tak długo nie żyła - stwierdził Turner, stając za Maggie i zaglądając ponad jej ramieniem.

Nie stanął obok niej, tylko trzymał się z tyłu, a jego twarz zakrywała szczelnie założona maska. Jej maska nadal wisiała na szyi. Autopsje nie robiły na niej wrażenia. W college'u poczyniła wstępne kroki, by skończyć studia medyczne, ale po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że dla lekarza ważny jest dobry kontakt z ludźmi i umiejętności towarzyskie, czego jej brakowało. Prawdę mówiąc, lepiej czuła się ze zmarłymi, a ponieważ miała dyplom z psychologii, wiedziała też, że jej preferencje nie są całkiem normalne. Jakby tego było mało, poza studiami z psychologii, była stypendystką na medycynie, ale nie takiej, która przygotowuje do leczenia ludzi, ale na medycynie sądowej.

- Nie zmarła zaraz po zniknięciu. Oceniam, że gdy znaleziono jej ciało, nie żyła zaledwie od paru dni.

- Gdzie je znaleziono? - spytała Maggie, patrząc na Wenhoffa, który skinął głową Turnerowi, żeby odpowiedział.

- W hrabstwie Shenandoah.

- To północna Wirginia. - Próbowała wyobrazić sobie tę okolicę. Wiedziała również, że w stanie Wirginia działały cztery biura

koronera. Wenhoff był patologiem kryminalnym dla okręgu centralnego. Hrabstwo Shenandoah nie należało do jego jurysdykcji.

- Filmer jest na wakacjach - wyjaśnił. - Zastępuję go. Takie moje szczęście. - Wskazał blat. - Robotnik leśny zwrócił uwagę na jaskrawą plamę w lesie.

Na osobnej tacy leżał but do biegania. Pomimo plam z błota, Maggie widziała, że but jest jaskrawopomarańczowy i z odblaskiem.

- Czy to możliwe, że biegała w lesie i zgubiła drogę?

- Z tego, co wiem, do lasu prowadzi tylko jedna droga dojazdowa - odparł Turner. - Las nie jest dla wszystkich dostępny. To ze dwieście pięćdziesiąt hektarów, ale nie ma tam żadnych szlaków turystycznych, nie wolno polować ani wędkować. Wstęp wzbroniony.

- Więc mogła się zgubić.

- I błąkała się tam przez dwa tygodnie? - Wenhoff potrząsnął głową. - Znam tę okolicę. To górzysty teren, musiałyby tam dojechać. Ziemia została ofiarowana państwu, ale pod warunkiem, że teren otrzyma status lasu państwowego. Nosi nazwę Devil's Backbone. To nie jest miejsce, gdzie ktoś chciałby uprawiać jogging. Kto wie, jak do tego lasu trafiła, ale wygląda na to, że została tam porzucona i zdana na własne siły. Jest odwodniona i niedożywiona, ma ślady ukąszeń insektów, a także zadrapania i skaleczenia na nogach i rękach.

Koroner odłożył skalpel i sięgnął po miskę. Maggie i Turner pochylili się, by zajrzeć do środka. Kiedy Wenhoff oznajmił, że to zawartość żołądka, Maggie słyszała, jak Turner głośno wciągnął powietrze. Nie obejrzała się na niego. Wenhoff albo nie zauważył reakcji agenta, albo się nią nie przejął, ponieważ miał coś

ważniejszego do roboty. Grzebał w tym paskudztwie, żeby im pokazać, co znalazł.

- Maleńkie owoce jagodowe, być może dzikie jabłka, nie jestem pewien. I to. - Dźgnął solidniejszy kawałek. - Moim zdaniem to surowa ryba.

- Nie sushi? - spytał Turner z nadzieją w głosie.

Wenhoff potrząsnął głową.

- Nie, wciąż ma płetwy.

Turner jęknął. Maggie słyszała, że cofnął się o krok.

- Więc twierdzi pan, że musiała się żywić surową rybą, którą sama złapała? Czyli mogła się zgubić w lesie - trwała przy swoim Maggie.

- Powiedziałem: porzucona, a nie zabłąkana.

- Jaka to różnica? - spytał Turner.

- Zabłąkana sugeruje, że była tam sama i zgubiła drogę. Porzucona zaś, że ktoś ją zostawił na tym pustkowiu. - Wenhoff odstawił miskę na blat i wrócił do ciała. - Sama sobie tego nie zrobiła.

Pociągnął w dół płótno, które zasłaniało dolną połowę ciała. Maggie od razu wiedziała, co koroner miał na myśli. Lewa łydka została przestrzelona strzałą, jej część wciąż tkwiła w ciele.

Turner cicho gwizdnął.

- Wiedziałem, że powinienem być przeczytać cały raport szeryfa.

- Ktoś ją postrzelił strzałą z łuku? - Maggie nachyliła się, by przyjrzeć się z bliska.

- Bełtem z kuszy - sprecyzował Wenhoff. - To tylko moje spekulacje, ale uważam, że do tego potrzebna była broń o dużej prędkości i sile działania. W tamtych okolicach poluje sporo myśliwych z kuszą, ale te strzały z włókna węglowego? Trudno je

złamać, mogą poranić człowiekowi ręce. - Wskazał dłonie denatki pokryte drobnymi skaleczeniami.

- Przynajmniej wiedziała, żeby jej nie wyciągać - zauważył Turner.

- Wygląda na to, że rana wokół strzały zaczęła się goić - powiedziała Maggie, uważnie się przyglądając. - Dlatego sądzi pan, że porzucona w lesie spędziła tam kilka dni.

- Zgadza się.

- Skoro wielu myśliwych używa kuszy, skąd pewność, że to nie był wypadek? - spytał Turner.

Wenhoff pokręcił głową i nieco sfrustrowany spojrział na agentów.

- Bo wypadek tego nie tłumaczy. - Chwycił płótno załamane na wysokości stopy ofiary i ściągnął je do końca.

W lewej stopie brakowało dużego palca. Został odcięty.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Hrabstwo Warren, Wirginia

Ze swojej kryjówki na gruntowej drodze Stucky widział, jak czarna furgonetka wjechała na długi kręty podjazd po drugiej stronie zakrętu. Policjant najwyraźniej znał jej cel, bo się nie śpieszył. Prawdę mówiąc, od chwili, gdy Stucky zaparkował, minęło dobre dziesięć minut, nim pojawił się radiowóz, który zatrzymał się tuż obok podjazdu.

Przez drzewa Stucky widział podwójnej szerokości przyczepę mieszkalną i budynki gospodarcze. Odsunął na bok małą przenośną lodówkę i wziął worek leżący na podłodze po stronie pasażera. Nie zdejmując wzroku z radiowozu ani przyczepy, sięgnął w głąb worka w poszukiwaniu lornetki. Furgonetka stała obok brudnego jasnobrązowego suwa na podwórzu od frontu. Na sznurku niczym jasne żagle na wietrze trzepotała pościel. Okna przyczepy były zasłonięte, więc nic przez nie nie widział.

Dupek parkował na poboczu asfaltowej drogi jakieś pięć, sześć metrów od początku podjazdu. Stucky zastanawiał się, co takiego nabroili właściciele czarnego pikapu, że ściągnęli tu gliniarza. I dlaczego aż tak go zirytowali.

Zerknął na zegarek. Susan R. Fuller nigdzie się nie wybierała, nawet jeśli się obudziła. Uruchomił silnik i powoli cofał się połą drogą, starając się jechać po śladach kół. Nie chciał utknąć w błocie na tym pustkowiu. Z jednej strony drogi rósł rząd drzew, z drugiej gęsty las, gdzie mógł się ukryć razem z samochodem.

Przekręcił kierownicę i przednie koła w prawo, potem zaciągnął hamulec ręczny, żeby samochód nie zjechał tyłem ze wzgórza. Pomyślał, że z góry będzie lepiej widział, a kiedy wziął lornetkę i wysiadł, zobaczył, że radiowóz jedzie krętym podjazdem.

Co ty, do diabła, kombinujesz?

Szybko skrył się w gęstwinie drzew, szukając miejsca, skąd będzie lepiej widział podwórze od frontu i przyczepę. Dojrzał jakiś ruch, odsunął rosnące przed nim gałęzie. Policjant wysiadł z radiowozu i skierował się do drzwi przyczepy.

Niech to szlag!

Stucky nie widział głównych drzwi przyczepy, bo drzewa rosły zbyt gęsto, ciągnęły się w dół aż do samego podwórze. Dostrzegł tylko jakieś fragmenty, jakieś drobiazgi.

Może powinien wejść jeszcze wyżej.

Podeksytowany, ciężko oddychając, w pośpiechu zaczął się wspinać. Gałęzie smagały twarz, pnącza czepiały się nogawek spodni, sosnowe igły chrzęściły pod stopami. Musi zobaczyć, co planuje ten dupek.

Czemu tak się wściekł?

Pokonał zbyt długą drogę, by tylko wlepić komuś mandat.

Wreszcie Stucky znalazł dogodny prześwit i przystawił do oczu lornetkę. Zmarszczył nos i ustawiał ostrość, zirytowany, że trwa to zbyt długo. Kiedy zobaczył powiększony i rozmyty obraz, zakręciło mu się w głowie. Oparł się o pień drzewa. Chwilę potem widział już przyczepę idealnie ostro, wciąż jednak nie mógł zajrzeć do środka przez zasłonięte okna. W pewnym momencie zdawało mu się, że zobaczył poruszający się cień, lecz nic więcej. Znajdował się zbyt daleko, żeby cokolwiek dobrze widzieć albo słyszeć.

Stucky spojrział na zegarek. Minęło piętnaście minut i nikt nie

wyszedł głównymi drzwiami przyczepy, ale dostrzegł jakiś ruch na jej tyłach. Może to tylko trzepoczące na sznurze pranie? Patrząc przez lornetkę, widział w powiększeniu różne fragmenty przyczepy i podwórka. Kiedy w końcu odsunął ją od oczu, był pewien, że coś albo ktoś jest za przyczepą.

Niech to szlag!

Cokolwiek się tam działo, nie mógł tego dojrzeć.

Rozejrzał się wokół po lesie. Nieco dalej w dole zobaczył kolejną gruntową drogę. Znajdowała się bliżej przyczepy. Było tam też wystarczająco dużo drzew, by się ukryć. Musi się przekonać, co zamierza ten dupek.

Pobiegł przed siebie, patrząc uważnie pod nogi, kiedy przemykał między drzewami i przeskakiwał leżące na ziemi gałęzie. Gdy dotarł do samochodu, serce mu waliło, tętno szalało. Wsiadł i natychmiast usłyszał stukanie w bagażniku.

- No już, Susan, wykop mi drugie tylne czerwone światło! - krzyknął przez ramię. - Nikt cię tu nie słyszy.

Gdy zapalił silnik, stukanie ustało. Pomyślał o drugim zastrzyku. Zerknął na worek na podłodze, a potem na zegarek. Jeśli chciał się przekonać, co działo się za przyczepą, nie miał czasu za zastrzyk.

Był tak podniecony, że docisnął gaz. Błoto zassało opony, samochód gwałtownie skręcił.

Powoli, powiedział sobie, zdejmując nogę z pedału. Nie zdawał sobie sprawy, jak strome było wzgórze, gdy wjeżdżał na nie tyłem. Zjazd zaczął przypominać ślizg w błocie. Szarpnął dźwignię skrzyni biegów. Opony wciąż się ślizgały, ale samochód zwolnił, a w końcu z poślizgiem się zatrzymał. Wtedy Stucky znowu usłyszał walenie w bagażniku.

Zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik. Zaciskając zęby,

chwycił worek marynarski i sięgnął do bocznej kieszeni, gdzie trzymał dodatkową napełnioną strzykawkę. Potem sięgnął pod siedzenie kierowcy i podniósł nóż myśliwski. Zanim otworzył drzwi samochodu, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. W dole na głównej drodze. To był policyjny radiowóz.

Sukinsyn!

Stucky pochylił się, ledwie widział cokolwiek nad kierownicą. Jego samochód stał jakieś trzydzieści metrów od głównej drogi. Czy drzewa wystarczająco go zasłaniają? Bo ten drań kierował się z powrotem w tę stronę.

Walenie się nasiliło.

Przysięgłby, że cały samochód kołysał się od tych stukotów. Przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech, jakby to robiło jakąś różnicę, i patrzył, jak radiowóz coraz bardziej się zbliża. Siedział nieruchomo, w jednej ręce ściskając strzykawkę, w drugiej nóż myśliwski, gotowy użyć jednego i drugiego.

Po plecach strużką spływał mu pot. Tak mocno zacisnął zęby, aż poczuł przeszywający ból. Teraz jego serce waliło w rytm stukotów w bagażniku. Potem nagle zobaczył, że radiowóz przyśpieszył, a po paru sekundach przemknął obok wjazdu na gruntową drogę. Stucky widział jeszcze sylwetkę za kółkiem, kapelusz policjanta wciąż nasunięty nisko na czoło. Okulary, zza których patrzył prosto przed siebie. Dupek nawet nie zerknął w stronę dziwnie zaparkowanego samochodu.

Tylne czerwone światła mignęły jeszcze przez sekundę, po czym zniknęły za zakrętem. I po radiowozie.

Stucky wciąż tkwił w miejscu, jakby się spodziewał, że dupek zawróci. Sprawdził godzinę na zegarku i wytrzymał tak pięć minut. Przywykł do czekania i obserwowania. Przyzwyczyił się do wtapiania się w otoczenie i stawania się niewidzialnym. Chociaż

musiał przyznać, że Susan R. Fuller nadwyręzała resztki jego cierpliwości.

Minęło kolejne pięć minut. Radiowóz nie wrócił.

Stucky cisnął strzykawkę z powrotem do worka, wsunął nóż myśliwski do kieszeni kurtki i włączył bieg.

- Okej, przekonajmy się, co ty, do diabła, zmajstrowałeś.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hrabstwo Warren, Wirginia

Deszcz zaczął się od lekkiej mżawki, ale kiedy zajechali do Ollie's Bar and Grill, Maggie żałowała, że nie wzięła ze sobą firmowej kurtki. Kto by przypuszczał, że w środku lata zrobi się tak przenikliwie zimno?

Turner namówił ją, żeby poszła z nim i Delaneyem na drinka. Uparcie twierdził, że potrzebuje jej pomocy i chce przegadać szczegóły autopsji.

- Nigdy nie przedstawię mu tego tak, jak trzeba - powiedział.

Wyjście z Turnerem i Delaneyem na drinka po pracy to było coś więcej, niż zaproszenie Maggie do męskiego stolika w bufecie. Co prawda chodziła już z kolegami na drinka, ale zwykle większą grupą, na przykład żeby uczcić czyjeś urodziny. Tym razem było inaczej. Teraz mieli rozmawiać o sprawie, po godzinach, jak koledzy z pracy.

Nagrała Gregowi wiadomość na sekretarce, chociaż nie musiała tego robić. Odkąd Greg został partnerem w firmie prawniczej, pracował do wieczora i w większość weekendów. Nie pamiętała, kiedy ostatnio usiedli razem do kolacji. Żyli jak współlokatorzy, ich ścieżki czasem się krzyżowały, ale coraz częściej po prostu zostawiali sobie wiadomości. Maggie zazwyczaj naprędce połykała coś kupionego na wynos i po sprawie. Tak naprawdę nieobecność Grega wcale jej nie przeszkadzała.

Kogo ona oszukuje? Wolą być sama. To lepsze niż

wysłuchiwanie krytykanckich tyrad męża, strofowania i wykładów na temat jej pracy. Ostatnio wyjawiał, jak bardzo mu się nie podoba, że jego żona jest agentką FBI, i nie zamierza zatrzymywać tej opinii dla siebie.

Delaney wyglądał na wykończonego, krótkie włosy miał zmierzwione i wilgotne od deszczu. Mimo to uśmiechnął się i pomachał, przywołując ich do jakże pożądanego narożnego boksu, który udało mu się sprytnie zająć. Naprawdę miał szczęście, bo lokal był zatłoczony.

- Wszystko gra? - spytał go Turner.

W tym momencie Maggie sobie przypomniała, że Turner wspominał o pilnej rodzinnej sprawie, którą musi załatwić Delaney. Nie, nie pilnej sprawie. O rodzinnym problemie. Przyjrząwszy się bliżej, dostrzegła, że Delaney ma przekrwione oczy. Kilka razy potarł brodę wnętrzem dłoni, więc kiedy odpowiedział Turnerowi:

- Taa, wszystko dobrze... - to Maggie wiedziała, że nie mówił prawdy.

Szybko zajęła miejsce naprzeciw Delaneya, a Turner wśliznął się obok niej, wzrokiem szukając kelnerki. Maggie nadal przyglądała się Delaneyowi, choć udawała, że jest zainteresowana menu restauracji.

- Nie pożałujesz, jak weźmiesz burgera - poradził jej Delaney.

- A ty go zamówisz?

- Dla mnie tylko piwo. Spotykam się później z Karen.

Karen była jego żoną. Maggie bezskutecznie próbowała wywnioskować, czy „rodzinny problem” został rozwiązany. A może Delaney przerwał coś ważnego tylko po to, żeby się z nimi spotkać w sprawie autopsji.

Przestań, skarciła się w duchu.

Ostatnio ciągle to robiła. Przyglądała się wszystkiemu i wszystkim i wszystko analizowała, jakby jej umysł nie mógł się wyłączyć. Jakby każdy fragment informacji stanowił podstawę do stworzenia profilu psychologicznego. Jakby wciąż musiała ćwiczyć swój umysł. Poprzedniego dnia przyłapała się na tym, że stworzyła pełny profil sprzedawczyni ze sklepu spożywczego. Na swoją obronę mogła tylko powiedzieć, że stała w długiej kolejce, a sprzedawczyni wyjątkowo się guzdrała, no i na domiar złego kiepsko zakamuflowała siniak nad lewym okiem.

Turnerowi udało się przywołać kelnerkę.

- Kochanie, życie nam pani ratuje. - Nagrodził młodą kobietę szerokim uśmiechem.

Maggie już widziała, jak to robił. Może wyglądał na bejsbolistę twardziela, ale potrafił być czarujący. Teraz czarował też Maggie, zwracając się do kelnerki:

- Wygląda na to, że mamy ochotę na kolację. Co wybierasz, Maggie?

Był tak uprzejmy, że pozwolił jej zamówić pierwszej. Zazwyczaj jeżyła się, kiedy agenci traktowali ją zbyt grzecznie, ale zdusiła złość. W końcu Turner ją zaprosił, ponieważ szanował jej wiedzę i umiejętności.

Przypomniała sobie, że na lunch zjadła tylko tłuste frytki i popiła dietetyczną pepsi w drodze do koronera. Zamówiła burgera i sałatkę, a do tego butelkę Sama Adamsa. Kiedy przyniesiono jedzenie, musiała się pilnować, by nie połknąć wszystkiego naraz. Jadła nieśpiesznie małymi kęsami, a między nimi opisywała rany ofiary morderstwa, ignorując przy tym postępowania Turnera.

- To była naprawdę masakra, człowieku - stwierdził Turner, patrząc na Delaneyę. - Jaki wariat strzela w nogę kobiety,

a potem odcina jej palec, żeby go zabrać jako łup?

- Czy palec jest łupem? - spytał Delaney.

Kiedy Maggie podniosła wzrok znad sałatki, zdała sobie sprawę, że to ona była adresatką tego pytania.

- Sądząc z tego, jak to wyglądało, palec został odcięty *post mortem* - odparła, jakby było to odpowiedzią na pytanie. Gdy agenci nadal patrzyli na nią z oczekiwaniem, zrozumiała, że jej słowa są oczywiste tylko dla niej, więc dodała: - Tak, uważam, że wziął to jako łup.

- Pokręcony drań - skomentował Delaney.

Turner potrząsnął głową i odsunął od siebie talerz, a Maggie ugryzła kolejny kęs hamburgera.

- To dość ekstremalne, co? - Turner spojrzał na nią. - To znaczy wiemy, że nie był to przypadek, i raczej możemy odrzucić ewentualność, że zrobił to jakiś facet, który chciał się na niej zemścić, czy wkurzony mąż, tak? - Wypił łyk piwa i czekał na reakcję Maggie, nie spuszczać z niej wzroku.

- Mordercy zabierają jako łupy rozmaite dziwaczne rzeczy: bieliznę, zęby, prawa jazdy. Jeffrey Dahmer trzymał w lodówce kolekcję penisów.

Turner się skrzywił, a Delaney uśmiechnął się na widok jego miny.

Maggie ciągnęła:

- Jerry Brudos przechowywał w zamrażarce odciętą stopę jednej z zamordowanych kobiet. Lubił ją wyjmować i przymierzać swoją kolekcję skradzionych szpilek.

- Czyli jednak palec nie jest aż takim dziwactwem - stwierdził Delaney. - Ale mówisz o seryjnych mordercach. Myślisz, że ten też już zabijał?

Ręka Maggie z widelcem pełnym sałatki zawisała w powietrzu.

Agenci znów na nią patrzyli, oczekując na odpowiedź, którą uważała za oczywistą. Ale może jedyną oczywistą rzeczą było to, że spędziła zbyt wiele czasu, studiując seryjnych morderców.

- Nie wiem, czy już wcześniej zabijał, czy nie - oznajmiła. - Ale mogę wam powiedzieć, że ci, którzy zabijają raz, rzadko zabierają łupy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Las Państwowy Devil's Backbone

Nieznośny deszcz!

Gdyby nie pojechał okreśną drogą i nie spędził popołudnia na szpiegowaniu durnego dupka, uniknąłby ulewy, która leśną drogę zamieniła w błotnisty tor przeszkód. Jednak nagroda w sumie była warta zniweczonych planów. To, co znalazł w podwójnej przyczepie, zaskoczyło go i zrobiło na nim wrażenie. Stucky nie mógł się doczekać, kiedy tam wróci. Podekscytowany czekał na pierwsze reakcje.

Jego zmiana w pracy zaczynała się dopiero nazajutrz wieczorem. Rano zamierzał zadzwonić do biura szeryfa hrabstwa. Wiedział, z którego automatu telefonicznego skorzysta. Z tego na stacji benzynowej przy międzystanowej, gdzie zawsze był duży ruch. To przy zjeździe, który znajduje się zaraz za innym zjazdem, tym, po minięciu którego zatrzymał go pan Twardziel. Bez końca powtarzał sobie w myślach, co im powie:

- Bardzo proszę, żeby ktoś to sprawdził. Myślę, że stało się coś strasznego.

I poda im adres.

Wiedział, że dyspozytor w biurze szeryfa będzie się dopytywał, kto dzwoni, i dociekał, w jaki sposób informator jest powiązany z mieszkańcami przyczepy. Ale na to też się przygotował. Był ekspertem od wcielania się w różne postaci. I nie chodziło tylko o fizyczną przemianę, zmianę fryzury czy koloru oczu, zgubienie

kilogramów lub przybranie na wadze czy też utykanie. Potrafił skutecznie odgrywać swoje role, więc był też przekonany, że potrafi udąć histerię.

- Nie, nie mogę podać swojego nazwiska, bo wtedy on mnie też może zaatakować.

- Ale o kim pan mówi?

- Jestem tylko przerażonym obywatelem. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Potem nerwowo powtórzy adres i rozłączy się. To takie proste. Później znów pojedzie między te drzewa i tym razem zatrzyma się bliżej. A potem na piechotę podejdzie do miejsca, gdzie będzie czekał i obserwował.

Najpierw jednak musi pokazać nieszczęsnej i coraz bardziej zdenerwowanej Susan R. Fuller jej nowy dom.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dzień później

Quantico

- Agentko O'Dell, proszę wejść.

Zastępca dyrektora Cunningham poparł swe słowa gestem, nakazując, żeby weszła do jego gabinetu, a sam pozostał za biurkiem, zerkając tylko w jej stronę. Siedział ze spuszczoną głową ze wzrokiem skupionym na żółtym notesie, w którym coś zapisywał.

Nigdy dotąd Maggie nie została wezwana do biura szefa. Cunninghamowi, który miał ksywkę Jastrząb, rzadko umykał jakikolwiek szczegół. Nie miał też zwyczaju się uśmiechać. Teraz, patrząc na niego, pomyślała, że nigdy nie podnosił głosu, przynajmniej ona nie była tego świadkiem. Ale też nigdy nie musiał go podnosić. Podlegli mu agenci wiedzieli, kiedy go zawiedli, choć żaden z nich absolutnie nie chciał tego zrobić. Dla niej zawieść Cunninghama to byłoby tak, jakby zawieść zaufanie własnego ojca. Raz stracone wymagało ciężkiej pracy, by znów je odzyskać.

- Agentko O'Dell. - Tym razem podniósł wzrok.

Dopiero wtedy sobie uświadomiła, że jeszcze nie weszła do pokoju. Stała przy drzwiach, jakby chciała zostawić sobie możliwość ucieczki. Próbowwała odgadnąć, w czym nawaliła, co zrobiła źle, że szef kazał jej się stawić w jego gabinecie. Zazwyczaj Cunningham pozwalał jej w spokoju pracować

w ciasnym pokoju bez okien. Regularnie tam wpadał, żeby rzucić na zasypane papierami biurko Maggie kolejne teczki z dokumentami. Poza tym raz w tygodniu spotykali się na zebraniu w sali konferencyjnej. Ale gdyby chciał ją zganić, zrobiłby to w cztery oczy i w swoim gabinecie. Tak jak teraz.

- Może pani usiąść - powiedział, a ona pokonała swój opór i usiadła na krześle ustawionym naprzeciwko biurka. - Momencik - dodał szef i znów pochylił głowę.

Założyła nogę na nogę, potem znów ją zdjęła. Złączyła dłonie na kolanach i splotła palce. Krzesło było drewniane, z twardym oparciem. Cunningham nie chciał, żeby goście czuli się w jego gabinecie komfortowo i mieli ochotę utkwic tu na dłużej.

Siedząc tak blisko, na rogu lśniącego mahoniowego blatu dojrzała otwartą teczkę. Na górze strony widniało jej nazwisko. To była jejteczka.

Przygotowała się na najgorsze.

Cunningham zapisywał coś w notesie. Niebieskim, nie czarnym atramentem. By zaznaczyć, że to ważny fragment tekstu, pisał drukowanymi literami. Cóż, taka była prawda, że jej uwagę przyciągały najdziwniejsze rzeczy. Chciała potrząsnąć głową, upomnieć siebie po raz enty, że nie musi wszystkiego analizować. Może Greg miał rację. Jej praca zaczynała wpływać nie tylko na ich życie prywatne, ona totalnie absorbowwała jej świadomość. Nawet najprostsze codzienne czynności pobudzały umysł do analizy.

Tego ranka przyjechała do pracy wcześniej i postanowiła zjeść śniadanie w bufecie. Chciała powrócić do przesyłki od detektywa Hogana. Nie zajmowała się nią od chwili, gdy pojechała z Turnerem na autopsję. Podczas śniadania dotarło do niej, że nie jest w stanie zamówić jajek, nie myśląc o tym, czy istnieje jakaś

korelacja między charakterem człowieka a sposobem, w jaki je przyrządza. Czy ludzie, którzy lubią jajka na twardo, są bardziej zdyscyplinowani? Gotowanie jajka na twardo zajmuje w końcu kilkanaście minut rozbitych na dwie fazy: do zagotowania wody i odliczenie, jak ona to robiła, sześciu minut drugiej fazy, gdy woda wrze. Czy preferowanie jaj sadzonych sugeruje bardziej elastyczną osobowość, dotyczy ludzi, którzy potrafią dostosować się do różnych sytuacji? A co z jajecznicą?

- Agentko O'Dell?

- Tak, sir.

Usiadła prosto. Omal się nie wzdrygnęła i nie zdradziła, że wędrowała gdzieś myślami. Ale Cunningham i tak to zauważył. Dostrzegła to w jego oczach, kiedy się jej przyglądał, wreszcie skupiając na niej całą uwagę.

- Chyba nigdy dotąd nie pytałem, skąd pani pochodzi.

- Skąd?

- Gdzie pani dorastała?

Nie takiego pytania się spodziewała, chwilę za długo zwlekała z odpowiedzią, jakby oczekiwała na to właściwe pytanie.

- Urodziłam się w Green Bay, w stanie Wisconsin.

Takie informacje znajdowały się w jej oficjalnym dossier, ale powstrzymała się przed zerknięciem na teczkę, która leżała na rogu biurka. Nie dodała, że mieszkała tam tylko do dwunastego roku życia. To był rok, kiedy jej świat się zawalił. Matka przeniosła się z nią do Richmond w stanie Wirginia, zostawiły za sobą przyjaciół, sąsiadów i rodzinę, a Maggie swoje dzieciństwo.

- Pani ojciec nie żyje.

Kolejne zaskakujące pytanie, a w zasadzie stwierdzenie, mimo to Cunningham znów czekał na jej odpowiedź. Nie była pewna, do czego on zmierza. Czemu ni stąd, ni zowąd pyta ją

o dzieciństwo... o ojca?

- Zgadza się - odparła lakonicznie. Nie miała ochoty o tym rozmawiać.

- Jak zmarł?

Zdecydowanie nie chciała drążyć tego tematu.

- Był strażakiem. Zginął na posterunku, kiedy miałam dwanaście lat.

Gdy to powiedziała, spojrzała mu w oczy z takim wyrazem, jakby chciała go nakłonić, żeby zadał więcej pytań. Wciąż nosiła medalik, który dostała od ojca, na szyi pod bluzką czuła chłodny metal przyklejonego do skóry medalika.

Choć od tamtego dnia minęło ponad piętnaście lat, nadal bardzo tęskniła za ojcem. Przyłapała się na tym, że zastanawia się, czy byłby z niej dumny. Wciąż, gdy tylko miała okazję, oglądała mecze Green Bay Packers, zwykle ubrana w za dużą bluzę ojca. Nigdy nie zapomniała tamtego poranka, kiedy znalazła tę bluzę w koszu na pranie. Było to niemal tydzień po jego śmierci.

Wyciągnęła ją, zwinęła i chowała w różnych miejscach, gdzie jak wiedziała, matka nigdy nie zagłąda. Wyjmowała ją tylko po to, by znów poczuć jego zapach. Czasami w nocy owijała się ojcowską bluzą. Pomagała jej zasnąć. Aż pewnego ranka popełniła błąd i zostawiła ją na niezastłanym łóżku, kiedy szła do szkoły. Gdy zdała sobie sprawę, że matka ją znajdzie, spanikowała. Tamtego popołudnia gnała do domu co sił w nogach i z ulgą zobaczyła, że bluza wciąż leży na łóżku. Ale potem serce jej pękło. Porządnie złożona bluza była świeżo wyprana.

Na szczęście Cunningham znów zajął się zawartością teczek. Wziął do ręki pierwszą kartkę i zerknął na nią.

- Przygotowanie do studiów medycznych, dyplom z psychologii

behawioralnej, stypendium z medycyny sądowej w Quantico, a teraz agentka specjalna. Robi wrażenie, zresztą nie tylko to. Wykorzystując nabytą wiedzę i umiejętności, zyskała pani niezłą reputację.

Mówił o sprawach, które pomogła rozwikłać na odległość. Czy o to tylko chodziło? Czy poświęcała temu zbyt wiele czasu? Czy zamierzał wyłączyć ją z gry?

Nie, to niemożliwe, skoro systematycznie podrzucał jej coraz to nowe teczki z materiałami dotyczącymi kolejnych spraw i mówił:

- Agentko O'Dell, proszę mi powiedzieć, co pani o tym sądzi. Proszę mi powiedzieć, kto to zrobił.

Zdawało się jej nawet, że był z niej dumny, kiedy potrafiła podać śledczym szczegóły dotyczące mordercy. Jaką pracę wykonywał, jakim samochodem jeździł, czy mieszkał w pobliżu miejsca zbrodni albo w jakim był wieku. Chciała wierzyć, że zawdzięcza swój sukces statystyce i logice, ale czasami to był zwyczajny łut szczęścia. A już z całą pewnością nie była to żadna magia, choć Maggie wiedziała, że kilku kolegów tak właśnie mówiło za jej plecami. Lepiej, by nazywali to ogólnikowo jakąś tam „magią”, niż wudu. W każdym razie cokolwiek to było, sprawiło, że zyskała uznanie.

Teraz, siedząc naprzeciw biurka Cunninghama, zrozumiała, że być może szef nie wezwał jej, by udzielić reprymendy. Być może chciał ją poddać kolejnemu testowi.

- Nie chodzi tylko o kwalifikacje - podjął. - Posiada pani coś wyjątkowego, agentko O'Dell. Coś więcej poza wykształceniem. To nie ma nic wspólnego z pani dzieciństwem ani faktem, że tak wcześniej straciła pani ojca bohatera. - Machnął ręką nad teczką z jej dokumentami, jakby to się nie liczyło. Potem pochylił się naprzód, opierając łokcie na biurku i układając palce w wieżę.

Znów patrzył jej w oczy. - Posiada pani talent, dzięki któremu widzi pani to, czego inni nie dostrzegają. Szczegóły, które pozostałym wydają się nieważne. Ma pani intuicję, jeśli chodzi o ludzi... o morderców. Choć jest to cenna zdolność albo talent, czy jak tam wolałaby pani to nazwać, choć jest to niezwykle przydatne, chcę, żeby miała pani świadomość, że czasami za zagłębianie się w umysł zła trzeba zapłacić cenę.

Nie przerywając kontaktu wzrokowego z Cunninghamem, Maggie milczała. Wraz z upływem kolejnych sekund starała się pojąć jego przekaz. Wciąż była pilną studentką, która chce się uczyć. Już kiedyś słyszała, jak Cunningham nazywał morderców złem. Za pierwszym razem musiała przyznać, że była zdziwiona. Na żadnym z zajęć z psychologii czy innych studiów z zachowań przestępczych termin „zło” nie pojawiał się w roli objaśnienia. Wydawało się, że było to określenie przypisane lekcjom religii, które pamiętała z dzieciństwa.

Kiedy ojciec podarował jej medalik, powiedział:

- Będzie cię chronił przed złem, córeczko.

Wciąż słyszała siebie, gdy jako dwunastolatka wyszeptała:

- Ale ciebie nie ochronił, tatusiu.

Zło. Dla Maggie ten termin należał do mistycznej sfery przynależnej do religii, jak niebo czy piekło. Może to był haczyk. Żeby wierzyć w zło, trzeba wierzyć w piekło. I trzeba wierzyć w niebo.

Przez wszystkie te lata nosiła medalik nie dlatego, że uważała, iż może ją przed czymś ochronić. Nosiła go po prostu z tego powodu, że był cennym prezentem od ojca.

Dlatego poczuła się zaskoczona, gdy słowo „zło” padło z ust Cunninghama, jakby to był termin z podręczników na temat zachowań przestępczych, których był współautorem. Zanim

jednak mu odpowiedziała, wyjawiał powód, dla którego się tu znalazła. Dlaczego została wezwana do gabinetu szefa.

- Myślę, że jest pani gotowa do pracy na miejscu zbrodni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Hrabstwo Warren, Wirginia

- W życiu nie widziałem tyle krwi - przestrzegł ich szeryf Geller. - Tam jest jak w rzeźni.

Maggie wiedziała, że mówił o przyczepie, która stała na środku terenu.

- I śmierdzi jak w rzeźni - dodał szeryf.

Trudno było w to uwierzyć. Ten kawałek zabudowanej wiejskiej ziemi nieodparcie kojarzył się z sielską i malowniczą Wirginią, a nie z budzącym grozę miejscem zbrodni. Z jednej strony długiego podjazdu rósł las. Dorodne sosny porastały wzgórze, stojąc tak blisko jedna przy drugiej, że trudno było cokolwiek między nimi dojrzeć. Niespełna trzydzieści metrów dalej Maggie zobaczyła brzeg rzeki i połyskującą wodę.

Innymi słowy, cisza i spokój, miejsce, gdzie ludzie szukają ucieczki od trudów dnia codziennego.

- Pańscy ludzie niczego nie ruszali? - spytał Cunningham.

- Nie, niczego. - Geller pokręcił głową. - W ogóle nie wchodziliśmy do środka. Wystarczyło nam to, co zobaczyliśmy, stojąc w drzwiach.

Patrząc na wyraz twarzy szeryfa, odgadli, że teraz też nie wejdzie z nimi do środka.

Maggie starała się objąć wszystko wzrokiem i zapisać w pamięci. Na podwórzu były dwie zadbane grządki kwitnących kwiatów i kilka ceramicznych krasnali. Do frontowych drzwi

przyczepy prowadziła brukowana ścieżka. Na tyłach dojrzała wisząca na sznurze i poruszana podmuchami wiatru pościel. Dobięgl ją delikatny i cichy dźwięk dzwonków wietrznych. Ktoś urządził tu sobie dom. Teraz to było miejsce zbrodni otoczone żółtą taśmą od drzew aż do kijków, na których był umocowany sznur na pranie.

Szeryf i jego zastępca Steele zaparkowali w bezpiecznej odległości, czekając na zastępcę dyrektora Cunninghama i trójkę jego agentów. Turner i Delaney byli weteranami, więc ostrzeżenie Gellera nie zrobiło na nich wrażenia. Pewnie widzieli już gorsze rzeczy. Maggie dotąd oglądała takie sceny na zdjęciach albo, jeśli miała szczęście, na taśmach wideo. Autopsje się nie liczyły, to miejsce było jej pierwszym prawdziwym miejscem zbrodni.

Oczywiście dość szybko zrozumiała, że oglądanie miejsc zbrodni na zdjęciach ma swoje plusy.

Pierwsze, co zwróciło jej uwagę, to zapach. Potem gorąco.

Kiedy agent Delaney otworzył drzwi przyczepy, uderzyła w nich fala upiornie rozgrzanego i cuchnącego powietrza. Na coś takiego nie przygotowały Maggie żadne studia. Walczyła z odruchem wymiotnym. Nie chciała, żeby mężczyźni to zauważyli. Nie chciała im przypominać, że to jej pierwsze miejsce zbrodni.

- A niech to...! - Delaney gwałtownie zamknął drzwi i cofnął się o krok, opóźniając wejście.

Maggie usiłowała się skupić, wdzięczna za jego wahanie i stworzenie okazji na wciągnięcie kilka haustów świeżego powietrza.

Da sobie radę. Musi.

Cunningham postukał ją po ramieniu. Natychmiast pomyślała, że popychał ją naprzód, mobilizował, chciał zobaczyć jej pierwszą reakcję. Ale kiedy się obejrzała, wciąż trzymał wyciągniętą rękę.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że podawał jej ochraniacze na buty, lateksowe rękawiczki i mały słoiczek maści Vicks VapoRub.

Wzięła od niego ochraniacze i rękawiczki, ale chciała zrezygnować z maści. Ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, to żeby traktowali ją wyjątkowo. Potem wciągnęła powietrze, a nad górną wargą Cunninghama zobaczyła tłustą maść. Turner też się posmarował, kątem oka Maggie widziała, że Delaney czekał na swoją kolej. Posmarowała się maścią i podała dalej.

Kiedy Delaney po raz drugi otworzył drzwi przyczepy, mentolowa maść pod nosem nie robiła żadnej różnicy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rozejrzawszy się pobieżnie, Maggie dostrzegła, że wszystkie powierzchnie wewnątrz zostały zbryzgane krwią. Ściany były przerażającym, a zarazem mistrzowskim dziełem naśladowcy Jacksona Pollocka. Czerwone nitki krzyżowały się warstwami. Jedna z ofiar zwisała z sufitu. Ręce i nogi miała związane kablem.

Chociaż ciało mężczyzny było już wzdęte, Maggie wiedziała, że to jego krew znajduje się na ścianach. Nie potrzebowała też eksperta, by wiedzieć, że denata najpierw powieszono głową w dół, a następnie podcięto mu gardło.

- Wygląda na to, że chwilę się opierał - stwierdził Turner, mówiąc na głos to, co wszyscy myśleli.

Maggie musiała odwrócić wzrok, i właśnie wtedy dostrzegła krwawe ślady na dywanie.

- Ktoś tu był bosy.

Wszyscy podnieśli wzrok na związane przy suficie stopy ofiary w zasznurowanych tenisówkach. Turner ruszył wąskim korytarzykiem na tył przyczepy, patrząc pod nogi i zachowując ostrożność. Maggie słyszała, że otworzył drzwi.

Usiłowała się skoncentrować. Musi patrzeć na to tak samo, jak patrzyłaby na dokumentację fotograficzną, jaką otrzymywała z innych miejsc zbrodni.

Skup się, powiedziała sobie.

Ale smród był przytłaczający, jakby dusiła się w pojemniku na śmieci wypełnionym gnijącym mięsem. Po plecach spływała jej strużka potu. Kosmyki włosów, które przykleiły się do czoła,

odgarnęła grzbietem dłoni. Na domiar złego nie mogła się pozbyć nieznośnego buczenia w głowie. I ten okropny żar. Miała wrażenie, że płonie.

- Chyba podkręcił piec - powiedział Cunningham.

A więc nie tylko ona to czuła. Przyniosło jej to pewną ulgę.

- Wysoka temperatura przyspiesza rozkład - stwierdziła, cały czas walcząc z kwasem, który z żołądka przedostawał się do gardła.

- Przyspiesza też pracę naszych małych przyjaciół. - Delaney wskazał czarną plamę na T-shircie ofiary.

Maggie myślała, że to zaschnięta krew, prawdopodobnie ślad po ciosie nożem w brzuch. Teraz zobaczyła, że plama się rusza.

Czerwie! O Boże, nie znosiła czerwi.

Przełknęła zółć, starała się oddychać.

Głupi odruch wymiotny.

Tak, istniało wiele plusów oglądania scen zbrodni na zdjęciach i wideo.

Skup się. Skoncentruj się.

Potem zdała sobie sprawę, że to wcale nie w jej głowy coś brzęczy.

Muchy. Musiały tam być setki much, chociaż ich nie widziała. Już skończyły w jednym pokoju i przeniosły się do następnego pomieszczenia. Idąc ostrożnie, ruszyła w stronę, skąd dobiegał dźwięk. Chmara much unosiła się nad kuchennym stołem, na którym znajdowało się coś, co wyglądało jak resztki z obiadu. Otwarte pudełko na jedzenie na wynos było czarne od much, podobnie jak otaczające je mokre plamy.

- Druga ofiara jest w sypialni - oznajmił Turner z końca korytarza. - To kobieta.

Cunningham rzucił Maggie spojrzenie. Jeśli chciał ją chronić,

spóźnił się.

- Ma podcięte gardło. Jest kompletnie ubrana. Ręce skrupowane z przodu. Na nogach ma buty. Nie jest boso.

- Związane kablem? - spytała Maggie.

Turner obejrzał się znów na sypialnię, po czym odparł:

- Tak, na to wygląda. O czym myślisz?

Maggie wskazała przewróconą lampę z odciętym kablem.

- Nie przyniósł ze sobą sznura ani nic innego do związania. Użył tego, co tutaj znalazł. - Gdy Turner skinął głową, dodała: - Morderca nie działał według planu, nie przyszedł tu przygotowany.

- Albo jest zbyt pewny siebie i uznał, że może ich zabić bez wielkich przygotowań? - spytał Cunningham.

- Nie włamywał się tu siłą - zauważył Delaney, oglądając kłamkę.

- Okna też są całe - dodał Turner. - Tylnych drzwi nikt nie ruszał.

- Więc możliwe, że sami go wpuścili - spekulował Delaney. - Ktoś znajomy?

- Są ślady narkotyków? - Cunningham rozglądał się dokoła.

Turner potrząsnął głową.

- Nie wygląda to na nieudaną transakcję.

- Czyli krwawe ślady stóp to ślady mordercy? - spytał Cunningham. - Możemy mieć aż tyle szczęścia?

- Jeśli tak, to niezbyt wysoki gość - ocenił Delaney.

- Charlie Manson miał niespełna metr sześćdziesiąt - przypomniała im Maggie, wodząc wzrokiem po rozmazanych krwawych śladach.

- No proszę cię. - Turner znacząco przeciągnął słowa. - Nie przeraża was, że ona jak na zamówienie wyrzuca z głowy takie

pierdoły?

Uśmiechnęła się, a pozostali dwaj mężczyźni zignorowali komentarz Turnera. Maggie zawróciła do salonu, idąc tropem krwawych śladów. Zdawało się, że zaczynają się przy powieszonym głową w dół mężczyźnie. Potem cofały się i krążyły, robiąc małe kółka, aż skierowały się w inną stronę.

- Jeśli nie przyniósł ze sobą sznura, może w ogóle nie miał przy sobie żadnej broni. - Ruszyła znów do kuchni.

Czy to możliwe, że posłużył się nożem z kuchennej szuflady właścicieli przyczepy? Rzecz jasna, nie byłby to pierwszy taki przypadek. Dostrzegła na blacie obok zlewu drewniany stojak, brakowało w nim kilku noży.

Nieustające brzęczenie much nie pozwalało jej się skoncentrować. Choć oddaliła się od wisielca, jego smród ciągnął się za nią aż do kuchni. Ale tu trochę się zmienił. Był mniej metaliczny, przypominał raczej gnijące owoce.

Cunningham stał już przy stole, kiedy Maggie odwróciła się, by bacznie przyjrzeć się temu, co zainteresowało muchy.

- Przerwał im lunch czy kolację? - spytał Cunningham.

Na stole stały pojemnik po jedzeniu na wynos i dwa małe talerze z widelcami. Na obu widniały okruchy i resztki jakiegś mazi. Maggie przypuszczała, że to krem albo lody.

- Może deser - odparła, wskazując pudełko z cukierni leżące na blacie.

Cunningham obejrzał się za siebie.

- Wygląda na ciasto. Więc co jest w pojemniku na jedzenie na wynos?

To tam gromadziły się muchy, omijając talerzyki.

Cunningham poprawił okulary na nosie i pochylił się nad pojemnikiem. Ręką w rękawiczce wziął jeden z widelców

i podniósł nim wieko pojemnika.

Maggie stanęła obok, nie zważając na smród dochodzący z pojemnika. Znów miała mdłości. Na domiar złego brzęczenie jakby przybrało na sile.

- Rozpuszczone lody? - Cunningham odgonił ręką dwie muchy, wyraźnie rozdrażnione, że im przeszkadza.

- Szarlotka z lodami - powiedziała Maggie, gdy zdała sobie sprawę, że coś znajdowało się na wierzchu, coś, co ewidentnie nie powinno się tam znaleźć.

Tym razem nie była w stanie powstrzymać złości. Zasłoniła usta i wybiegła na zewnątrz. Ledwie zdążyła zbiec po schodkach. Zdawało się, że wymiotuje bez końca, aż w jej żołądku nic już nie zostało. Poczowała rękę na karku, ktoś delikatnym ruchem odgarnął jej włosy z policzka, a potem zobaczyła błyszczące wypastowane buty Cunninghama w ochraniaczach. Choć bolał ją brzuch, ból zażenowania był większy.

Wszystko to trwało jednak krótko. Wciąż na kolanach, Maggie miała doskonały widok na podziemną budowlę służącą jako schron podczas huraganu. Była jakieś piętnaście metrów dalej. Widziała, że ciężkie drewniane drzwi są uchylone. Ledwie co, dosłownie na kilka centymetrów.

Ale to wystarczało, by osoba znajdująca się wewnątrz mogła ich obserwować.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Maggie podniosła się, wdzięczna, że Cunningham nie zaoferował jej pomocy. Udawał, że nic takiego się nie stało, a jednak w jego ściągniętych brwiach widziała troskę.

Zaczekała, aż znajdzie się tyłem do podziemnego pomieszczenia i Cunningham spotka się z nią wzrokiem. Potem powiedziała tak cicho i powoli, jak tylko się dało:

- Ktoś nas obserwuje.

Cunningham ani drgnął. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, powoli się przesunął i stanął na nieco bardziej rozstawionych nogach. Wszystko to robił tak, jakby po prostu gawędzili. Skrzyżował ramiona na piersi, a Maggie zobaczyła, że zbliżał rękę do pasa z bronią na ramieniu.

Jej myśli biegły jak szalone, próbowała sobie przypomnieć, czy zauważyła drugie wejście do przyczepy. Z pewnością były inne drzwi. Pranie wisiało z tyłu podwórza. Przypomniła sobie maleńką pralnię mieszczącą zlewozmywak, pralkę i suszarkę. Żadnych okien. Ciemność. Wyobraziła sobie Turnera, który wychodzi, oświadczając, że tylne drzwi są nienaruszone.

- Gotowa wrócić do środka? - spytał Cunningham.

Rzucił wzrokiem dokoła, ale nie ruszył głową, jakby pilnie jej słuchał.

Przytaknęła skinieniem głowy.

Wciąż trzymał ręce skrzyżowane na piersi. Dla kogoś, kto by na niego patrzył, wyglądał zwyczajnie, jakby stał niemal znudzony. Dopóki ten ktoś nie zauważyłby sięgającej po broń prawej dłoni.

Cunningham gestem kazał Maggie iść pierwszej, ale nie była to po prostu uprzejmość. Krył ją, szedł za nią, trzymał się między nią a podwórzem od frontu. Kiedy weszła do przyczepy, zauważyła, że Cunningham poruszał się bokiem wciąż ze splecionymi na piersi ramionami, wciąż ściskając broń, w każdej chwili gotów ją wyciągnąć. Nie odwrócił się aż do ostatniego schodka.

- Gdzie? - spytał, gdy tylko zamknęli za sobą drzwi.

- W schronie.

Maggie już mijała Turnera i Delaneya, kierując się do miejsca, gdzie znajdowała się domowa pralnia.

- Co się dzieje? - spytał Turner.

- Agentka O'Dell uważa, że możemy mieć towarzystwo w schronie.

- Niech to szlag!

- To nie byłby pierwszy morderca, który wraca na miejsce zbrodni - powiedział Cunningham. - Ale czy wybrałby miejsce, które może się stać dla niego pułapką?

Tętno Maggie szalało. Miała już pusty żołądek, więc smród nie działał na nią tak jak wcześniej, tylko brzęczące muchy wciąż ją irytowały. Nie od razu zdała sobie sprawę, że Cunningham skierował swoje pytanie właśnie do niej i czekał na odpowiedź.

- Oni nigdy nie biorą pod uwagę, że zostaną złapani - odparła. - Edmund Kemper spotykał się z psychiatrą, mając w bagażniku ciało swojej ofiary. Berkowitz podkładał ogień, a potem stał i patrzył na pożar razem z innymi gapiami.

Jej mąż Greg nie znosił, gdy jak na zawołanie przywoływała z pamięci takie ciekawostki. Ale tu i teraz to mogło usprawiedliwić ich kolejny ruch.

- W takim razie będziemy postępować tak, jakby to był sprawca - stwierdził Cunningham.

- Jeśli uda się podejść tam z podwórza na tyłach, nie zobaczy nas. - Maggie śpieszyła do pralni, a pozostali szli jej śladem.

- Usłysz nas - zaproponował Delaney.

- Nie usłysz, jeśli pójdzie tam tylko jedna osoba. I jeśli odwrócimy jego uwagę czymś na podwórzu od frontu. - Zajrzała do pralni i zobaczyła proste drewniane drzwi prowadzące na zewnątrz.

- Agentko O'Dell - powstrzymał ją Cunningham. - Jest pani pierwszy raz na miejscu zbrodni. Proszę wybaczyć, ale to nie pani otworzy schron. - Nie oczekiwał na jej sprzeciw, tylko zwrócił się do Turnera: - Proszę nam dać trochę czasu. Odeślę stąd szeryfa Gellera i zastępcę Steele'a. Niech wygląda na to, że my też szykujemy się do odjazdu. - Potem dał znak Turnerowi, żeby wyminął Maggie i ruszył do tylnych drzwi.

- Między przyczepą a schronem na sznurze wisi pranie - powiedziała do Turnera, a gdy spojrzał na nią pytająco, dodała, jakby to miało mu wystarczyć: - Wisi tam pościel. - Kiedy zobaczyła, że wciąż nie rozumie, wyjaśniła do końca: - Wiatr jest słaby, ale i tak poszwy trzepoczą na wietrze. Powinny cię zasłonić.

Turner skinął głową.

- Z okien sypialni na końcu jest widok na tamtą stronę - powiedział Cunningham do Delaneya.

- Już idę. - Delaney ruszył korytarzem.

- Zaczekajcie, aż zajmiemy miejsca - przypomniał im Cunningham.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kyle Cunningham zaczął żałować, że wziął ze sobą O'Dell, gdy tylko poczuł smród we wnętrzu przyczepy. Nie miał jej za złe, że zrobiło jej się niedobrze, zwłaszcza w tym wypadku. Poza tym O'Dell miała znakomity instynkt, wyjątkowy, po prostu niepowtarzalny talent. Podobało mu się również, że tak szybko się pozbierała. Może nawet odrobinę za szybko, ze zbyt dużą pewnością siebie, ale był w stanie to kontrolować. Najbardziej żałował, że przywiózł ją na miejsce zbrodni, które okazało się niebezpieczne.

Turner i Delaney byli zawodowcami. Szeryf Geller i jego zastępca? Cunningham podejrzewał, że niekoniecznie. Za nic nie zaryzykuje życia swoich agentów, pozwalając Gellerowi i jego zastępcy na wątpliwości czy zawahania.

Prawdę mówiąc, nie ufał szeryfowi. Ten człowiek coś przed nimi ukrywał. Cunningham nie był pewien, o co chodzi, ale nie podobało mu się, że w takiej sytuacji miejscowi funkcjonariusze zatajają przed nim informacje. Wiedza na temat tego, czy w przyczepie doszło do przejęcia narkotyków przez policję, które zakończyło się tragedią, czy może do kłótni rodzinnej lub zemsty kochanka, mogła okazać się kluczowa, zwłaszcza teraz, kiedy Cunningham musiał zgadywać, jakie zagrożenie kryje się w schronie.

A ponieważ nie ufał szeryfowi, wolał się go pozbyć.

Radiowóz szeryfa był zaparkowany obok suwa Cunninghama, jakieś trzydzieści metrów od głównych drzwi przyczepy.

Cunningham szedł do policjantów swobodnym krokiem, tyłem do schronu. O'Dell miała go kryć. Nie obawiał się, bo już widział ją na strzelnicy. Gdyby zza drzwi schronu wychyliła się lufa, wiedział, że O'Dell w przeciągu paru sekund wypełni drzwi z desek ołowiem.

- Niezła masakra, co? - spytał Geller, kręcąc głową, zanim Cunningham zdążył się odezwać.

- Ekipa techników już tu jedzie - odparł Cunningham. - Mam nadzieję, że pan i pański zastępca możecie wyjechać im na spotkanie przy zjeździe z międzystanowej, żeby trafili na miejsce.

- Jasne. Pojedziemy tam.

Szeryf nie krył ulgi. Cunningham zauważył, że jego zastępca wyglądał niemal na zawiedzionego, jakby spodziewał się usłyszeć od niego więcej informacji.

Patrzył na oddalający się radiowóz, powstrzymując chęć obejrzenia się przez ramię. Wcześniej zauważył, że między deskami drzwi do schronu były szpary. Oni nie mogli przez nie niczego zobaczyć, bo w środku było ciemno, za to ten, kto się tam znajdował i patrzył na zewnątrz, mógł całkiem sporo dostrzec z tego, co się tu działo. Taką przynajmniej miał nadzieję. Chciał, żeby ten ktoś uznał, że wszyscy zamierzają się stąd wynieść.

Cunningham ruszył w stronę czarnego suwa, po chwili otworzył drzwi od strony pasażera i pomachał do O'Dell. Potem obszedł samochód i otworzył drzwi od strony kierowcy. To mogło odwrócić uwagę osoby w schronie. Chciał też, żeby samochód chronił ich na wypadek, gdyby sprawca był uzbrojony w coś więcej niż kuchenny nóż.

Kiedy O'Dell dotarła do suwa, Turner ruszył podwórkiem na tyłach. Schron wyglądał jak ziemianka. Drewniane drzwi znajdowały się z tej właśnie strony. Choć ktoś w środku mógł coś

widzieć przez wąskie szpary między deskami, nie mógł dostrzec skradającego się Turnera. Kiedy już Turner ustawi się za drzwiami, intruz nadal go nie zobaczy. Z tej pozycji ciężko będzie otworzyć drzwi, ale Turner był wystarczająco silny, żeby wyrwać je z zawiasów, nie mówiąc o otwarciu.

Zająwszy pozycję, Turner czekał w milczeniu na znak Cunninghama. Zastępca dyrektora zdjął marynarkę, żeby mieć łatwiejszy dostęp do broni, a potem wrzucił marynarkę do suwa. To był sygnał.

Turner chwycił brzeg drewnianych drzwi i dźwignął je. Cunningham nawet z daleka widział, że zrobił to błyskawicznie.

- FBI! - krzyknął Turner.

Za szybko. Ktoś cofnął się w dół.

Cunningham pognał w stronę wejścia do schronu, ściskając broń w dłoniach. Za nim biegła O'Dell, także z bronią. Dogonili Delaneya, który wybiegł z przyczepy. Cunningham był już dość blisko, widział betonowe schody, które znikwały w ciemności.

- FBI! Jesteś otoczony! - krzyknął. - Lepiej stamtąd wyjdź, bo użyjemy gazu łzawiącego!

Czekali.

Cunningham nie śmiał odwrócić wzroku choćby na sekundę. Pod zapiętą koszulą T-shirt przylepił się do pleców jak druga skóra. Powściągnął chęć otarcia potu z czoła.

Nagle wszystko ucichło. Nie było żadnego ruchu.

Poczuł, że stojący za nim agenci znieruchomieli z wyciągniętą bronią.

Powoli się wyłaniając, z ciemności wyjrzała dziewczynka, patrząc na nich spod gęstych pukli potarganych włosów.

- Nie zastrzelcie mnie, proszę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Stucky obserwował to wszystko ze swojej kryjówki. Znalazł sobie nowy punkt obserwacyjny położony bliżej miejsca akcji. Patrząc przez lornetkę, widział zaskoczenie w gestach śledczych. Musiał przyznać, że on też zdziwił się na widok dziewczynki.

Przyciskał lornetkę do oczu, mrużąc je, i ustawił ostrość.

Cholerne drzewa zasłaniały widok.

Przesunął się odrobinę. Jakaś gałąź wbiła mu się w plecy, ciężkie buty grzęzły w błocku. Chciał widzieć twarz i reakcję tej kobiety. Odkąd przyjechała, nie mógł oderwać od niej wzroku. Przez cały czas, kiedy była w przyczepie, podniecało go, że ujrzy jego wkład w to dzieło. A kiedy wybiegła frontowymi drzwiami, poczuł jeszcze większy dreszczyk emocji. Z uśmiechem patrzył, jak wymiotuje na czworakach.

Nie mógł liczyć na lepszy komplement.

Kurtkę miała taką samą jak mężczyźni, granatową z białymi literami FBI na plecach. Jej była trochę za duża, podobnie zresztą jak spodnie.

Moja droga, próbujesz ukryć piękną figurę pod tym uniformem?

Ta myśl wystarczyła, by go zauroczyć. Nie mógł oderwać od niej oczu. Jak opętany śledził każdy jej ruch, nawet gdy odgarniała z czoła wilgotne włosy. Kilka minut wcześniej, tuż przedtem, nim otworzyli drzwi schronu, zauważył, że kobieta wsunęła rękę pod połę kurtki. Gotowa do strzału stanęła na lekko rozstawionych nogach, a Stucky poczuł ciarki na całym ciele.

Jak by to było na nią polować?

Ta potrzeba, ta chęć odwróciła jego uwagę, a powinien się skupić na bladej małej dziewczynce, która niczym duch wyłoniła się z ciemnego grobu.

Jak, do diabła, mógł jej nie zauważyć?

Stucky zamierzał tylko zajrzeć do przyczepy i zaraz stamtąd wyjść. Chciał zobaczyć, co zmagstrował ten dupek. Ale to, co ujrzał, wprowadziło go w osłupienie, a niełatwo było wprowadzić go w ten stan. Pan Policjant działał o wiele więcej, niż Stucky sobie wyobrażał. Choć tak naprawdę nie powinien się dziwić.

Widział przecież błysk złości w oczach tego drania, gdy furgonetka mijała ich na drodze. Może nawet rozpoznał ten rodzaj złości. Taka złość może wezbrać, jeśli jej się nie opanuje. A potem eksploduje. Wnętrze przyczepy wyglądało tak, jakby doszło tam do wybuchu. Stucky też miewał podobne ataki furii. Ale tak było kiedyś, zanim nauczył się je kontrolować.

Więc gościowi nieobcy był instynkt zabijania. Stucky powinien dostrzec w nim bratnią duszę, lecz mówiąc szczerze, dupek budził w nim obrzydzenie. Dopuścił do tego, żeby furia wzięła nad nim górę, co poskutkowało prawdziwą rzeźnią. A jednak niezależnie od tego Stucky uznał, że to miejsce doskonale nadaje się do tego, by zostawić swój pakunek, swój wkład. Prezent dla śledczych z nadzieją, że go docenią.

Zawrócił do samochodu, by wyjąć pojemnik na jedzenie na wynos z małej przenośnej zamrażarki, którą woził ze sobą na takie właśnie okazje. Zeszło mu na tym wszystkim niespełna dziesięć minut.

Nie, być może i kwadrans, gdyż zjadł kawałek szarlotki. Szkoda, żeby się zmarnowała.

Cały czas jednak zachowywał ostrożność. Zawsze działał ostrożnie. Wyczułby, gdyby ktoś go obserwował. Więc jakim

cudem, do diabła, nie zauważył dziewczynki?

Czy była w przyczepie? Czy to możliwe? Czy mogła widzieć, co się działo? Obserwowała to z ukrycia? Czy może już wtedy ukryła się w schronie?

Poczuł żal, że nie zobaczył, jak śledczy otwierają jego pojemnik na jedzenie na wynos. Cholerne zasłonki. Zdał sobie sprawę, że będąc w przyczepie, mógł je odsunąć. Musi popracować nad metodą podrzucania swoich pojemników, żeby zawsze mógł widzieć pierwsze reakcje tych, którzy je znajdują. Za każdym razem uczył się czegoś nowego.

Ludzie są z natury ciekawi. Porzucony pojemnik na jedzenie na wynos, torba papierowa w miejscu, gdzie nie powinna się znajdować – to takie ekscytujące przekonać się, kto pierwszy się przy nich zatrzyma i zajrzy do środka. Najpierw zwyczajne spojrzenie, a potem drugie, jakby z niedowierzaniem. Aż wreszcie na ich twarzach pojawiała się czysta groza.

Bezcenne.

Takie odkrycie sprawiało, że było to wspólne doświadczenie. Jaki artysta nie chciałby czuć radości dzielenia się swoim arcydziełem? A teraz mógł się dzielić z tą śliczną zgrabną agentką. Tak, tak, był absolutnie przekonany, że pod obszernymi ubraniami kryje się zgrabne ciało. Silna i niezależna – takie właśnie lubił. Miały w sobie całe mnóstwo waleczności. Były cennymi ofiarami. A ta – która chciała być jak ci jej koleżkowie – cóż to byłoby za wspaniałe wyzwanie.

Ale ta dziewczynka... co z nią począć?

Był zły, że jej nie zauważył. Co ciekawsze, ten dupek też jej nie dostrzegł.

Stucky zerknął na zegarek i jęknął. Chciał tu zostać i dalej obserwować, ale musiał wracać. Miał wieczorną zmianę. Tak

naprawdę nie potrzebował pieniędzy, lecz praca była świetnym alibi, no i często oferowała nowe okazje i znaczące możliwości. Dyscyplina przenosiła jego gry na wyższy poziom trudności. Zależnie od otoczenia zmieniał kolor jak kameleon. Był w tym już całkiem dobry.

Poza tym łatwo da się śledzić, co tu się dzieje. Będzie nawet mógł monitorować losy dziewczynki. Wystarczy, że wykona kolejny anonimowy telefon, tym razem do kogoś z mediów.

Stucky potrząsnął głową. Co za ironia losu! Licząc na trochę dobrej zabawy i wiedziony nadzieją, że podetnie nogi temu draniowi, zmienił swoje plany. Tymczasem okazało się, że ta dziewczynka, która pojawiła się niczym duch, może podciąć nogi im obu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Maggie zadrżała, choć pot spływał jej po plecach. Przez ostatnie kilka tygodni pogoda była bardzo zmienna. Teraz niebo pociemniało od szarych ciężkich chmur, które groziły, że pękną i zaleją ziemię deszczem. Z chmurami przyszyły wilgoć i zimny wiatr.

Delaney zdjął kurtkę i chciał owinąć nią ramiona dziewczynki, ale gdy się wzdrygnęła, zrezygnował. Dziewczynka wciąż mrugała i wycierała oczy, jakby szare niebo było dla niej zbyt jasne. Delaney coś do niej mówił łagodnie i powoli, nie ruszając się z miejsca. Wyjaśnił, kim są, powiedział, że przyjechali tu, żeby jej pomóc.

- Nikt cię nie skrzywdzi. Obiecuję.

Maggie obserwowała go jak zahipnotyzowana, ukojona tonem jego głosu. Widziała, że dziewczynka też się uspokoiła. Delaney specjalizował się w negocjacjach z porywaczami. Potrafił przekonać przestępców, że jest po ich stronie, że chce ich wysłuchać i im pomóc, ale zdawała sobie sprawę, że tym razem nie mówi tylko jak negocjator. Mówił jak ojciec do dziecka. Zmarznętego, głodnego i przerażonego dziecka, które było w szoku po tym, co wydarzyło się na jego oczach.

Najwyraźniej jednak, skoro dziewczynka przeżyła, do morderstw nie doszło na jej oczach, ale Maggie była przekonana, że widziała martwe ciała. Jedno spojrzenie na jej zakrwawione boso stopy wystarczyło, by odgadła, że ślady na dywanie nie były śladami mordercy.

- Na imię mam Richard - powiedział do niej Delaney. - A jak mam się do ciebie zwracać?

Dziewczynka poprawiła włosy, ale nie odpowiedziała. Miała na sobie T-shirt i dżinsy z uciętymi nogawkami. Maggie pamiętała, że poprzedniego dnia było dużo cieplej.

Sądząc ze stanu ciał i obecności czerwi, do zbrodni doszło dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin wcześniej. Czerwie muchy potrzebują zwykle czternastu do trzydziestu sześciu godzin, by przejść przez wszystkie stadia rozwoju, z tym że warunki zewnętrzne mają na to istotny wpływ. Podkreślenie ogrzewania w przyczepie mogło przyspieszyć ten proces.

Tak czy inaczej, dziewczynka przez długi czas ukrywała się w ciemnej i wilgotnej piwnicy, może nawet dłużej niż jeden dzień.

- Mam na imię Katie - powiedziała w końcu tak cicho, że jej słowa, dodatkowo zagłuszone wiatrem i trzepotem bielizny, były ledwie słyszalne.

- Ile masz lat, Katie?

Patrzyła gdzieś przed siebie, jakby nie słyszała Delaneya. Co chwila oglądała się przez ramię, jakby się spodziewała, że ktoś z tyłu się do niej zbliża. Czy obawiała się, że morderca wciąż gdzieś tu jest?

Maggie oceniła Katie na jedenaście lub dwanaście lat. Niestety zbyt dobrze rozumiała, co to znaczy mieć dwanaście lat, być samą i przerażoną. Nie wierzyła, że morderca widział dziewczynkę. Gdyby ją zauważył, nie zostawiłby jej przy życiu. Ale czy Katie go widziała?

- Twoi rodzice - podjął Delaney. Maggie wiedziała, że kolejne pytanie z trudem przechodzi mu przez gardło. - Czy ci ludzie w przyczepie to twoi rodzice?

Cunningham i Turner wycofali się. Zostawili Delaneya i Maggie,

dając dziewczynce przestrzeń. Maggie zobaczyła, że Cunningham rozmawia przez komórkę. Ale Katie nie była zainteresowana agentami FBI. Zerknęła w inną stronę, za siebie, w kierunku rzeki. Już nie słuchała Delaney'a.

- Mój tatuś - szepnęła, a potem wskazała palcem. - Wpadł do rzeki.

- Twój tatuś? - Delaney rzucił spojrzenie Maggie. - To nie on jest w przyczepie?

Dziewczynka gwałtownie potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć jakiegoś obrazu.

- Wujek Lou i ciocia Beth.

Maggie ruszyła w stronę rzeki, a Delaney został z dziewczynką. Czuli, że Cunningham pośpieszył za nią, i znów ścisnęła smitha & wessona.

- Proszę zachować spokój - powiedział Cunningham, kiedy zauważył jej rękę wsuniętą pod kurtkę. - Idziemy tylko się rozejrzeć.

Ale Maggie czuła skok adrenaliny. Nadal odnosiła wrażenie, że wciąż są obserwowani, nawet po tym, gdy Katie wyszła z piwnicy.

- Co pan myśli? - spytała. - Czy ojciec Katie wpadł do rzeki, czy...

- Czy skoczył? - dokończył Cunningham. - Po tym, jak zabił wujka Lou i ciotkę Beth?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gęsta mgła osiadła jak dym unoszący się nad powierzchnią wody. Maggie obliczyła, że do zmierzchu zostały im najwyżej dwie godziny. Na szczęście jeszcze nie padało, ale wiatr nabral prędkości, zwłaszcza nad rzeką. Żałowała, że nie włożyła czegoś cieplejszego pod cienką wiatrówkę. Chwilę wcześniej była zgrzana i spocona, teraz czuła na skórze zimną wilgoć.

Łódź wiosłowa wyglądała na nową, podobnie leżący w niej sprzęt wędkarski. Przycumowana do brzegu, lekko kołysała się z nurtem.

- Ale cacko - skomentował Cunningham, podchodząc do łodzi. - Złożona z zestawu. Czerwony i biały cedr, świeżo wypolerowany. Na moje oko ledwie co spuszczone na wodę.

- Z zestawu?

- Zrób to sam. Składa się zamówienie, a oni przysyłają ją w częściach do złożenia.

Maggie była bardziej zainteresowana powierzchnią wody. Mgła ograniczała widoczność do jakichś trzech metrów. Jeśli ojciec Katie rzeczywiście wpadł do wody, jego ciało mogło znajdować się wiele kilometrów dalej w dole rzeki.

- Technicy i koroner są już w drodze - powiedział Cunningham.

Potem stanął obok Maggie na brzegu. W milczeniu lustrowali okolicę, przyglądając się i nasłuchując. Stali nieruchomo, tylko plusk wody o łódź przerywał ciszę. Dwa razy Maggie dojrzała coś płynącego z nurtem. Najpierw była to gałąź, potem śmieci.

- Co pani sądzi, agentko O'Dell? - spytał w końcu Cunningham,

a ona się zastanowiła, czy pyta ją jako mentor sprawdzający studenta, czy jako szef, który szuka odpowiedzi.

- Nie sądzę, żeby ojciec Katie był mordercą.

- Czemu?

- Ojciec nie chciałby, żeby córka była świadkiem takiej jatki, nawet jeśli widziała tylko skutki. Bo gdyby nie miał problemu z tym, że jego dziecko widzi, jak tatuś morduje dwoje ludzi, mógłby też bez problemu zabić Katie.

- Więc to znaczy, że jeśli ona wciąż żyje...

- Ojciec najprawdopodobniej nie żyje.

Czuła na sobie jego wzrok. Nie patrząc na niego, wiedziała, że poprawił okulary na nosie i skrzyżował ramiona na piersi. Przywykła do tych jego gestów.

- Chyba ma pani rację - stwierdził, przenosząc znów wzrok na rzekę.

Stali obok siebie w milczeniu. Minęło tak kilka minut. Potem nagle Cunningham wyciągnął przed siebie rękę.

- Tam. Na drugim brzegu. - Pokazywał coś po prawej stronie, przekrzywiając głowę i zginając się w pasie, żeby lepiej widzieć.

Maggie też to dostrzegła. Coś kołysało się na wodzie. Coś dużego, co nie płynęło z nurtem. Najwyraźniej było tam uwiązane.

- Sprawdźmy to. - Cunningham zaczął odwiązywać łódź.

Zaskoczył ją. Czy tak się pracuje na miejscu zbrodni? Czy to nie technicy kryminalistyki powinni odkrywać ciała? Co z materiałem dowodowym? Przyłapała się na tym, że szuka w kieszeni drugiej pary lateksowych rękawiczek.

Cunningham podniósł wzrok i zobaczył jej wahanie.

- Tylko spojrzymy.

- Ale łódź...

- Jeśli ktoś z niej korzystał, tylko dodamy nasze odciski palców.

Łatwo je zidentyfikować i zignorować.

Nie była tego pewna, ale jak mogła sprzeczać się z szefem, który już wchodził na łódkę?

Obejrzała się przez ramię. Nikt więcej za nimi nie przyszedł. Przyczepa wydawała się odległa w każdym znaczeniu tego słowa. Maggie widziała tylko linię dachu, pościel wciąż trzepotała na sznurze, zasłaniając Delaneya i dziewczynkę. To dobrze. Dziewczynka była odwodniona i w szoku. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to oglądanie, jak wyławiają z rzeki wzdęte ciało jej ojca.

Cunningham wiosłował. Było jasne, że już to robił. Wiedział, jak manewrować wiosłami, żeby mała łódka pomimo nurtu płynęła we właściwym kierunku. O dziwo, kiedy znaleźli się na wodzie, wcale nie było im łatwiej. To, co wyglądało na spory obiekt, nagle zniknęło w grubych warstwach z wolna przepływającej mgły. Cunningham dwa razy przerywał wiosłowanie i czekał, aż któreś z nich znów dojrzy ten obiekt.

- Tam. - Maggie wskazała coś, co przypominało stertę śmieci, która kołysała się na wodzie i obijała o przeciwległy brzeg.

Dojrzała już zaplątane w gałęzie ręce. Kiedy Cunningham odpowiednio ustawił łódź, zdążyła zobaczyć obrzmiałą twarz mężczyzny, nim jego głowa znów zanurzyła się w wodzie. Zapewne tylko ciągły chlupot zniechęcał insekty do zajęcia się denatem.

- Nie wydaje się, żeby miał podcięte gardło jak tamci - powiedziała Maggie do Cunninghama, który starał się utrzymać łódź w miejscu, żeby mogła dokładniej się przyjrzeć.

Wreszcie zirytowana odsunęła kłujące gałęzie winorośli i inne zielska, które zasłaniały widok. Woda była zimna, ale największy kłęb splątanych gałęzi znajdował się tuż pod powierzchnią.

Cunningham jej nie powstrzymywał. Pracował wiosłami, ciekawy, co Maggie tam jeszcze dostrzeże.

- Myśli pani, że się utopił? - spytał.

- Nie mam pojęcia.

Ciągnęła i szarpała splątaną masą, ostre kolce pokłuły jej rękę. Woda była mętna. Nie widziała, co trzyma ciało w miejscu. Ręce topielca były zaplątane w śmieci. Chwilami jego twarz wyłaniała się nad powierzchnię, oczy miał otwarte, niemal jakby na nią patrzył i błagał o pomoc. Usiłowała skupić się na tej plątaniu, która trzymała go pod powierzchnią, aż jej ręce zdrętwiały od zimnej wody.

- Czy to możliwe, że chciał się tu schować? - spytał Cunningham.

- Prędzej by się ukrył w piwnicy razem z córką, jak sądzę.

- Może próbował odciągnąć od niej mordercę, żeby miała szansę gdzieś zniknąć.

- Powiedziała, że wpadł do wody - stwierdziła Maggie, siadając, żeby odpocząć. - Ale nic, choćby słowa o mordercy. Sądzi pan, że go widziała?

- Być może to nie robi różnicy. - Cunningham wzruszył ramionami. - Wie pani, jacy wiarygodni są świadkowie. Na dodatek jest dzieckiem, i to dzieckiem w szoku. Ale znam kogoś, kto może jej pomóc coś sobie przypomnieć.

Odwróciła się znów w stronę splątanych gałęzi.

- Agentko O'Dell, proszę przestać - nakazał Cunningham. - Pani ręce krwawią.

- No tak. - Nawet tego nie zauważyła.

- Nic więcej tu nie zdziałamy. Niech technicy go przywiozą.

Znów zaczął wiosłować, kierując łódź pod prąd. Maggie potarła dłonie. Chciała je ogrzać i wytrzeć krew w dzinsy. Kolce

skaleczyły kilka palców i zadrapały grzbiet dłoni. Tak naprawdę nie było tak źle, jak można by sądzić na pierwszy rzut oka. W sumie to drobiazg, nic poważnego.

A jednak coś jej się nie zgadzało. Nagle sobie uświadomiła, że czegoś jej brak. W tej mętnej wodzie zgubiła obrączkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Las Państwowy Devil's Backbone

Susan Fuller obudziła się z potwornym waleniem w głowie. W ustach i gardle miała sucho, widziała jak przez mgłę. Kiedy spróbowała się ruszyć, miała wrażenie, że jej głowa zaraz eksploduje. Minęło sporo czasu, odkąd miała takiego kaca. Co gorsza, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Gdzieś nieopodal śpiewały ptaki. Jej twarz pieścił przyjazny wilgotny wiaterek. Zapach cedru i deszczu łagodził ból głowy. Ale czuła też lekką woń przejrzałych owoców.

Czekała, aż jej oczy przywykną do półmroku, jednocześnie starała się coś wyczuć palcami. Od podłogi oddzielały ją cienki materac i drapiący koc. Leżała na plecach, a kiedy próbowała się obrócić, powstrzymał ją ostry ból.

Wspomnienie tego, co się stało, powracało w krótkich migawkach. W panice dotknęła nadgarstków i przekonała się, że nie ma już skrępowanych rąk, choć czuła ślady, które zostawiły zaciski. Lekko poruszyła stopą i zdała sobie sprawę, że nóg też nic nie krępuje. Za to ruch uwolnił ból w prawym kolanie.

Uniosła się, usiadła i przetarła oczy. Pokój zaczynał wyłaniać się z mgły, wracała jej ostrość widzenia. Dostrzegła drewniane belki i boazerię na ścianach. Zgadywała, że to cedr, zapach był silny i wilgotny. Dwa okna zostały od zewnątrz zabite deskami, chociaż szyby w żadnym z nich nie były stłuczone czy choćby pęknięte.

Co to za miejsce? I jak, do diabła, tu trafiła?

Spuściła wzrok i popatrzyła na swoje niebieskie dżinsy, skórzane wsuwane buty i skarpetki. Cienki sweter podarł się na dole, przód był lepki i brudny. Potem nagle woń jajek i malin uruchomiła jej pamięć.

Odkąd przed kilkoma tygodniami otrzymała nową posadę, musiała wcześniej przyjeżdżać do pracy, ale wstawanie o świcie stało się dla niej prawdziwym wyzwaniem. Była cukiernikiem i bardzo lubiła swoją pracę. Wykonując ten zawód, spełniła swoje marzenia, więc starała się nie myśleć o tym, że nienawidzi wychodzić z domu, kiedy jest jeszcze ciemno.

Blok, w którym mieszkała, był bardzo duży, a trzy budynki stojące obok siebie tak naprawdę tworzyły miniosiedle. Tak wcześnie rano nikt tam nie wstawał. Ledwie wsiadła do samochodu, kiedy zauważyła starszego mężczyznę, który z trudem niósł dwie duże papierowe torby z zakupami. Rozpoznała logo na bokach toreb. Pochodziły z całodobowego sklepu spożywczego trzy przecznice dalej. Pamiętała, że się uśmiechnęła, gdyż sądziła, że jest jedyną osobą, która robi tam zakupy o najdziwniejszych porach.

Mężczyzna wyglądał znajomo. Pewnie mieszkał w którymś z budynków. Przygarbiony szedł powoli, lekko kulejąc. Miał okulary w grubych oprawkach i wiatrówkę z logo jakiegoś stowarzyszenia weteranów na plecach. Zanim zobaczyła, że się potknął i wysypał zawartość jednej z toreb, zdecydowała, że mu pomoże.

Zatrzymała się przy krawężniku i otworzyła okno.

- Potrzebuje pan pomocy?

Spojrzał na nią spłoszony. Już był na kolanach i starał się pozbierać jabłka, które potoczyły się po chodniku. Szkła w jego okularach były tak grube, że dwukrotnie powiększały oczy.

W sumie wyglądał żałośnie i kompletnie niegroźnie.

Teraz Susan podciągnęła rękaw swetra i zobaczyła ślady po ukłuciu igły, jakby musiała się przekonać, że to nie był sen.

Męczyzna kompletnie ją zaskoczył.

Powiedział jej, że mieszka za rogiem na końcu dużego parkingu należącego do kompleksu budynków. Susan zaczęła zbierać obtłuczone jabłka i zaoferowała, że podwiezie go do domu. Nie wyłączając silnika, otworzyła bagażnik, wzięła od nieznanego jedną z toreb z zakupami i chciała ją włożyć do środka.

Był niewiarygodnie silny. Pamiętała, że to ją zaskoczyło. Teraz widziała dowody tej siły, czyli sińce w miejscach, gdzie ją chwycił.

To wszystko stało się tak szybko.

W jednej chwili pochyliła się nad bagażnikiem, wkładając torby z zakupami, a w następnej poczuła ukłucie igły w ramię. Potem ją walnął w plecy, aż straciła równowagę, a na koniec wepchnął do bagażnika jej samochodu twarzą do przodu.

Substancja, którą jej wstrzyknął, niemal natychmiast ją sparaliżowała, w ogóle nie była w stanie się poruszyć. Wiedziała, że błyskawicznie skrępował jej nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach. Nie była w stanie poruszyć wargami, żeby krzyczeć, a mimo to i tak zakleił jej usta taśmą. Potem zatrzęsął bagażnik, a ona tam pozostała związana, sparaliżowana i pogrążona w kompletnej ciemności.

Wszystko to zajęło ledwie kilka sekund.

Obejrzała swoje ręce i zobaczyła kolejne ślady po ukłuciu. Były ich trzy. Być może to tłumaczyło, dlaczego nie pamiętała, co działo się po ataku tego mężczyzny. Ani tego, jak się tu dostała.

Nagle poczuła mdłości. Czego jeszcze nie pamiętała?

Z ociąganiem zmusiła się, by dotknąć spodni w kroku. Czy wiedziałaby, gdyby ją zgwałcił, kiedy była sparaliżowana, a jej

umysł był wyłączony? Nie czuła żadnego bólu. Nie wyczuła nic lepkiego. Sama myśl o tym, że mógłby to zrobić, była tak odrażająca, że miała chęć płakać z ulgi. Ale to, że dotąd nic jej nie zrobił, nie znaczyło, że nie zrobi tego później.

Susan rozejrzała się. Były tu tylko jedne drzwi. Może to mały domek z jednym pomieszczeniem albo szopa. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała, ale wyłapała tylko ptasie odgłosy i lekki stukot drobnego deszczu. Powiew, który wcześniej poczuła, pochodził z odpowietrznika na suficie.

Bolało ją całe ciało. Próbowwała się podnieść, lecz ból znów to uniemożliwił. W prawym kolanie czuła ogień. Przez dżinsy wyczuła, że jest spuchnięte. Zdołała wreszcie wstać, uważając, żeby nie stawać na obolałej nodze. Mężczyzna zdjął jej więzy. Miała nadzieję, że znajdzie coś, czym uda jej się wyłamać drzwi albo przynajmniej zamek. Kiedy jednak zaczęła się rozglądać, zauważyła, że drzwi nie mają żadnego zamka.

Zabarykadował je czy zamknął na kłódkę od zewnątrz?

Susan zamarła w bezruchu i nadstawiła uszu, ignorując ból i ciężki oddech. Potem chwyciła klamkę i bez wielkiego wysiłku pchnęła drzwi, otwierając je szeroko.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Maggie schowała dłonie pod pachy. Było zimno i wilgotno, miała wrażenie, że zmarzła na kość. Czuła się przegrana, ponieważ nie była w stanie uwolnić ojca Katie z plątaniny gałęzi i śmieci. Była zła, że zostawia go w zimnej mętnej wodzie.

Nie wiedziała, skąd biorą się te emocje. Oddanie dziewczynce ciała jej ojca nie przywróciłoby mu życia. Z drugiej strony wprawdzie minęło już ponad piętnaście lat, odkąd straciła własnego ojca, a jednak wciąż zbyt dobrze pamiętała, jaka to przeraźliwa strata dla dwunastoletniej dziewczynki.

Cunningham nalegał, żeby Delaney wsiadł z Katie do karetki, gdy dziewczynka nie zgodziła się tam wejść. Nie tylko stanowczo odmówiła, ale zaczęła krzyczeć, wymachując rękami, gotowa kopać bosymi stopami, gdyby ktokolwiek odważył się ją chwycić.

- Nie pojedę bez taty.

Maggie nie była pewna, co jej powiedział Delaney, ale udało mu się ją przekonać. Przyjął na siebie rolę negocjatora, przyjaciela i zastępczego ojca, a dziewczynka nie miała przy sobie żadnych innych bliskich osób. Karetka odjechała, a po kilku minutach pojawił się radiowóz szeryfa pilotujący mobilne laboratorium kryminalistyczne.

Cunningham wziął na bok szeryfa Gellera i zastępcę Steele'a, żeby przekazać najnowsze informacje. Zespół techników wypakował sprzęt na trawnik od frontu. Jeden z mężczyzn zaczął ustawiać reflektory. Ktoś wspomniał, że koroner powinien być za pięć minut.

Maggie obserwowała to w milczeniu. Jej zadanie dobiegło końca. Nic więcej nie mogła zrobić. Musiała czekać na zebranie dowodów i autopsję. To było jej pierwsze miejsce zbrodni, a ona czuła się kompletnie bezsilna.

- Myśli pani, że ta mała coś widziała?

Zastępca szeryfa zaskoczył ją, nie słyszała, jak do niej podchodził.

Wciąż patrząc na techników, wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć.

- Pani szef mówił, że była w piwnicy. Moim zdaniem stamtąd trudno cokolwiek zobaczyć.

Maggie przeniosła na niego wzrok. Patrzył na piwnicę, jakby próbował ocenić odległość.

Po wyglądzie sądząc, uznała, że Steele to mniej więcej jej rówieśnik, koło trzydziestki albo tuż po, jednak miał w sobie coś, co sprawiało, że wydawał się młodszy. Był zbyt pewny siebie, trochę za bardzo zarozumiały. Wzrostu Turnera, lecz drobniejszej budowy ciała, węższy w ramionach i pasie, choć całkiem silny i muskularny. Brązowa koszula od munduru ciasno opinała klatkę piersiową. Pod krótkimi rękawami prężyły się bicepsy, jakby nosił za mały o rozmiar mundur, żeby podkreślić swoje atuty.

Nie miał na sobie kurtki, co mimo okropnej pogody wcale mu nie przeszkadzało. Rondo kapelusza naciągnął nisko na czoło, stał na lekko rozstawionych nogach z kciukami wetkniętymi za pasek. Przypominał Maggie rewolwerowca z klasycznego westernu.

- W środku jest niezła rzeźnia, co?

Zdecydowanie nie miała ochoty rozmawiać o tym, co tam zobaczyła, ale Steele przeciwnie.

- Szeryf nie chciał, żebyśmy zanieczyścili miejsce zbrodni, ale wystarczająco dobrze się rozejrzałem.

- Widziałem gorsze rzeczy - powiedział Turner zza ich pleców i stanął obok Maggie. - Ale muszę przyznać, że jeśli chodzi o to ciasto, dawno nie spotkałem się z czymś tak przerażającym i szalonym.

- O czym pan mówi? - chciał wiedzieć Steele.

Maggie natychmiast podniosła wzrok na Turnera. Czy chciał, żeby ta informacja wyciekła? Niektóre szczegóły zbrodni zachowuje się w tajemnicy. Pewne rzeczy, o których wie tylko paru śledczych oraz sam zbrodniarz. Formalnie rzecz biorąc, zastępca szeryfa brał udział w śledztwie, jednak Maggie się zastanawiała, czy ten właśnie zastępca powinien to wiedzieć. Najwyraźniej pomimo przechwałek rozejrzał się za mało dokładnie.

- Sukinsyn zostawił coś w pojemniku na jedzenie na wynos - dodał Turner, a potem rzucił Maggie spojrzenie, jakby sprawdzał, czy nie przyprawił jej o mdłości. Chciała mu przypomnieć, że poprzedniego dnia podczas autopsji zdała egzamin, podczas gdy on jęczał i stękał. Turner podjął: - Wygląda to jak szarlotka z lodami z jakimś dodatkiem.

- Zaraz, a co to znaczy „z jakimś dodatkiem”?

Turner przeniósł na niego wzrok i unióśł brwi w oczekiwaniu, aż Steele domyśli się bardziej konkretnej odpowiedzi, jednak Maggie wyczuła, że ma z tym niejakie kłopoty.

- To nie brzmi dobrze - stwierdził wreszcie.

- Nie musi mi pan mówić - odparł Turner. - Zepsuł jeden z moich ulubionych deserów.

- Szeryf jest przekonany, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą - oznajmił Steele. - Myślicie, że to możliwe?

Tym razem Turner nawet nie mrugnął, a Maggie była zbyt przemarznięta, żeby kontynuować rozmowę. Obejrzała się przez

ramię i z radością zobaczyła, że Cunningham i szeryf właśnie do nich wracają. Steele też to zauważył i niczym za naciśnięciem guzika jego postawa natychmiast się zmieniła.

- Nic tu po nas - stwierdził szeryf Geller i wsadził koszulę za pasek, jakby chciał w ten sposób podkreślić, że właśnie skończyli pracę. - Może postawię wam drinka, zanim ruszycie do domu? Co wy na to?

- Dzięki, szeryfie. Niestety, musimy odmówić - odparł Cunningham. - Moi ludzie tu skończyli, ale wciąż mamy inne rzeczy do roboty.

Maggie spytała szeryfa:

- Znał ich pan? - Gdy spojrział na nią, jakby nie rozumiał pytania, doprecyzowała: - Mówię o ofiarach. Katie powiedziała, że to jej wujek Lou i ciocia Beth. Znał ich pan?

- Może i mieszkamy w zapadłej dziurze, agentko, ale nie wszyscy się tu znamy.

- Nie sądzę, żeby agentka O'Dell chciała pana urazić, szeryfie - natychmiast zareagował Cunningham. - Naszym zadaniem jest zebranie możliwie jak najwięcej informacji. Musimy mieć na względzie bezpieczeństwo dziewczynki.

- Jasna sprawa, rozumiem. - Szeryf przesunął do tyłu kapelusz, ale nie spuszczał wzroku z Maggie. - Oczywiście mogę zaoferować pomoc, jeśli się o nią martwicie. - Przeniósł wzrok na Cunninghama. - Proszę mi dać znać, do jakiego szpitala ją zawieźli, a ja postawię zastępcę przed drzwiami jej pokoju.

- To byłoby dobre rozwiązanie - odparł Cunningham i ruszył do suwa.

Maggie wyczuła napięcie między nimi. Ani Cunningham, ani szeryf Geller nie wyciągnęli ręki do uścisku. Nie powiedzieli też sobie, że będą w kontakcie ani że będą informować się na

bieżący.

Zerknęła na Turnera, by sprawdzić, czy też to zauważył. Ale on już siadał na tylnym siedzeniu, zostawiając jej miejsce obok Cunninghama. Puścił do niej oko i posłał uśmiech, jakby robił jej przysługę.

Jechali długim podjazdem w milczeniu, ale gdy tylko skręcili na główną drogę, Cunningham przerwał ciszę:

- Nie informujcie o niczym Gellera. Jeśli zadzwoni, skierujcie go do mnie. Zrozumiano? - Powiedział to rzeczowym tonem pozbawionym złości czy irytacji.

- Tak, oczywiście - jednocześnie odparli agenci.

Maggie czekała na dalsze wyjaśnienia, ale bez skutku.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Obcasy doktor Gwen Patterson stukały na posadzce szpitalnego korytarza. Właśnie wybierała się do Kennedy Center, kiedy zadzwonił Kyle Cunningham. Miała randkę z wykładowcą z Uniwersytetu Johns Hopkinsa - wysokim, śniadym i przystojnym, z tytułem doktora nauk przed nazwiskiem. Zaprosił ją na *Carmen* w Washington National Opera, a później na drinka w Columbia Room. Nie spędziła tak eleganckiego wieczoru chyba... nigdy. A jednak gdy tylko usłyszała głos Kyle'a Cunninghama, poczuła te cholerne motyle w brzuchu. Dłonie miała natychmiast wilgotne od potu, a pod koniec rozmowy złożyła mu obietnicę, która kompletnie zepsuła jej wieczór.

Niech to szlag!

Była zła, że tak na nią działał. Miał żonę, czyli znajdował się poza zasięgiem, ale chemia między nimi była tak namacalna, że mogłaby przysiąc, że inni ją zauważali, niezależnie od tego, jak bardzo starała się zachowywać ostrożność.

Pracowali razem tylko parę razy, a dokładnie mówiąc, trzy. Gwen była psychiatrą i prowadziła renomowaną praktykę w Waszyngtonie. Do jej klientów - nazywała ich klientami, rzadko pacjentami, chyba że wymagali hospitalizacji - należeli senatorowie i kongresmeni, a nawet pięciogwiazdkowy generał, ale specjalizowała się w zachowaniach przestępczych. Czasami się zastanawiała, co, do diabła, myślała, wybierając ten temat, ale

ją fascynował.

Napisała książkę, opublikowała dziesiątki artykułów i nagle stała się ekspertem, do którego media uwielbiały zwracać się o komentarz. Rok wcześniej jej gościnny występ w ogólnokrajowym talk-show przyciągnął uwagę zastępcy dyrektora Wydziału Badań Behawioralnych FBI. Chciał ją zatrudnić jako konsultantkę w sprawie pewnego morderstwa. Potem pojawiła się następna sprawa i jeszcze następna. Nie minęło wiele czasu i Gwen zapragnęła, żeby Kyle Cunningham pomyślał o niej nie tylko w związku z jakąś ofiarą morderstwa.

Miała nadzieję, że może to jest ten moment, jednak po odebraniu telefonu usłyszała:

- Gwen, potrzebuję cię.

Tak, właśnie te słowa i napięcie w jego głosie sprawiły, że teraz miękły jej kolana, choć składała to na karb nierównego chodnika i dziesięciocentymetrowych obcasów. Złapał ją na ulicy, nim wsiadła do czekającej taksówki.

Nawet gdy prosił ją o przysługę i chodziło wyłącznie o pracę, ani razu nie brała pod uwagę odmownej odpowiedzi.

Co z nią nie tak, na Boga?

Czemu mu nie powiedziała, że ma gorącą randkę i bilety do opery? Że jest ubrana w małą czarną z rozcięciem na udzie - kompletnie nieodpowiedni strój na wizytę w szpitalu. Nie wspominając o tym, że dziesięciocentymetrowe obcasy już maltretowały jej stopy.

Prosił ją o przysługę, a ona, nim się zorientowała, instruowała go, który szpital wybrać, i obiecała:

- Będę tam najszybciej, jak to możliwe.

Potem wsiadła do taksówki, podała kierowcy nowy adres i zadzwoniła, żeby odwołać elegancki wieczór. Właśnie tak

zachowują się przyjaciele, jeśli jeden z nich potrzebuje pomocy, powiedziała sobie, świetnie wiedząc, że ona i Cunningham nie byli przyjaciółmi. Ale tak właśnie wytłumaczyła to przystojniakowi z tytułami.

Zatrzymała się obok pokoju pielęgniarek. Siostra dyżurna podniosła na nią wzrok, a Gwen bez mrugnięcia zniosła jej lustrujące spojrzenie, choć nie było w nim cienia osądu. Jak każdy pracownik szpitala, w ciągu kilku ostatnich godzin najpewniej widziała dużo dziwniejsze rzeczy. Zdawało jej się, że pielęgniarka wygląda znajomo, mimo to na wszelki wypadek przedstawiła się:

- Jestem doktor Gwen Patterson. Mam się spotkać z dziewczynką, którą przywiezie tu FBI.

- Już tu jest. - Pielęgniarka wskazała w dół korytarza. - Umieścili ją w pokoju trzysta trzydzieści trzy. Wreszcie udało się ją uspokoić.

- Miałam nadzieję, że poczekają, aż z nią porozmawiam, zanim to zrobią.

- Gdyby czekali, mogłaby pani potrzebować kasku.

- Tak źle?

- Przede wszystkim była przerażona. Powiedzieli, że jej ojciec jest jedną z ofiar. - Wstała zza biurka, wyjęła coś z szuflady i podała Gwen ze słowami: - Szkoda niszczyć taką piękną sukienkę.

Gwen rozwinęła pakunek. Biały fartuch laboratoryjny był na nią za duży, ale z uśmiechem odparła:

- Dziękuję.

Włożyła fartuch i zaczęła podwijać za długie rękawy, ruszając do sali szpitalnej numer trzysta trzydzieści trzy.

Zanim dotarła do drzwi, z pokoju wyszedł jakiś mężczyzna. Włosy miał zmierzwione, krawat poluzowany, garnitur

pognieciony. Wyglądał na wykończonego. Ledwie go rozpoznała.

- Agencie Delaney! - zawołała.

Na jego twarzy pojawiła się ulga. Potarł brodę lewą ręką i podał jej prawą.

- Dziękuję, że pani przyjechała, doktor Patterson. - Zauważył jej sukienkę i szpilki. - Zdaje się, że zepsuliśmy pani wieczór.

- Drobiazg. - Wzruszyła ramionami, jakby nie miało to żadnego znaczenia. - Już parę razy widziałam *Carmen* i wiem, jak się kończy. - W końcu to nie wina Delaney. No i mogła im odmówić.

Skinął głową z uśmiechem, a potem poprowadził ją w głąb korytarza, żeby dziewczynka ich nie słyszała.

- Na imię ma Katie. Musieli podać jej środki uspokajające, więc nie jestem pewien, czy dowie się pani od niej czegoś więcej. Zastępca dyrektora Cunningham miał nadzieję, że Katie poda pani swoje nazwisko albo powie, czy ma jeszcze jakąś rodzinę. Jeśli to, co nam dotąd powiedziała, jest prawdą, straciła ciotkę, wuja i ojca.

- Widziała, co się stało?

- Jesteśmy niemal pewni, że gdyby widziała sprawcę, to też by nie żyła. Ale na dywanie są ślady bosych stóp, a ona była boso, kiedy ją znaleźliśmy, i miała zakrwawione stopy. Nie poranione, tylko brudne od krwi, można więc założyć, że weszła tam po fakcie i zobaczyła, co się stało.

- Było bardzo źle?

- Bardzo. - Delaney przeniósł wzrok, upewniając się, że nikt ich nie słyszy. - Wujek Lou wisiał z sufitu głową w dół, potem ktoś podciął mu gardło.

- Mój Boże... - Gwen na moment przymknęła oczy. Żadna dziewczynka nie powinna czegoś takiego oglądać.

- Niewykluczone, że spędziła w schronie całą noc, może nawet

dłużej. Lekarz powiedział, że jest odwodniona i w szoku.

- A jej tata?

- Powiedziała nam, że wpadł do rzeki. Wydobywali jego ciało, kiedy stamtąd odjeżdżaliśmy.

- Czy ona wie, że on nie żyje?

- Hm... - Delaney znów potarł brodę. - Pytała mnie o niego w karetce. Chciała wiedzieć, czy przywiozą go do tego samego szpitala. - Spojrzał jej w oczy, a ona widziała w nich ból, kiedy dodał: - Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Świetnie się pan spisał, agencie Delaney. Miała szczęście, że pan z nią był. Ile ma lat?

- Jedenaście, może dwanaście. Sądzę, że jest mniej więcej w wieku mojej najstarszej córki.

Glen zrozumiała, dlaczego dla doświadczonego agenta było to szczególnie trudne zadanie. Porównywał nie tylko wiek dziewczynek.

- Porozmawiam z nią. Proszę jechać do domu, agencie Delaney.

- Na pewno nie chce pani, żebym został z panią?

- Obiecuję, że będę się z nią obchodzić delikatnie. Prawdę mówiąc, wolę pobyć z nią sama. Gdyby pan tu był, traktowałaby pana jako mediatora. Proszę wracać do domu i uściskać córki.

Odprowadziła go wzrokiem do drzwi, a potem wróciła do drzwi pokoju dziewczynki. Środki uspokajające zaczęły działać. Katie spała. W szpitalnym łóżku z podłączoną kroplówką wyglądała na drobną i kruchą.

Gwen zerknęła na zegarek, siadając na krześle obok łóżka. Odwołała swoje plany na wieczór, żeby tu siedzieć i czekać. Nie po raz pierwszy zrobiła tak dla klienta i pewnie nie ostatni.

Zdjęła szpilki i wyciągnęła przed siebie nogi, krzyżując je w kostkach. Przyglądała się twarzy dziewczynki. Była spokojna,

tylko wargi miała lekko skrzywione. Co parę chwil drgały jej powieki.

To pewnie skutek sennych koszmarów, może też lęku przed ciemnością. Czyżby klaustrofobia? Będzie opłakiwała ciotkę i wuja. Będzie płakała za ojcem. Gwen nie mogła zrobić nic, co zapobiegłoby temu bólowi.

Ale jeśli szczęście im dopisze, dziewczynka doprowadzi ich do sprawcy tych zabójstw. I oby zdołała to zrobić, zanim do mordercy dotrze, że pozostawił przy życiu kogoś, kto mógł być świadkiem jego zbrodni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Quantico

Maggie prawie od godziny tkwiła przy komputerze, kiedy Turner zastukał do otwartych drzwi jej pokoju.

- Nie masz przypadkiem męża, który czeka na ciebie w domu?

- Jakoś wczoraj wieczorem nie byłeś tego ciekaw, gdy tak długo mnie zatrzymałeś.

Nie była pewna, czy czarnoskóry mężczyzna się zarumienił, ale ze sposobu, w jaki pokręcił głową, widziała, że mu dogryzła. Czy nie tak robią koledzy? Turner i Delaney bez przerwy sobie przygadywali.

- No, no, O'Dell ma poczucie humoru. - Oparł się o framugę. - Nie bój się, nikomu nie powiem. - Gdy się uśmiechnęła, dodał: - Ale tak na poważnie, O'Dell, zaczynamy przez ciebie wyglądać na leni.

- Przeglądam Program Ścigania Brutalnych Przestępców. - Program był tak naprawdę bazą danych, w której odnotowywano i analizowano brutalne przestępstwa, co pozwalało prowadzącym śledztwa odnaleźć zabójców, których działanie przypominało to, z czym sami się zetknęli. - Dwie ofiary z brakującymi częściami ciała w ciągu kilku dni i w odległości... - na moment zawiesiła głos - ponad stu pięćdziesięciu kilometrów jedna od drugiej. Co ty na to, Turner?

Wreszcie się zainteresował, co dało się wyczuć po jego pytaniu:

- Myślisz o tej kobiecie z odciętym palcem w lesie?

- Tak.

- Ale jeśli chodzi o to pudełko w przyczepie... - Skrzywił się. - Jeszcze nawet nie wiemy, co tam było.

- Prosiłam jednego z techników, żeby przysłał mi mejlem zdjęcie. Jestem prawie pewna, że to śledziona. Może wątroba.

- Skąd masz pewność, że to w ogóle część ludzkiego ciała? Wątroba cieląt jest obrzydliwa. Pewnie jeszcze bardziej obrzydliwa, jak poleży w przegrzanej przyczepie przez ponad dobę.

- Jestem prawie pewna, że to część ludzkiego ciała.

- Więc skąd się tam wzięła? Koleś wiszący z sufitu wyglądał tak, jakby został dźgnięty, ale nie wydaje mi się, żeby miał rozcięty brzuch.

- Było tam tyle czerwi, że na oko nie da się tego stwierdzić, prawda?

- Racja. - Wzruszył ramionami. - Wenhoff nam to powie. Znalazłaś coś w bazie danych?

- Ale nie w Wirginii, za to mam coś ciekawego w Massachusetts, w okolicy Bostonu. Jakies trzy miesiące temu. Postój dla ciężarówek przy międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć. Ktoś znalazł coś, co uznano za płuco. Zostało porzucone w brązowej papierowej torbie przed toaletą.

- A niech to. Jakim cudem nie słyszeliśmy o tym?

- Bo nie znaleźli ciała. Napisali, że płuco może pochodzić z ośrodka, gdzie przechowuje się organy od dawców. Ostrzegają, że to mógł być głupi żart.

- Raczej przerażający.

- Czy ta zaginiona radna nie pochodzi z okolicy Bostonu?

- Możliwe. Nie pamiętam. - Odsunął się od framugi. - Poważnie, O'Dell, to był długi dzień. Powinnaś pojechać do domu.

Odpocznij trochę.

Obiecała mu, że niedługo pojedzie, ale zaraz po jego wyjściu zaczęła kolejne poszukiwania. Sprawdzając listę podatników płacących podatki od nieruchomości, może znaleźć nazwisko wuja Lou i ciotki Beth. Im więcej się o nich dowiedzą, tym łatwiej trafią do mordercy. Ta sprawa nie przypominała innych, nad którymi pracowała. Tych, które znała tylko ze zdjęć i raportów. Rozwiązanie tej zagadki i wyjaśnienie tajemnicy nie stało się jej obsesją. Chodziło o coś innego. To było pilne, wiedziała, że czas ucieka. Tętno jej przyśpieszyło, powodując pulsowanie w skroniach. Czuła się zobowiązana wobec małej Katie. Wiedziała, co to znaczy stracić ojca. Nie tylko stracić, ale stracić w tragicznych okolicznościach.

To nie wszystko. O'Dell wytropiła wystarczająco wielu morderców, by wiedzieć, że gdy tylko ten sprawca odkryje, że zostawił przy życiu świadka, to wróci po niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Agent Delaney przekazał Cunninghamowi najświeższe informacje, więc zastępca dyrektora wiedział, że doktor Patterson przyjechała już parę godzin wcześniej. Był jednak miło zaskoczony, widząc, że jeden z zastępców Gellera pilnował dziewczynki, siedząc pod jej drzwiami. Pokazał mu swój identyfikator, wymienili tylko skinienia głowy.

Zastukał do drzwi, otworzył je powoli i po cichu wszedł do środka. Gwen, która siedziała na krześle przy łóżku, podniosła na niego wzrok. Dziewczynka spała.

- Przepraszam, że dopiero teraz jestem - powiedział, przeczesując palcami wilgotne włosy. Pojechał do Quantico, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Musiał się pozbyć smrodu z przyczepy. - Mówiła coś?

- Jeszcze się nie obudziła. Przed moim przyjściem musieli jej podać środki uspokajające.

Gdy Cunningham wszedł głębiej do pokoju, zauważył suknię Gwen. Prawdę mówiąc, najpierw jego uwagę przyciągnęły jej białe stopy. Skrzyżowała nogi w kostkach, podciągnęła spódnicę i odsłoniła dość uda, żeby to go zdekoncentrowało.

- Przerwałem ci wyjątkowy wieczór, prawda?

Wydawała się zdziwiona, że to zauważył. A przecież jeśli o nią chodzi, prawie nic nie umykało jego uwadze.

Wzruszyła ramionami, jakby nic się nie stało, więc Cunningham

uznał, że tak naprawdę było to jednak coś ważnego.

- Jestem ci winny taki wieczór - powiedział, patrząc jej w oczy, by wiedziała, że mówi szczerze.

Z łóżka dobiegł ich jęk i szelest. Dziewczynka z wolna podnosiła powieki.

Cunningham spojrzał na Gwen, a ona uniosła palec, żeby nie ruszał się z miejsca. Potem się pochyliła. Dotknęła ręki dziewczynki i odczekała moment.

- Cześć, Katie.

Mała rozglądała się nerwowo, a gdy zauważyła kroplówkę oraz igłę wbitą w grzbiet dłoni, wpadła w panikę. Gwen wstała z krzesła i uspokoiła ją, delikatnie, a jednocześnie stanowczo kładąc dłonie na jej ramionach.

- W porządku. Jesteś bezpieczna. Jesteś w szpitalu, ale wszystko jest w porządku.

Dziewczynka kręciła głową, przyglądając się otoczeniu. Zobaczyła Cunninghama i zatrzymała na nim wzrok. Poznała go.

- Mój tatuś... wpadł do rzeki. Poszedł pan go szukać.

Cunningham spojrzał na Gwen. Skinęła głową, pokazując mu, że może dziewczynce wyjawić prawdę. Żałował, że nie mieli szansy tego omówić. Nie wiedział, jak to powiedzieć, ale nie zamierzał kłamać.

- Znaleźliśmy twojego tatę w rzece, Katie.

Dziewczynka natychmiast usiadła. Gwen głaskała jej ramiona i plecy. Cunningham domyślił się, że była tak blisko dziewczynki na wypadek, gdyby musiała ją przytrzymać. Nie chcieli, żeby Katie wyskoczyła z łóżka i wyrwała igłę z dłoni. Ale wydawało się, że nie najgorzej to zniosła.

Potem jednak spytała:

- Czy jest tutaj, w tym szpitalu?

W tym momencie Cunningham poczuł, że serce mu zamarło.

Patrzyła na niego z niewinnością i nadzieją dziecka. Czemu nie spodziewał się takiego pytania?

Uratowała go Gwen:

- Katie, twój tatuś nie przeżył.

Dziewczynka wciąż patrzyła na Cunninghama, jakby nie usłyszała Gwen. A może chciała to usłyszeć od niego. Był ostatnim człowiekiem, który widział jej ojca. W jej rozumieniu był tym, kto poszedł wyciągnąć go z wody.

Właśnie dlatego Cunningham zadzwonił do Gwen z prośbą, by tam przyjechała. Żeby go uratowała przed mówieniem niewłaściwych rzeczy. Była ekspertem, więc powinna wiedzieć, jakich słów użyć, jak je wypowiedzieć. I co powiedzieć. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio rozmawiał z dzieckiem. Ale jedną zasadę dobrze zapamiętał: dzieci nie lubią, kiedy dorośli je okłamują.

- Przykro mi, Katie. Twój tata już nie żył, kiedy znaleźliśmy go w rzece.

Po jej twarzy spłynęły milczące łzy. Zapewne wciąż działały środki uspokajające. Nie rzucała się, nawet nie drgnęła. W jej oczach widać było smutek i spokojną akceptację.

- Wyciągnął go pan z wody? - chciała wiedzieć.

- Tak, wyciągnęliśmy go.

- Woda jest wciąż bardzo zimna, chociaż jest lato... - Powiedziała to tak, jakby powtarzała czyjeś słowa.

- Katie - odezwała się Gwen, czekając, aż dziewczynka w końcu na nią spojrzy. - Jestem doktor Patterson. Jestem tu po to, żeby ci pomóc. A to jest pan Cunningham. Już wiesz, że jest przedstawicielem prawa.

- FBI - powiedziała Katie, kiwając głową i patrząc na niego.

- Zgadza się. Pamiętasz. - Cunningham pozwolił sobie na uśmiech, choć przypuszczał, że oczywiście zapamiętała. Ile razy po otwarciu drzwi schronu krzyczeli, że są z FBI, nim zrozumieli, że nie ma tam żadnego zagrożenia?

- Pan Cunningham dowie się, co się stało z twoim tatą - podjęła Gwen. - Oboje zrobimy wszystko, żeby nie stało ci się nic złego. Okej?

Gwen przysiadła na brzegu łóżka i położyła rękę na ręce Katie. Wskazała Cunninghamowi krzesło, z którego wstała. Zrozumiał ją w lot. Nie chciała, żeby stał nad dziewczynką. Musieli być na tym samym poziomie, bo wtedy nie wyglądali groźnie i wzbudzali większe zaufanie. Przysiadł zatem na skraju krzesła opuszczonego przez Gwen. Było wciąż ciepłe i pachniało tak jak ona. Pod stopami miał jej szpilki.

- Jesteś głodna? - spytała Gwen.

Jedna z kroplówek zapewne dostarczała dziewczynce składniki odżywcze, ale czasami jedzenie bywa jednym z najlepszych sposobów na zdobycie uwagi i zaufania dziecka. Cunningham wiedział, że z jego synami to się zawsze sprawdzało. Wciąż działało, choć obaj byli już w college'u. Jeśli chciał z nimi porozmawiać, coś do przekąszenia zdecydowanie poprawiało atmosferę.

- Może zamówimy ci jakąś zupę? Lubisz grillowany ser?

Dziewczynka skinęła głową. Gwen zerknęła na Cunninghama, a on bez słowa odsunął się z krzesłem, by sięgnąć po telefon. Na stoliku leżało menu z instrukcją. Gwen rozmawiała z dziewczynką cichym, kojącym głosem. Cunningham złożył zamówienie przez telefon. Gdy skończył, Gwen przysunęła się bliżej Katie. Trzymała jej drobną dłoń w swoich dłoniach. Cunningham widział, że kciukiem gładziła dłoń dziewczynki, relaksując ją dotykiem.

- Katie - podjęła Gwen i urwała, czekając, aż mała znów na nią spojrzy. - Widziałas, co się stało z twoim tatą?

Katie patrzyła na Gwen, a potem przeniosła wzrok ponad jej ramieniem, na Cunninghama. Nie, wcale nie na niego. Patrzyła gdzieś dalej.

- Kazał mi się ukryć - odparła cicho. - Coś się działo. - Potem szeptem dodała: - Coś złego.

Gwen czekała. Ani ona, ani Cunningham nie wykonali żadnego ruchu. Katie nadal wlepiała wzrok gdzieś ponad ich głowami. Cunningham miał ochotę się odwrócić i zobaczyć, co przyciągnęło jej uwagę, ale zrozumiał, że Katie tak naprawdę na nic nie patrzy. Ona wróciła myślą do cioci i wuja.

Gwen postanowiła delikatnie ją zmobilizować.

- Kazał ci się ukryć. - Jej głos był cichy i ciepły, jakby czytała dziecku bajkę na dobranoc. - I wtedy zeszłaś do schronu? - Gdy Katie tylko skinęła głową, wciąż nie patrząc na Gwen, ta spytała: - I zamknęłaś drzwi?

Znów kiwnęła głową.

Tym razem Gwen odczekała w milczeniu pełną minutę, nim powiedziała:

- Katie.

Po kilku sekundach powtórzyła imię i czekała, aż dziewczynka nawiąże z nią kontakt wzrokowy.

A wtedy Gwen zadała pytanie warte milion dolarów:

- Skoro byłaś w piwnicy, skąd wiesz, że tatuś wpadł do wody?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zmiana Stucky'ego kończyła się o północy. Cały wieczór był rozkojarzony i popełnił parę błędów, ale nic drastycznego. Wydawało się, że nikomu to nie przeszkadzało, a jeśli nawet, nikt nie zwrócił mu uwagi. Zdaniem właściciela Stucky był „sumiennym pracownikiem”. Poza tym już sobie wyrobił opinię samotnika, żeby unikać pogaduszek ze współpracownikami czy nawet z właścicielem.

Gdy tylko wyszedł z pracy, ruszył do automatu telefonicznego, który widział w minionym tygodniu. Coraz trudniej było je znaleźć. Ilekroć dostrzegał gdzieś automat telefoniczny, zapisywał jego lokalizację w małym notesie. Ten znajdował się w ciemnym rogu podupadłej stacji benzynowej, dzięki czemu był jeszcze cenniejszy. Kiepsko radzące sobie firmy nie wydawały pieniędzy na kamery na parkingu. Stacja była nieczynna. W okolicy nikogo nie było.

Wybrał numer lokalnej stacji telewizyjnej. Ale nie numer informacji. O tej godzinie włączyłaby się sekretarka, która kazałaby mu oddzwonić. Nie, wybrał numer redakcji wiadomości. Z doświadczenia wiedział, że ktoś z zespołu odbierze, a gdy tak się stało, Stucky zaczął lekko histerycznym tonem:

- Moi sąsiedzi... Myślę, że ktoś ich zamordował. Widziałem policjantów, agentów FBI, karetkę...

- Powoli, proszę pana, spokojnie - przerwała mu kobieta. - Gdzie to jest?

Podał nazwę międzystanowej i numer zjazdu, oceniając

szacunkowo odległość do podjazdu przyczepy. Gdzieś w środku swoich wyjaśnień usłyszał kliknięcie i ciche buczenie. Ktoś inny podłączył się do rozmowy albo kobieta włączyła głośnie mówienie.

- Tam jest mała dziewczynka. Tylko ona przeżyła. Moja żona jest bardzo blisko z tą rodziną. Chcemy tylko wiedzieć, czy dziewczynce nic się nie stało. Szeryf nie chce nam nic powiedzieć.

- Nie mam żadnych informacji...

Gdzieś niedaleko odezwał się męski głos. Potem Stucky usłyszał postukiwanie. Kobieta sprawdzała coś w komputerze.

- Proszę posłuchać, muszę kończyć. Pomyślałem tylko...

- Nie, proszę chwilę poczekać.

Stucky powściągnął uśmiech. Chociaż nie mogła go zobaczyć, nie chciał, by usłyszała ten uśmiech w jego głosie. Wiedział, że jeśli będzie udawał, że chce zakończyć rozmowę, ona zrobi wszystko, by wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji.

- Może pan zostać na linii jeszcze chwilę? - spytała.

Jakiś mężczyzna stał tuż obok i przeszkadzał jej. Stucky słyszał go dość wyraźnie, wiedział, że mężczyzna mówi coś o wezwaniu karetki w tamtej okolicy. Kobieta musiała włączyć głośnik, żeby kolega też słyszał informatora, lecz zapomnieli, że on również może ich słyszeć.

- Wygląda na to, że zabrali pacjenta do Sacred Heart w Waszyngtonie.

- Nie do miejscowego szpitala?

Rozłączył się. Osiągnął swój cel. Kiedy wsiadł z powrotem do samochodu, usłyszał, że automat zaczął dzwonić.

Czy to nie słodkie? Oddzwania do niego.

Stucky miał niewielką kawalerkę niedaleko pracy, ale dawno temu nabrał zwyczaju wynajmowania pokoi w motelu, kiedy musiał zmienić tożsamość. Zwykle wybierał jeden z moteli przy

międzystanowej. Tego wieczoru recepcjonistka ledwie podniosła na niego wzrok, podając klucz do pokoju w zamian za zapłatę za nocleg w gotówce.

Przenośna lodówka z zamrażarką i duży worek marynarski zawsze zostawały na noc w bagażniku. Razem z kuszą w wodoodpornej zamkniętej na zamek błyskawiczny torbie, którą jakiś domokrażca sprzedał Stucky'emu po zawyżonej cenie.

Przygotowanie to sztuka. Istnieją różne zagrożenia, dzięki którym gra jest warta świeczki, ale podstawy? Nie ma powodu, by się o nie potykać, trzeba tylko o tym wiedzieć. To go różniło od takich amatorów jak ten rozwścieczony dupek. Co za masakrę zostawił w przyczepie!

No i rzecz jasna była jeszcze dziewczynka.

W ciasnym pokoju w motelu Stucky zdjął robocze ubranie jak kameleon zmieniający kolor skóry. Wyjął szkła kontaktowe, które zabarwiały brązowe oczy na niebiesko. Dodał trochę siwizny na skroniach, i chociaż nienawidził żelu do włosów, nałożył go dość szczerze. Potem zaczesał do tyłu grzywkę.

Z worka wyjął i rozłożył specjalnie podszyty T-shirt, który dodawał mu kilogramów w pasie. Kiedy włożył na to koszulę, była tak naciągnięta, że guziki wyglądały, jakby zaraz miały odpaść. Wziął ze sobą parę luźnych dżinsów, które pasowały do nowej talii. W ciągu paru minut dodał sobie dziesięć lat i jakieś pięć kilo wagi.

Był ciekaw, czemu zabrali dziewczynkę do szpitala w Waszyngtonie. Nie wyglądała na ranną. Wydało mu się to przesadną ostrożnością, ale również i to wskazywało, że za śledztwo odpowiada FBI. Nieźle. Policjantowi Dupkowi będzie dużo trudniej, a on być może zyska okazję ponownego zobaczenia ładnej agentki. Bardzo mu się podobało, że już zrobił na niej takie

wrażenie. Gdyby widziała więcej jego prac, zdobyłby jej szacunek. Z radością czekał na to wyzwanie.

Zostawił samochód w odległym rogu szpitalnego parkingu. Potem wszedł głównym wejściem, jakby tam był już niejedną raz. Pewnym krokiem przeszedł przez hol i minął informację, nawet nie zerkając na kobietę za biurkiem. Chciał sprawiać wrażenie osoby, która nie potrzebuje żadnych wskazówek ani instrukcji. Chciał, żeby wyglądało na to, że jest u siebie. A zatem szedł, nie zatrzymując się. Dopiero stając przed windami, pozwolił sobie zerknąć na plan budynku.

Kiedy przekonał się, że nikt na niego nie patrzy, oddalił się od wind i ruszył kolejnym korytarzem. Znalazł drzwi z tabliczką: „Tylko dla personelu”. Nacisnął klamkę. Nie były zamknięte. Otworzył je i wszedł do niedużego magazynu. Gdy stamtąd wyszedł, miał na sobie uniform woźnego i pchał wiadro na kółkach z mopem.

Pojechał windą na pierwsze piętro z pokojami chorych. Musiał uważać na kółka wiadra. Gdyby rozlał wodę, zwróciłby na siebie uwagę. Jednocześnie nie mógł wyglądać na kogoś, kto się waha. Zatrzymał się obok pokoju pielęgniarek i czekał, aż kobieta za biurkiem go zauważy. Im dłużej to trwało, tym bardziej był zadowolony. Już udało mu się wtopić w tło. Chociaż uprzejmość i cierpliwość nie przychodziły mu łatwo.

Kiedy kobieta podniosła wzrok, powiedział po prostu:

- Przysłali mnie, żeby posprzątać w pokoju jakiejś dziewczynki, która zwymiotowała. Podobno karetka przywiozła ją wczoraj wieczorem. Nie podali numeru pokoju.

Pielęgniarka wyjęła karty i zaczęła je przeglądać. Nawet się nie zdziwiła, że brakowało mu podstawowych informacji.

- Jedyne dziecko, jakie zostało przyjęte wczoraj wieczorem, jest

na trzecim piętrze. Pokój trzysta trzydzieści trzy. - Potem potrząsnęła głową i znów na niego spojrzała. - Biedactwo. Mam nadzieję, że nie będzie wymiotowała całą noc.

- Ja też - odparł, a ona się uśmiechnęła, po czym wróciła do swoich zajęć.

Stucky znów ruszył do wind. Skok adrenaliny sprawił, że trudno mu było iść powoli i pilnować, żeby woda nie przelewała się z wiadra.

To było takie proste... niemal zbyt proste.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Katie nie miała dla nich żadnych odpowiedzi. Zamiast tego zamknęła się w sobie.

Cunningham widział, że Gwen się tego spodziewała, ale oczywiście musiała zadać to pytanie. Rozumiała, że sprawa jest pilna. Jakiś czas temu podczas innego śledztwa powiedziała mu, że w medycynie nazywają to „godziną krytyczną”. Pierwsze dwie doby są najważniejsze, podczas nich wychodzi na jaw, czy pacjent zmierza w dobrą stronę, czy się wymyka.

Więc Gwen się domyślała, że to samo dotyczy śledztwa. Jeżeli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie ma żadnego tropu, podejrzanego ani aresztowanego, szanse na rozwikłanie sprawy maleją. Jeśli istnieją naoczni świadkowie zbrodni, trzeba zrobić wszystko, by poznać ich relację, dopóki jest świeża i niezmanipulowana przez plotki, media czy domysły. Ale kiedy naoczny świadek jest dotknięty tragedią, nie wspominając o tym, że jest to dziecko... Cóż, Cunningham nie miał pojęcia, czy Katie w ogóle będzie w stanie im pomóc.

Zgodzili się, że pozwolą dziewczynce odpocząć. Żadnych pytań, przynajmniej na razie.

Kiedy przyniesiono tacę z jedzeniem, Katie wysiorbała kilka łyżek rosołu i zjadła kilka kęsów kanapki z grillowanym serem. Jej oczy pojaśniały na widok deseru, który zamówił dla niej Cunningham. Była to miseczka lodów z czekoladowym syropem.

Dopiero kiedy pielęgniarka przyszła wykonać rutynowe badanie, Cunningham zdał sobie sprawę, że minęła północ. Pielęgniarka wydawała się zdziwiona, widząc, że Gwen wciąż tam jest. Wspomniała, że mają bufet, a potem zaoferowała się, że posiedzi z Katie. Obiecała, że nie ruszy się z miejsca do ich powrotu.

Cunningham zatrzymał się, kiedy rozpoznał umundurowanego zastępcę szeryfa, który tym razem stał przed drzwiami pokoju Katie.

- Zastępca Steele. Chyba pracuje pan drugą zmianę?

Steele wzruszył ramionami.

- Żal mi tej małej. Musiała się napatrzyć. Żadne dziecko nie powinno tego widzieć. Mam nadzieję, że dobrze się przyjrzała temu draniowi.

Cunningham omal nie powiedział, że mogą się tego nigdy nie dowiedzieć, ale ugryzł się w język. Zamiast tego spytał zastępcę szeryfa, czy przynieść mu coś z bufetu.

- Zabiłbym za kawę - odparł Steele, przecierając oczy. Był kompletnie nieświadomy fatalnego doboru słów.

- Ze śmietanką czy cukrem?

- Czarną.

Kiedy wsiedli do windy, Cunningham wyjaśnił Gwen, że szeryf hrabstwa Warren sam zaproponował, że jego zastępcy będą na zmianę pilnowali dziewczynki.

- To wyjątkowo miłe z jego strony - stwierdziła. - Zważywszy na to, że do Waszyngtonu jedzie się około godziny.

Cunningham wzruszył ramionami i zatrzymał dla siebie, że zapewne w ten sposób szeryf Geller chciał im wynagrodzić to, że coś przed nimi ukrywał.

Bufet był niemal pusty, tylko dwaj lekarze siedzieli przy stoliku

obok drzwi. Pora była zbyt wczesna na śniadanie, ale Cunningham zdołał przekonać kucharza, żeby przygotował jajecznicę na bekonie. Kucharz dodał nawet grzanekę, posmarował ją masłem i upiekł na grillu.

Kiedy czekali na zamówienie, Cunningham patrzył, jak Gwen wybiera stolik po przeciwnej stronie od stolika zajętego przez lekarzy. Zaniósła tam kawę. Cunningham zauważył, że zatrzymała się przy ladzie, by do jego kubka dodać śmietankę i cukier. Przesunął wyżej okulary i przetarł oczy, powściągając uśmiech. Pracowali razem tylko parę razy, a ona zapamiętała, jaką kawę pija.

Zapłacił rachunek, a potem zatrzymał się przy tej samej ladzie co Gwen. Mimowolnie sięgnął po serwetki, sól i sześć jednorazowych opakowań z galaretką z winogron, omijając tę z truskawek i odsuwając tę z wiśni. Kiedy ostatnio jedli razem śniadanie w bufecie w Quantico, żartował z niej, że tak grubo posmarowała grzanekę galaretką z winogron.

To głupie, że o tym myśli. Dziwne, że oboje pamiętają takie rzeczy.

- Musisz być wykończona - powiedział, kiedy postawił tacę na środku stolika.

Gwen wsunęła palce we włosy, jakby dopiero teraz chciała się do tego przyznać.

- Jak coś zjem, poczuje się lepiej.

- Myślisz, że Katie coś widziała? - spytał, popijając kawę. Uważał, że tak właśnie było, ale chciał znać opinię Gwen.

- Skąd inaczej wiedziałyby, że jej ojciec wpadł do rzeki?

Wzięła dwa opakowania z galaretką i zaczęła wyciskać spore porcje na grzanekę. Miała zadbane, świeżo pomalowane paznokcie, co mu przypomniało, że przez niego zrezygnowała

z planów na ten wieczór. Gwen zauważyła jego spojrzenie i popatrzyła mu w oczy. Odrobinę zbyt długo nie przerywali kontaktu wzrokowego. W końcu się odwrócił i wypił kolejny łyk kawy. Udawał, że zainteresowali go dwaj lekarze, którzy właśnie wychodzili z bufetu.

- Drzwi do schronu są z drewnianych desek - powiedział. - Są między nimi szpary. Patrzyła na nas, odrobinę unosząc drzwi.

- Więc mogła stamtąd obserwować, co się działo z jej ojcem?

- Nie, nie. Drzwi znajdują się na wprost podjazdu na podwórzu od frontu. Nie mogła widzieć rzeki, jeśli nie stała na zewnątrz schronu.

Spojrzał na nią, ciekaw jej reakcji. Grzebała widelcem w jajecznicy. To właśnie w niej cenił - była profesjonalistką. Nie myślała o zmęczeniu i emocjach, tylko skupiła się na rozwiązaniu łamigłówki.

- Delaney mówił, że mogła spędzić w schronie całą noc.

- Tak. - Cunningham skinął głową. - Szok i zmęczenie mogą zniekształcać wspomnienia. Ojciec kazał jej się ukryć. Być może powiedział, że weźmie łódź i popłynie po pomoc. Może kiedy nie wrócił, martwiła się, że wpadł do wody. Myślisz, że tak właśnie było?

Odparła bez wahania:

- Nie. Myślę, że widziała, jak wpadł do wody. Wiesz, jak się znalazł w rzece?

- Został postrzelony w plecy, pewnie gdy był na brzegu. - Gwen usiadła prosto, a kiedy potarła oczy, dostrzegł, jak bardzo jest wyczerpana. - Znaleźliśmy go z agentką O'Dell - mówił dalej. - Był zaplątany w jakieś śmieci przy brzegu. Technicy wydobyli ciało z wody. Wciąż pracują w przyczepie.

- Co się tam twoim zdaniem stało?

- Myślę, że Katie i jej ojciec mogli być na łodzi, kiedy pojawił się morderca - stwierdził Cunningham. - Od tylnej części przyczepy do rzeki jest jakieś sześćdziesiąt metrów. Morderca nie musiał obchodzić tego terenu. Jest tam wzniesienie i dużo drzew, do tego trudno zobaczyć z rzeki podwórze od frontu czy główne wejście do przyczepy.

- Więc Katie mogła widzieć...?

- Gdyby patrzyła na rzekę z podwórka na tyłach, to tak, mogła widzieć, że ojciec wpada do rzeki. Ale nie ze schronu.

- Więc wrócili po przejażdżce łódką. Katie powiedziała, że coś się stało. Coś złego.

- Ojciec mógł wyczuć, że coś jest nie tak. Może zobaczył samochód zaparkowany od frontu. Cokolwiek zobaczył, zaniepokoiło go to do tego stopnia, że wysłał Katie do schronu, a sam poszedł sprawdzić, co się stało.

- Myślisz, że przyłapał mordercę na gorącym uczynku?

- Albo morderca zobaczył go, kiedy skończył i wychodził z przyczepy. Ojciec Katie ruszył biegiem w stronę rzeki.

- A tamten go zastrzelił, zanim dobiegł do łodzi.

- Pewnie tak... - Cunningham skinął głową. - I w sumie jest to dość niezrozumiałe. - Odsunął talerz, oparł łokcie na stoliku. - Żadna z ofiar w przyczepie nie została zastrzelona, obie dostały cios nożem. Wyglądało tam i cuchnęło jak w rzeźni, bo morderca podkreślił ogrzewanie na ful. Sprawiało to wrażenie chaosu, jakby nie przyniósł ze sobą żadnego narzędzia zbrodni. Uważamy, że mógł się posłużyć kuchennym nożem. Związał im nogi i ręce kablem odciętym od lampki, czyli wcześniej nie przygotował sznura ani nic podobnego. A jednak miał przy sobie broń.

- W tym, co zrobił w przyczepie, był jakiś osobisty motyw - powiedziała Gwen. - Na zewnątrz musiał tylko pozbyć się kłopotu.

- Pewnie masz rację.

- Więc gdzie była Katie, kiedy nie była w schronie? - spytała Gwen.

- Musiała być na podwórku od tyłu. Może za drzewami.

- Myślisz, że widziała mordercę?

Cunningham przesunął wyżej okulary, usiadł prosto i skrzyżował ramiona na piersi.

- Myślę, że to niewykluczone - odparł.

- Ale on jej nie widział.

- Nie. Przecież by nie żyła, gdyby ją zobaczył.

- Skoro zabójca nie widział Katie, to nie ma powodu podejrzewać, że ona istnieje. Czemu więc przed jej drzwiami dyżuruje zastępca szeryfa? - spytała.

- Ponieważ nie będę w stanie długo ukrywać jej istnienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Maggie czuła woń popiołu i dymu. Nie, ogień już zgasł. To nie dym czuła, ale przypalone włosy i spalone ciało. Szukała, lecz we mgle nic nie mogła zobaczyć. Skąd płynął ten zapach?

Potem to dojrzała.

Na rzece kołysała się kolejna łódź. Wlepiała w nią wzrok, wskazując ją palcem.

- Podpłynmy trochę bliżej - powiedziała do Cunninghama, nie oglądając się na niego.

Posłuchał jej bez słowa.

Bliżej. Tylko odrobinę bliżej.

Mgła gęstniała. Teraz Maggie nie była już pewna, czy to w ogóle mgła. Może to unoszące się w powietrzu pyłki popiołu?

Nagle ta druga łódź pokazała się tuż przed nimi. Było za późno, żeby się zatrzymać i ich łódka w nią uderzyła. Tyle że tamto wcale nie było łodzią.

To była trumna.

Gładka, z ciemnego drewna, błyszcząca mosiężnymi zdobieniami, z brzegów wystawał miękki marszczony materiał. Pokrywy nie było. Maggie zawahała się, czy zajrzeć do środka. Znow zrobiło jej się niedobrze. Drżała z zimna i wilgoci. Nie dało się oddychać, nie wciągając cząsteczek popiołu.

Nie chciała tam zaglądać. Czuła się, jakby znowu miała dwanaście lat. Wiedziała, co znajdzie w środku. Za każdym razem było tak samo. Nie chciała widzieć ojca leżącego tam w świeżo wyprasowanym brązowym garniturze, którego nigdy wcześniej

nie nosił.

Nie zniosłaby znów widoku jego twarzy. Pracownicy zakładu pogrzebowego pomalowali jego spalone ciało, próbując ratować, co się da. Pamiętała szelest plastiku pod rękawem, kiedy go dotknęła. Pamiętała, że miał fatalnie zaczesane włosy. Wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć je z czoła, i gwałtownie ją cofnęła, widząc pęcherze i bliznę Frankensteina, którą zakrywały kosmyki.

- Mówiłam ci, żebyś go nie dotykała - zganiła ją matka.

Ale jak miała nie dotknąć własnego ojca?

Teraz ta trumna płynęła po rzece. To nie mógł być jej ojciec. To idiotyczne.

Stanęła na łodzi. Wzięła się w garść i pochyliła się nad trumną, żeby do niej zajrzeć.

Była pusta.

- Jest pusta - powiedziała do Cunninghama z ulgą i znów mogła oddychać.

Potem się do niego odwróciła. Ale Cunningham znikł, a na jego miejscu siedział ojciec. Ubrany w brązowy garnitur uśmiechał się do niej. Dłonie, którymi trzymał wiosła, miał owinięte plastikową folią.

Cofnęła się tak gwałtownie, że się pośliznęła.

Padając do tyłu, wymachiwała rękami. Nie miała się czego chwycić.

Spadała i spadała.

Gdzie jest woda?

Raptem się przebudziła. Usiadła i rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Słyszała swoje walące serce. Nerwowo łapała oddech. Była zlane potem. W ciemności szukała łodzi, szukała swojego ojca.

Potem wreszcie rozpoznała swój mały salon. Usłyszała znajomy szum lodówki za plecami. Poczwała zapach odświeżacza powietrza, przy którym upierał się Greg. Położyła się z powrotem na zniszczonej, ale wygodnej kanapie. Pled, którym się wcześniej przykryła, leżał splątany na wysokości jej stóp. Podciągnęła go, bo cała się trzęsa.

Jej tętno nadal szalało, kiedy usiłowała uspokoić oddech i próbowała sobie coś przypomnieć.

Ostatniego wieczoru późno wróciła do domu. Chciała tylko zmyć z siebie smród przyczepy pełnej śmierci. Chciała, żeby woda i para znów rozgrzały jej ciało. Chciała, żeby ten smród zniknął. Po gorącym prysznicu położyła się na kanapie pod pledem, żeby nie budzić Grega.

Prawdę mówiąc, nie miała ochoty z nim rozmawiać o tym, co działo się minionego wieczoru. Była zbyt wyczerpana. A on by ją wypytywał, a na koniec z całą pewnością wygłosiłby wykład. I bez tego wiedziała, że bardzo by mu się nie podobało, że Cunningham jako pierwsze miejsce zbrodni, na które ją zabrał, wybrał taką masakrę.

Była padnięta, nie miała na nic siły ani ochoty. Zamknęła oczy. Próbowwała myśleć o czymś innym niż miejsce zbrodni czy zwisające z sufitu ciało albo ojciec Katie kołyszący się tuż pod powierzchnią wody. Ale w jej śnie nie było tych obrazów. Zamiast tego pojawił się w nim ojciec, jego trumna. Ojciec, który zastąpił w łodzi Cunninghama.

Musi się tylko od tego odciąć, wyłączyć się. Potrafi to zrobić. Już przecież śniła o ojcu w trumnie.

Już śniła. Jakiś czas temu.

Czy to pytania Cunninghama przywołały znów ten koszmar?

Czy może Katie?

Maggie rozumiała, co dla Katie znaczy strata ojca. Znała to poczucie bezbronności, lęku - wszystko to wciąż było niemal namacalne.

Nie podnosiła powiek. Skupiła się na oddechu. Jeśli się bardzo postara, przywoła obrazy dobrych chwil z ojcem. Sobotnie popołudnia, kiedy oglądali mecze piłkarskie studenckiej ligi. Albo niedziele, kiedy grała drużyna Packersów.

Matka nie miała cierpliwości, żeby nauczyć się zasad gry. Chodziła na zakupy i zostawiała ich dwoje przed telewizorem. Jedli popcorn, czasami zamawiali pizzę. Jeśli Maggie mocno się na tym skupiła, czuła nawet zapach włoskiej kiełbaski i sera Romano. Ulubione potrawy ojca stały się jej ulubionymi potrawami.

Sypiała nawet w starej bluzie Packersów, dopóki Greg nie zaczął z tego powodu marudzić. Musi ją znaleźć. Już jej nie obchodziło, co Greg myśli albo mówi.

Podjąwszy decyzję, zaczęła znów zapadać w sen, usiłując sobie przypomnieć, gdzie też mogła schować tę bluzę. Zamiast liczyć barany, w myśli otwierała i zamykała szuflady. Rozwijiała i składała ubrania. Wiedziała, że bluza gdzieś jest, może na dnie szafy. Nie ma sensu wpadać w panikę. Poszukiwanie stało się kojące i usypiające. Wspomnienie miękkości bluzy przynosiło otuchę, nawet jeśli bluza już nie pachniała ojcem.

Odplynęła w głęboki sen i spała, aż obudziło ją stukanie garnków i kubków. Słyszała, że ktoś zdejmuje patelnię z relingu. Drzwi lodówki otworzyły się i zamknęły. Metalowa trzepaczka do jajek stuknęła o szklaną miskę. Powietrze wypełnił zapach świeżo parzonej kawy.

Greg nigdy nie szykował śniadania, nawet kawę kupował sobie w drodze do pracy. Ale oczywiście tego ranka szykował śniadanie.

Zdała sobie sprawę, że niczego nie uniknęła, choć bardzo się starała nie obudzić go w nocy.

Zamiast tego tylko pogorszyła sprawę. Greg był zły. Nie uniknęła jego wykładu, tylko go opóźniła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Stucky słyszał szepty w szpitalnym korytarzu. Dotarł dość blisko, by słyszeć fragmenty rozmowy. Zdawało się, że nikt nie zwraca uwagi na woźnego w średnim wieku, z mopem i lekką nadwagą. Był praktycznie niewidzialny. Wchodził już nawet do pokoju dziewczynki, żeby opróżnić kosz na śmieci.

Wszedł i wyszedł, tak po prostu, bez pytań. Strażnik przy drzwiach ledwie skinął głową.

Z tego, co Stucky słyszał, mężczyzna w rzece był ojcem tej małej. Najwyraźniej próbował uciec i Pan Policjant strzelił mu w plecy.

Wspaniałe poczucie sprawiedliwości.

Ciekawe, że nikt nie zauważył, że ten dupek wykorzystywał pracę i związaną z nią władzę, by rozładować swoją wściekłość. A może zauważyli, tylko było im wszystko jedno. Drań znalazł sobie bezpieczną przystań.

Ale to – to była kolejna wielka wpadka. Kolejny amatorski błąd.

Istnieje wiele rodzajów testów balistycznych, jakie można wykonać, kiedy już wyciągną z ciała kulę. Nieszczęsny dupek nie mógł nawet wyrzucić broni. Jak by wytłumaczył przełożonym, że stracił służbowy rewolwer?

A może tak właśnie zrobił? Może miał drugi rewolwer, o którym nikt nie wiedział? Czy łatwo byłoby wypożyczyć sobie jeden z tych, które należą do materiałów dowodowych? Albo nie zgłosić broni odebranej aresztowanej osobie? Gdyby policjant przywłaszczył sobie niezarejestrowaną broń podczas zatrzymania

handlarzy bronią, czy ktoś by się poskarżył?

Jakkolwiek było, nie wydawał się zbyt przestraszony. Zdecydowanie nie sprawiał wrażenia spanikowanego.

Stucky usłyszał za sobą otwierające się drzwi windy, a potem stukot obcasów i cichy stuk butów na płaskich obcasach. Nie patrząc, przesunął wiadro na bok.

- Dziękuję - dobiegł go kobiecy głos.

Skinął głową i trzymał ją pochyloną, żeby ta kobieta pomyślała, że jest grzeczny i skromny, choć tak naprawdę podziwiał jej nogi. Ładna ruda kobieta wróciła. Prawdę mówiąc, nazywają ten kolor „truskawkowy blond”, i to było lepsze określenie, ponieważ brzmiało równie smacznie, jak ona wyglądała w krótkiej czarnej sukni. Była z tym gościem z FBI z przyczepy, najstarszym z trzech gości z FBI. Palant ma szczęście, a ledwie zauważa, jak ona na niego patrzy.

W tym momencie Stucky zdał sobie sprawę, że całkiem zapomniał o Susan Fuller.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Las Państwowy Devil's Backbone

Od chwili, gdy Susan wyszła z szopy, deszcz na przemian padał i ustawał. Trzy razy krążyła zarośniętymi ścieżkami, walcząc z gałęziami i kolcami, które ją drapały i dźgały. I trzy razy zarośnięte ścieżki doprowadziły ją z powrotem do szopy.

W półmroku nie miała pojęcia, w jakim kierunku idzie. Sosny były tak wysokie i rosły tak gęsto, że ledwie widziała niebo, a dokładnie mówiąc, ciemne chmury. Ból w kolanie dawał się bardzo we znaki. Nawet gruba gałąź, którą się podpierała jak laską, niezbyt pomagała. Tak mocno przygryzała z bólu dolną wargę, aż zaczęła krwawić. Ręce i twarz miała podrapane przez mniejsze gałęzie. Przestała już oganiać się od komarów, bo niewiele to dawało. Buty miała całe zabłocone, stały się ciężkie od lepkiej mazi. Przemoknięte ubranie przyklejało się do ciała. Chwilami słyszała, jak szczeka zębami z zimna, bo była przemarznięta do kości.

Kiedy w lesie zaczęło się ściemniać, Susan została obok szopy. Bała się opuszczać znajomy teren. Im dłużej nękały ją deszcz, zimno i owady, tym bardziej chciała wrócić do szopy. A jednak ukryła się między drzewami, skąd widziała frontowe drzwi, jedyne drzwi szopy. Mężczyzna jeszcze nie wrócił. Chodząc w kółko, nie napotkała niczego, co przypominałoby drogę. Jednego była pewna. Jeśli on wróci, będzie musiał tam dotrzeć na piechotę.

W pewnym momencie zdrętwiała z zimna, mokra i bardzo już

głodna przemknęła się z powrotem do szopy. Brudny materac i gryzący koc wydawały się luksusem. Z początku zostawiła drzwi otwarte, bo las rozświetlały błyskawice. Jeśli on wróci, chciała go widzieć w drzwiach, zanim on dojrzy ją w ciemnym kącie. Przesunęła nawet materac na drugą stronę pomieszczenia, gdzie było ciemniej.

W kącie odkryła jedną z toreb ze sklepu spożywczego. Nieważne, czy zostawił ją przypadkiem, czy celowo. Zaczęła w niej grzebać jak oszalała, wypła butelkę wody i zjadła jedno z obtłuczonych jabłek razem z ogryzkiem. W torbie, już podartej przez jej nadmierną ekscytację, znalazła rozmaite obtłuczone owoce i opakowania z jedzeniem zgniecione przez nią samą, bo na nich leżała w bagażniku. Szarpnięciem otworzyła jedno z pudełek z pokruszonymi krakersami i zaczęła wpychać je do ust.

Grzmot rozległ się tak blisko, że poczuła wibracje. Deszcz zamienił się w ulewę. Wilgoć czuła też z wywietrznika w dachu.

Nie, w taką pogodę on nie wróci.

Próbowała się przekonywać do tej myśli, gdy leżała zwinięta na materacu i przykryta gryzącym kocem, który skrywał obolałe i mokre ciało. Nie przejmowała się, że czuć go było czyimś zapachem. Zapachem innego człowieka. Ile jeszcze ludzi tu przywoził?

Przestań! Nie myśl o tym.

Musi odpocząć. Musi się ogrzać i ukoić ból.

Tylko na parę godzin.

Tylko tego pragnęła. Zostanie tu do końca burzy, aż deszcz ustanie. Może do świtu. Nabierze sił, by znów wyruszyć z szopy. Znajdzie jakąś drogę. Znajdzie jakichś ludzi, ale kiedy odpocznie i nabierze sił. Musi tylko jeszcze coś zjeść. I wypić jeszcze trochę wody.

Ale teraz musi odpocząć. Była wykończona, głowę miała tak ciężką, że nie mogła jej podnieść z materaca. Zaczęła myśleć o małej cukierni, gdzie pracowała. W wyobraźni mieszała mąkę, cukier puder, jaja i mleko. Wyrabiała ciasto i wycinała foremką ciasteczka, aż niemal czuła zapach świeżo upieczonych ciastek, babeczek i ciastek z owocami.

I w ten sposób Susan Fuller ukołysała się do snu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Quantico

Kiedy Maggie przyjechała do laboratorium kryminalistycznego, uświadomiła sobie, że nie powinna czuć tak wielkiej ulgi, że już nie jest w domu. A jednak tego ranka czuła się tak, jakby uniknęła kuli. Przetrwiała śniadanie i dość szybko udało jej się zmienić temat, przechodząc od jej pierwszego miejsca zbrodni do zbliżającego się procesu Grega. Jego firma prawnicza zajęła się poważnym pozwem, a Greg miał być głównym oskarżycielem.

Kiedy poznali się w college'u, Greg nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w sali sądowej. Żartowali, że Maggie będzie ścigała zbrodniarzy, a Greg wsadzał ich za kratki. Jednak z upływem czasu coś się zmieniło i Greg postanowił walczyć z czarnymi charakterami, a nie z mordercami i gwałcicielami.

Prawdę mówiąc, cieszyła się, że Greg lubił swoją pracę. Żałowała tylko, że w podobny sposób nie myśli o jej pracy. Ostatnio zbyt wiele ich rozmów zamieniało się w sprzeczki. Jeśli nie robił jej wykładu, to próbował ją przekonać, żeby zaczęła pracować jako śledczy w jego firmie.

- Poważnie, Maggie, nie wolałabyś grzebać w plikach w komputerze, zamiast szukać ludzkich szczątków w pojemniku na śmieci?

Może coś było z nią nie tak, ale godziny spędzone nad billingami i wyciągami z kart kredytowych czy polowanie na skandaliczne niedyskrecje nie budziły w niej entuzjazmu. Takie

zajęcia wydawały się jej otępiające. I choć brzmiało to jak szaleństwo, choć w przyczepie żołądek podszedł jej do gardła, nie zamieniłaby się miejscami.

Na szczęście tego ranka Greg bardziej chciał podzielić się z nią swoimi dobrymi wieściami, niż wysłuchiwać jej wieści. Kiedy jednak zauważył jej ręce, miała ochotę uciec. Przemyśla i zdezynfekowała zadrapania, ale wiedziała, że wciąż kiepsko wyglądają.

- Co się stało z twoją obrączką?

Oczywiście, że właśnie to zauważył. Nie zwrócił uwagi, że jej ręce wyglądają, jakby walczyła z wściekłym szopem praczem, za to od razu rzucił mu się w oczy brak obrączki. Wiedziała, że będzie zły. Może nie tak bardzo zły, jeśli poda mu powód, którego mógłby się spodziewać.

- Wiesz, miałeś rację. Powinnam być bardziej ostrożna.

- Och, Maggie, na Boga! Mówiłem ci to dziesięć razy.

- Wiem, co najmniej dziesięć.

- Co ja ci wciąż powtarzam? Zdejmij obrączkę, kiedy zmywasz naczynia, bo wpadnie do odpływu.

- Przepraszam, nie uważałam.

W drodze do Quantico zastanawiała się, czemu utrata obrączki tak niewiele ją obeszła. Owszem, było jej przykro, że za mało uważała. Ale czemu się tym nie zdenerwowała? Zastanawiała się, czy utrata obrączki nie jest po prostu kolejnym fragmentem ich związku, który gdzieś zgubili.

Maggie weszła do laboratorium i zobaczyła, że Keith Ganza zaczął pracę, nie czekając na nią. Na blacie leżały materiały dowodowe, a w każdym razie te, które nie wymagały przechowywania w lodówce.

Kiwnął jej głową, kiedy wkładała rękawiczki. Poprzedniego dnia pierwszy raz była na prawdziwym miejscu zbrodni, ale już parę lat pracowała z Ganzą nad dowodami i śladami. Śledczy, którzy przysyłali jej zdjęcia z miejsc zbrodni do analizy, dołączali także woreczki z dowodami, a Maggie i Ganza próbowali ułożyć z nich jakąś całość.

Ceniła jego fachowość, choć bardziej przypominał podstarzałego perkusistę zespołu rockowego niż specjalistę medycyny sądowej. Wysoki, chudy i lekko przygarbiony, dziwnie wyglądał w długim i białym, a właściwie szarawym fartuchu laboratoryjnym. Pod nim miał dzinsy i czarny T-shirt z białą czaszką i skrzyżowanymi kośćmi. Cienkie włosy związywał w koński ogon. Czasami nosił kępkę zarostu na brodzie. Ostatnio wyhodował prawdziwą kozią bródkę.

- Podobno wczoraj wygrałaś wycieczkę na swoje pierwsze miejsce zbrodni?

Natychmiast się zaczerwieniła, ale Ganza stał pochylony nad preparatem, który właśnie przygotowywał. Nie powinna się dziwić, że wieści już się rozeszły.

- Więc słyszałeś, że puściłam pawia?

Podniósł wzrok, okulary w drucianych oprawkach miał prawie na czubku nosa.

- Nie, tego nie słyszałem.

- Poważnie?

- Turner powiedział tylko, że wygrałaś wycieczkę na swoje pierwsze miejsce zbrodni.

- Aha. - Czują, że mówił prawdę. Była zdziwiona, ale zadowolona.

- Przykro mi, że ciasteczka tak na ciebie podziały. - Wrócił do szkiełka z preparatem. - A może to było ciasto z owocami?

- Połączenie szarlotki i tego czegoś, co morderca zostawił na blacie.

- To śledziona.

Czyli dobrze zgadła.

Wskazał fotografię po lewej stronie. To był duplikat zdjęcia, które Maggie poprzedniego wieczoru dostała od techników. Kiedy nie czuła zapachu, maziowate paskudztwo nie wyglądało tak źle, żeby wywoływać festyn wymiotów.

- Szarlotka po holendersku i francuskie lody waniliowe - powiedział Ganza.

- Jesteś w stanie stwierdzić, że są francuskie?

Wzruszył ramionami.

- Technik znalazł pojemnik po lodach w lodówce i przywiózł nam do zbadania.

- Skąd masz pewność, że to śledziona? - spytała, choć sama była tego pewna.

- Trzymam ją w lodówce w zamkniętym pojemniku, jeśli masz chęć rzucić okiem. Wenhoff później przeprowadzi autopsję i ostatecznie to potwierdzi, ale jestem prawie pewien, że to śledziona.

- To chyba nie ma sensu?

- Mówisz o połączeniu czegoś holenderskiego z czymś francuskim?

Przewróciła oczami.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie i dodał:

- Mordercy mają na sumieniu oryginalniejsze rzeczy.

- Tam panował chaos. On improwizował. Żeby związać im nogi i ręce, odciął kable od lamp. Domyślam się, że poderżnął im gardła kuchennym nożem. Nie wygląda na kogoś, kto wie, gdzie jest śledziona, nie wspominając już o tym, żeby ją tak wprawnie

wyjąć.

- Wprawnie?

- Widziałam dwa ciała. Poza tym, że podciął gardła, nie zauważyłam żadnych ran. W miejscach, gdzie prawdopodobnie zadał ciosy, było już mnóstwo czerwi. Możliwe, że pod nimi było większe cięcie, ale śledziona nie da się wyjąć tak sobie. Jest umiejscowiona pod żebrami, wciśnięta w górną lewą część jamy brzusznej. I to raczej z tyłu.

Ganza spojrzał na nią, kiwając głową, po czym mruknął:

- Interesujące.

Patrząc na wyraz jego twarzy, Maggie była wdzięczna, że nie powiedział: „Skąd ty to wszystko wiesz, do diabła?”. Ale pracował z nią już wystarczająco długo, by wiedzieć, że w potoku jej słów i informacji nie było cienia chępliwości. Tak po prostu pracował jej umysł.

Ganza zdjął lateksowe rękawiczki, umył ręce, osuszył je i skierował się do lodówki w kącie. Przez chwilę myślała, że wyjmie pojemnik na jedzenie na wynos zapakowany w worek na dowody, ale na szczęście wziął tylko dwie puszki dietetycznej pepsi.

Podał jedną Maggie, otworzył swoją puszkę i wypił duszkiem. Kiedyś ją przerażało, że Ganza w tej samej lodówce trzyma lunch i zapas dietetycznej pepsi oraz dowody z miejsc zbrodni. Kiedy na nią nie patrzył, wytarła wieczko puszki. Może wciąż ją to trochę przerażało.

- Okej, więc nie wiemy, czy śledziona należy do którejś z dwu ofiar - stwierdził. - Musimy poczekać na wyniki autopsji Wenhoffa.

- Byłabym zdziwiona, gdyby nie należała do którejś z tych osób. Morderca wydawał się bardzo niezorganizowany, jakby działał

bez planu. Nie przyniósł sznura, żeby ich związać. Posłużył się nożem, który wziął z kuchni w przyczepie. Działał spontanicznie. A teraz posłuchaj: gdyby śledziona nie pochodziła od jednego z mieszkańców przyczepy, to musiał ją wcześniej gdzieś zdobyć. I po co przywiózłby ją do przyczepy po wycięciu z innego ciała?

Kiedy Ganza po raz kolejny wzruszył ramionami, jego koński ogon się zakołysał.

- Przypominam ci raz jeszcze, że widzieliśmy dziwniejsze rzeczy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Jak wynika z ewidencji podatków od nieruchomości, właścicielami przyczepy byli Louis i Elizabeth Tannerowie - powiedziała Maggie do Ganzy, który w tym momencie przyglądał się kawałkowi wykładziny wyciętemu przez techników w przyczepie.

- To nie są rodzice tej dziewczynki? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Katie mówiła o nich wujek Lou i ciocia Beth. Jej ojca znaleźliśmy w rzece.

- Nie miał w kieszeniach żadnych dokumentów?

- Mogły być na dnie rzeki. - W myśli dodała: Razem z moją obrączką. Przeciągnęła się, zebrała na odwagę i przeszła na tę stronę blatu, gdzie stał Ganza, po czym spytała: - Czy technicy znaleźli ślady butów?

- Powiedzieli, że ten jest najlepszy. Mam jeszcze trzy inne.

- Ślady butów?

Wskazał fragment wykładziny dywanowej, gdzie był odcisnięty obcas.

- Domyślam się, że wszystkie ślady bosych stóp zostały wykluczone? - Położył na blacie zdjęcia, jakby rozkładał karty.

- Dziewczynka miała krew na podbiciu stóp. Musiała wejść do środka.

Maggie sięgnęła po drugi plik zdjęć Ganzy i zaczęła je przeglądać. Podobnie jak on, kładła na blacie jedno zdjęcie obok drugiego nad rzędem ułożonych przez niego zdjęć z odciskami

stóp. Były tam różne ujęcia zbryzganych krwią ścian, a także kilka zbliżeń ran wypełnionych czerwiami. Była zadowolona, że Cunningham nie kazał jej uczestniczyć w autopsji. Nienawidziła czerwii.

Coś w tych zdjęciach nie dawało jej spokoju.

- Tam było mnóstwo krwi - powiedziała, bo zawsze wszystko omawiali, taki mieli zwyczaj. - Morderca musiał stać dość blisko Tannera, żeby podciąć mu gardło. Krew spryskała wszystkie ściany, jego też musiała spryskać. To dlaczego nie ma żadnych jego śladów?

- Może też zdjął buty? Niektóre ślady są tak niewyraźne, że pewnie nie uda nam się określić rozmiaru obuwia. Dziewczynka mogła tam wejść boso, ale on też mógł być boso.

- Albo miał ochraniacze na buty - powiedziała w zamyśleniu Maggie, patrząc na zdjęcia sufitu. - Musiał zwięzać Tannera i powiesić go, zanim podciął mu gardło. Czy to byłoby bardzo trudne?

- Nie tak trudne, jak się zdaje. - Wyciągnął rękę i wskazał zbliżenie haka na suficie. - Zapewne najtrudniejszy dla niego był sam początek, czyli obezwładnienie ofiar. Musiał zwięzać im ręce i nogi. Potem, kiedy już zaczepił kabel na haku, wystarczyło, że pociągnął go w dół. Zadziałało jak wciągarka podczas przemieszczania ciężaru w górę.

- Nie prościej byłoby najpierw zabić Tannera?

- Może nie miał tego w planie.

- Myślisz, że chciał mu tylko zadać cierpienie? - spytała.

- Hej, ja analizuję dowody, to ty robisz mordercy psychoanalizę.

- Nie było śladów włamania, więc może dobrze go znali i sami go wpuścili. Ale on nie wiedział o Katie i jej ojcu.

- Czasami w wiejskiej okolicy ludzie nie zamykają drzwi na

klucz - stwierdził Ganza.

Maggie doszła do zdjęć szarlotki.

- Nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że mordercy zabierają ze sobą łupy od swoich ofiar. Ale jeśli śledziona nie należy do jednego z Tannerów, to znaczy, że morderca przyniósł ją ze sobą na miejsce zbrodni.

- Czy śledziona ma jakieś znaczenie symboliczne?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami.

- Czy ojciec dziewczynki miał rany cięte? Może to jego śledziona - zasugerował Ganza.

- Technicy nic o tym nie wspominali. Ale jest kolejna tajemnica. Morderca posłużył się nożem, żeby zabić dwie ofiary w przyczepie, ale kiedy chciał zatrzymać ojca Katie, strzelił mu w plecy. Więc miał broń. Czemu nie zastrzelił wszystkich troje?

- Po kuli można trafić do broni.

- Mógł ją wrzucić do rzeki.

- Może nie chciał się jej pozbywać.

- Hm... - Maggie zastanawiała się przez chwilę. - Bardzo niewielu seryjnych morderców posługuje się bronią palną. Pistolet, rewolwer, strzelba, to za mało osobiste.

- A to było osobiste.

- Nie wiem, jak bardzo, ale tak, było osobiste, bo zabójcy zależało na tym, żeby Tanner się bał. Po co inaczej by go wieszał?

- Ale kobieta nie została powieszona.

- To prawda. - Maggie zadumała się na moment. - I raczej nie została wykorzystana seksualnie. Oczywiście będziemy mieć pewność dopiero po autopsji Wenhoffa.

Telefon na ścianie zaczął dzwonić. Keith odebrał po trzecim dzwonku.

- Ganza, słucham? - Chwilę milczał, zerkając na Maggie. - Tak,

jest tu. Chcesz z nią porozmawiać? - Znów milczał, kiwając głową. - Da się zrobić. - Rozłączył się, zdjął rękawiczki i włożył nową parę. -Cunningham wciąż jest w szpitalu u tej dziewczynki. Pytał, czy możesz tam pojechać. Pokój trzysta trzydzieści trzy.

- Chce, żeby mu coś zawieźć?

- Raczej chce się dowiedzieć, co nowego, a wolałby nie rozmawiać przez telefon.

- Powiedziałaś, że wciąż jest w szpitalu? Przecież pojechał tam wczoraj w nocy.

Wzruszył ramionami, jakby nie zamierzał przejmować się harmonogramem zajęć Cunninghama.

- Poczekaj chwilę. Jest coś jeszcze, co wydało mi się bardzo dziwne. - Ganza ponownie ruszył do lodówki i wyjął pojemnik na jedzenie na wynos, w którym było ciasto. Otworzył plastikową torebkę na dowody i wysunął na blat maziowate paskudztwo. Maggie z ulgą przekonała się, że jej żołądek już nie protestował, może dlatego, że nie było tu much, a zapach stracił na sile. - Da się sprawdzić, skąd pochodzi ten pojemnik? - spytał.

- Sądzę, że to masowa produkcja, takie same są we wszystkich firmach kulinarnych. Ale sprawdzę. Może być jakiś numer partii czy jakiś inny trop.

Czubkiem palca w rękawiczce Ganza uniósł róg ciasta i powiedział:

- Coś jest pod spodem. - Wyglądało to jak skrawek papieru.

- Jakiś list? - spytała.

- Widziałem to już wcześniej, ale bez ciebie nie chciałem tego ruszać.

Wziął nóż i szczypce, delikatnie podważył ciasto nożem, po czym wyciągnął papier. Trzymał go szczypcami, ostrożnie, za róg. Wyglądało to na przemoczony paragon, tyle że papier był trochę

grubszy, a druk rozmazany. Na dole przykleił się kawałek szarlotki.

- Możesz coś z tego odzyskać? - spytała Maggie.
- Znasz mnie. Kocham wyzwania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Stucky wiedział, że nie zostało wiele czasu i musi się tym zająć, i to szybko, zanim dupek znów coś nabroi.

Ten drań pomieszał mu szyki. Już nie chciał grać w jego grę. Była nudna, nie stanowiła dla niego dostatecznego wyzwania. Jego ofiara czekała, aż ją upoluje. Poza tym Stucky absolutnie nie zamierzał pozwolić, by go złapano przy okazji cudzej amatorskiej roboty. A dałby głowę, że bez jego pomocy dupek tylko bardziej by się pogryzął.

Udając woźnego, mógł dostać się do rozmaitych pomieszczeń w szpitalu, a podczas nocnych wypraw korzystał z okazji i zdobył całkiem sporo cennych instrumentów chirurgicznych. Zawsze dobrze jest uzupełnić zapasy, ale większość tych rzeczy będzie od razu potrzebna.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby zobaczyć, jak bardzo przekrwione oczy ma ten mężczyzna. Paznokcie poobgryzał niemal doszczętnie i nerwowo przytupywał. Był niespokojny, zbyt niespokojny, chociaż to ukrywał, ilekroć ktoś pojawiał się w pobliżu. Przed przyjazdem do szpitala zapewne się przebrał, ale po wielu godzinach siedzenia te ciuchy też już były zmięte.

Tak bardzo – wręcz obsesyjnie – skupił się na pilnowaniu pokoju dziewczynki, że nie zwracał uwagi na woźnego, który tuż przed nim mył mopem podłogę w korytarzu. Ledwie spojrzał na Stucky'ego, gdy podał mu złożoną kartkę papieru, mrużąc, że sekretarka oddziału prosiła, żeby mu to przekazać. Dupek nie kwestionował kiepskiego wyjaśnienia, na mop i wiadro patrzył

dłużej niż na Stucky'ego. Kiedy w końcu podniósł wzrok, Stucky mył już podłogę w dalszej części korytarza, stojąc do niego tyłem. Nieważne. I tak nigdy by go nie rozpoznał.

Zanim Stucky ruszył do wind, obejrzał się przez ramię. Dupek nie wiedział, co robić. Nieszczęsny drań naprawdę wyglądał na rozdartego, ponieważ właśnie w tym momencie gość z FBI i jego atrakcyjna towarzyszka znowu szykowali się do wyjścia z pokoju. Stucky'ego minęła pielęgniarka. Będzie siedziała z dziewczynką, tak jak poprzednim razem, gdy tamtych dwoje opuściło pokój. Ale pielęgniarki mają różne nieoczekiwane zajęcia. Ktoś może ją pilnie wezwać. I w ciągu paru minut, a raczej sekund, wszystko może się zdarzyć.

Stucky wszedł do windy, wymacując w kieszeni strzykawkę. Głaskał kciukiem nakładkę na igłę, by się upewnić, że wciąż jest na miejscu.

W magazynie odszukał swoje ubrania, które tam zostawił. Włożył niebieski strój chirurga, zwinął koszulę i dzinsy razem z nowo zdobytymi instrumentami chirurgicznymi, i wszystko porządnie zapakowane w ręczniki wsadził pod ramię. Miał jeszcze czas, żeby wrzucić pakunek do samochodu i wziąć co trzeba z bagażnika.

Potem wyszedł z magazynu, pewnym krokiem ruszył korytarzem, mijając biurko informacji, i wyszedł głównym wejściem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Niebo zasnuło jeszcze więcej chmur. Padało coraz mocniej, samochody poruszały się wolniej. Maggie właśnie dojeżdżała do Waszyngtonu, kiedy zadzwonił Ganza.

- To mandat za przekroczenie prędkości - rzekł bez powitania.

- Słucham?

- Ten skrawek papieru pod ciastem. Udało mi się zrobić czarymary i go odczytać. Wygląda na to, że w minionym tygodniu Louis Tanner dostał mandat.

- Musiał go trzymać gdzieś w kuchni. Może na lodówce? Ludzie tak robią, prawda?

- Pewnie tak, ale czemu morderca uznał, że ten mandat powinien znaleźć się razem z ciastem? - spytał Ganza.

Wiedziała, że to nie musi nic znaczyć poza tym, że szaleniec dobrze się bawił, że to kolejny fragment chorej układanki. Mógł znaleźć mandat Louisa na lodówce albo na blacie.

Zamiast jednak to zlekceważyć, spytała:

- Czy ten mandat jest jakiś inny? No wiesz, może morderca chciał zwrócić uwagę na to, co się na nim znajduje? Na przykład chodzi o datę?

- Tak, jest coś, co wygląda dość nietypowo. Policjant poświęcił czas, żeby w komentarzu napisać: „kłótniwy”. Dużymi literami.

- Uważasz, że to takie niezwykłe? O ile mi wiadomo, wielu ludzi kłóci się z policją, kiedy dostaje mandat za przekroczenie prędkości.

- Masz rację - odparł Ganza. -Więc dlaczego zastępca Steele

uznał, że jest takie ważne?

- Chwileczkę. Powiedziałaś Steele?

- Nie udało mi się przeczytać imienia, ale tak, Steele. - Przeliterował nazwisko. - Coś ci to mówi? Zastępca szeryfa hrabstwa Warren.

- Na miejscu zbrodni razem z szeryfem Gellerem był jego zastępca Steele. Szeryf twierdził, że żaden z nich nie znał Tannerów, ale mówiąc szczerze, wówczas nikt z nas nie znał nazwiska mieszkańców przyczepy. Steele mógł wypisać mandat Louisowi Tannerowi, nie wiedząc, gdzie ten mieszka.

- Więc to tylko zbieg okoliczności - powiedział Ganza.

Żadne z nich nie wierzyło w zbiegi okoliczności.

Dwadzieścia minut później wjechała na szpitalny parking, znalazła wolne miejsce i zadzwoniła do Cunninghama.

- Agentko O'Dell, pewnie właśnie się minęliśmy. Idę do bufetu.

- Jestem jeszcze na parkingu, ale chciałam od razu coś panu przekazać. Ganza znalazł kawałek papieru pod szarlotką.

Opowiedziała mu wszystko, przyglądając się przy okazji, jak kilkoro pracowników szpitala przyjeżdża na parking i z niego odjeżdża. Zdała sobie sprawę, że jest na niewłaściwym parkingu, dla pracowników, nie dla gości. W bocznym lusterku zobaczyła kobietę w białym laboratoryjnym fartuchu, która wsiadała do samochodu. Mężczyzna w niebieskim stroju chirurga przeszedł przed maską samochodu Maggie. Niósł małą turystyczną czerwoną chłodziarkę, pewnie miał w niej lunch. Na jego tunice szpitalnej widniała plama, chyba z krwi.

Chirurgia albo oddział ratunkowy, pomyślała, mówiąc dalej do Cunninghama:

- To może być zbieg okoliczności, ale...

- Steele dyżuruje przed drzwiami pokoju Katie - przerwał jej gwałtownie.

Był bardziej zaniepokojony, niż się spodziewała. Słyszała, jak mówił do kogoś, że musi zawrócić.

- Zastępcy szeryfa wypisują dziesiątki mandatów - powiedziała.
- Mógł nie wiedzieć, że mężczyzna, któremu w zeszłym tygodniu wypisywał mandat za przekroczenie prędkości, to ofiara z przyczepy.

- Zostawiliśmy go z nią. Jakies piętnaście, może dwadzieścia minut temu. - Jego głos urywał się. - Wracam do pokoju.

Wysiadła z samochodu i dwa rzędy dalej zobaczyła policyjny radiowóz. Na boku dojrzała końcowe litery RYF niezasłonięte przez samochód w sąsiednim rzędzie. Ktoś siedział za kierownicą.

- Na parking, gdzie właśnie jestem, stoi też samochód szeryfa. Może przyjechał nim zastępca Steele. Ktoś siedzi za kierownicą.

- Albo to on, albo ktoś, kto ma go zastąpić. Proszę mi dać chwilę.

Usłyszała dzwonek windy, a potem dziwny dźwięk, jakby odgłos w tunelu.

Usiadła znów w samochodzie, czekała i patrzyła. Kierowca radiowozu siedział w bezruchu. Głowę miał pochyloną, brodę opartą na piersi. Kapelusz był przekrzywiony. Wyglądał, jakby coś czytał.

Po kolejnym dzwonku Cunningham znów się odezwał:

- Jest pani tam jeszcze, agentko O'Dell?

- Jestem.

- Cholera! Nie siedzi przed drzwiami. - Mówił zdyszonym głosem. - Gdzie on jest? - spytał dość niewyraźnie, a Maggie zdała sobie sprawę, że to nie ją pytał.

Odpowiedział mu ktoś, kto znajdował się niedaleko.

- Steele'a tu nie ma, agentko O'Dell. Pielęgniarka powiedziała, że wyszedł w pośpiechu zaraz po tym, jak wyszliśmy stąd z doktor Patterson.

- Więc może to on siedzi w radiowozie szeryfa.

- Muszę tu zostać z Katie. Proszę tam podejść, ale ostrożnie.

Znów zaskoczyło ją zdenerwowanie w jego głosie.

- Chce pan powiedzieć, że zastępca Steele może być groźny?

- Wiem tylko, że Steele opuścił posterunek, chociaż nie został zwolniony. Jest zmęczony, wyczerpany. Może chciał tylko odpocząć. Może wezwała go jakaś pilna rodzinna sprawa. Po prostu proszę zachować ostrożność, agentko O'Dell. Niezależnie od tego, co dzieje się ze Steele'em, wiemy, że morderca wciąż przebywa na wolności.

- Zrozumiałam.

- Proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko porozmawia pani z zastępcą szeryfa.

- Tak, sir.

Rozłączyła się. Kierowca siedzący w radiowozie ani drgnął. Może spał. Cunningham miał rację. Steele mógł być po prostu wykończony.

Maggie wysiadła z samochodu, możliwie najciszej zamknęła drzwi, sięgnęła pod kurtkę i odpięła kaburę. Ruszyła dłuższą drogą, naokoło, by podejść do radiowozu od tyłu. Trzymała się prawej strony, by w razie czego wykorzystać fakt, że z tej strony jej nie widział. Chociaż zdawała sobie sprawę, że to może się na niej zemścić. Czy to mądre skradać się do uzbrojonego zastępcy szeryfa, który był ledwie żywy ze zmęczenia?

Na tę myśl powoli wysunęła rewolwer z kabury i rozejrzała się. Parę minut temu na parkingu byli pracownicy szpitala, ale teraz był pusty. Trzymała rewolwer lufą w dół przy boku. Jeszcze trzy

metry i znajdzie się przy oknie od strony pasażera. Wyglądało na to, że kierowca wciąż nie podniósł głowy.

Powinna zwolnić. Serce jej waliło, ręce zaczęły się pocić.

Zastępca szeryfa sprawiał wrażenie, jakby uciął sobie drzemkę. Nie była pewna, czy bezpieczniej byłoby go uprzedzić, że się do niego zbliża. Zdawała sobie sprawę, że przestraszony policjant może instynktownie sięgnąć po broń.

Jeszcze parę kroków.

Czuła spływającą po plecak strużkę potu. Deszcz ustał, ale znów spadło kilka kropli. Rozluźniła się, wciąż trzymając przy boku rewolwer. Postanowiła obejść maskę radiowozu, dając kierowcy szansę, żeby ją zobaczył. Kiedy mijala okno pasażera, zerknęła do środka na puste miejsce, konsolę i deskę rozdzielczą. Zastępca trzymał ręce na kolanach, kapelusz miał nisko nasunięty na czoło, prawie zasłaniał mu oczy.

Tak, z całą pewnością spał.

Musi tak go obudzić, żeby się nie wystraszył i nie zareagował zbyt gwałtownie.

Wolnym krokiem obeszła maskę radiowozu, ściskając w ręku broń. Patrzyła na zastępcę szeryfa, lecz momentami rzucała wzrokiem dokoła. Za odległym końcem parkingu widać było pas lasu, z przeciwnej strony stały niezliczone rzędy samochodów.

Na masce coś leżało. Coś małego. Kwadratowego. Białego. Próbowwała to zignorować.

- Zastępczo Steele! - zawołała, kiedy obeszła maskę.

Nie ruszył się.

Stanąwszy przy drzwiach kierowcy, lekko zastukała w szybę.

Nic.

Zastukała mocniej.

Tym razem, gdy Steele ani drgnął, serce zaczęło jej walić.

Niedobrze.

Lewą ręką sięgnęła za klamkę, w prawej nadal ścisnęła rewolwer. Jednym szybkim pociągnięciem otworzyła drzwi.

Poczuła zapach krwi, zanim ją zobaczyła. W aucie cuchnęło czymś metalicznym. Wycelowwała w zastępcę, zaglądając na tylne siedzenie, po czym sięgnęła głębiej i lekko pchnęła Steele'a.

Jego kapelusz się zsunął, głowa opadła do tyłu. Zastępca Steele miał poderżnięte gardło, przód koszuli był nasiąknięty krwią. Nie musiała sprawdzać pulsu.

Cofnęła się, gdy jej telefon zaczął wibrować w kieszeni. Sięgnęła po niego, trzymając rewolwer u boku. Pilnie się rozglądała. Ten, kto to zrobił, mógł jeszcze gdzieś tu być. Czy to możliwe?

- O'Dell? - To był Cunningham.

Zdała sobie sprawę, że nacisnęła „odbierz” i milczała.

- Zastępca Steele nie żyje.

- Co pani powiedziała?

- Ma podcięte gardło.

Zamknęła drzwi radiowozu. Popatrzyła między rzędami samochodów. W jednej ręce trzymała rewolwer, w drugiej telefon.

- Już schodzę. - Słyszała, jak Cunningham nakazuje komuś, żeby wezwał ochronę. - Proszę się nie rozłączać i proszę zachować ostrożność, agentko O'Dell. On może być na terenie.

Ale ona już na klęczkach zaglądała pod samochód. Gdyby ktoś ukradkiem się oddalał, widziałyby jego stopy.

Zadowolona, że nikogo nie zauważyła, podniosła się. Potem dostrzegła na masce jakiś przedmiot. Wcześniej go zignorowała, ale teraz dotarło do niej, że jest to pojemnik na jedzenie na wynos. Zaczęło mocniej padać, a Maggie widziała bijące w niego krople deszczu. Widziała coś jeszcze. Z jednej strony pojemnika

spływała nie tylko woda.

Tam była krew. Żołądek podszedł jej do gardła.

- On coś zostawił - powiedziała do Cunninghama. - Wygląda na to, że nie skończył na podcięciu Steele'owi gardła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- On tu był - powiedziała Katie do Gwen.

Przerażona dziewczynka rzucała wzrokiem dokoła, jej dolna warga drżała. Gwen usiadła na skraju łóżka, a Katie chwyciła ją za rękę i wczepiła się w nią jak szponami.

Katie spała, kiedy Gwen i Cunningham po raz drugi wyszli z pokoju. Lekarz dyżurny twierdził, że Katie potrzebuje odpoczynku. Została z nią ta sama pielęgniarka co poprzednio.

- Tak - obiecała - zadzwonię natychmiast, jak coś się wydarzy.

Cunningham ruszył do bufetu po kawę. Właśnie przekonał Gwen, żeby na parę godzin pojechała do domu. Rozpaczliwie chciała pozbyć się rajstop i szpilek. Zmęczenie po nieprzespanej nocy zaczynało dawać się we znaki i żadna ilość kawy nie mogła tego naprawić. Ale gdy tylko zjechali do szpitalnego holu, zadzwoniła agentka O'Dell.

Gwen wiedziała jedynie tyle, że zastępca szeryfa, który pilnował Katie, bez uprzedzenia zszedł z posterunku. I że coś się stało na szpitalnym parkingu. Dostrzegła błysk paniki w oczach Cunninghama, zanim ją opuścił. Dwaj szpitalni ochroniarze szybko się pojawili i stanęli na warcie przed pokojem Katie. Pielęgniarka poszła do lekarza po dalsze instrukcje. A Katie była przekonana, że ktoś pojawił się w jej pokoju.

- Co masz na myśli, Katie? Kto tu był?

- Ten człowiek, który skrzywdził mojego tatę.

- Śnił ci się?

- Nie, był tutaj, widziałam go.

Gwen dostrzegła w oczach dziewczynki nieklamane przerażenie, a jednak nie była przekonana, czy to nie był tylko senny koszmar, być może efekt uboczny środków uspokajających. Choć na zewnątrz szpitala coś się działo, a przed drzwiami pojawiły się nowe osoby, w pokoju Katie nikogo nie było.

- Stał w drzwiach - podjęła dziewczynka, wskazując zamknięte już drzwi. - Zaglądał do środka. Widziałam go. Przysięgam, że go widziałam.

- Okej, kochanie, wierzę ci. - Gwen ostrożnie przytuliła dziewczynkę, by nie ruszyć kroplówki, i spytała: - Powiedz mi, jak wyglądał.

- Trudno powiedzieć.

- Nie zrobi ci krzywdy. Nie pozwolimy mu. - Odsunęła Katie, by spojrzeć jej w oczy. - Postaraj się, dobrze? Spróbuj go opisać.

- Nie widziałam jego twarzy.

Gwen uznała, że to musiał być sen, w którym pojawił się jakiś mężczyzna o niewyraźnych rysach twarzy.

Potem jednak Katie dodała:

- Kapelusz zasłaniał mu twarz.

- Miał kapelusz?

- Tak. Miał go na głowie, kiedy skrzywdził mojego tatę.

- Jaki to był kapelusz? - spytała Gwen, choć już znała odpowiedź.

- Duży, okrągły, jaki noszą policjanci.

Zanim Gwen zadała kolejne pytanie, rozległo się stukanie. Katie szeroko otworzyła oczy i spojrzała na drzwi. Szpitalny ochroniarz o przyjaznym wyrazie twarzy i sylwetce zapaśnika wypełnił sobą niemal całe wejście. Za nim stała jakaś kobieta, niecierpliwie zaglądając do środka.

- Doktor Patterson, jest tu ktoś...

Gwen wychwyciła podobieństwo na twarzy kobiety, zanim Katie zapiszczała:

- Babcia!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Cunningham przyłapał się na tym, że ze złości zaciska zęby. Zaciskał je tak mocno, że aż rozbolała go głowa. Tak, to dlatego pulsowało mu w skroniach. Nie lubił czuć się wykiwany, a tak właśnie się czuł. Jakby morderca uderzył go w chwili jego nieuwagi.

Do diabła, mało, że uderzył. Kompletnie go przewrócił.

Zdążyli już ogrodzić miejsce zbrodni, i to podwójnie. Po pierwsze ogrodzili cały parking dla pracowników z tej strony szpitala. Zajął się tym miejscowa policja oraz szpitalni ochroniarze. Nikomu, absolutnie nikomu nie wolno było tu wejść bez pozwolenia Cunninghama. Poza tym dodatkowo ogrodzili też sporą przestrzeń wokół policyjnego radiowozu, żeby technicy kryminalistyczni mogli swobodnie pracować. Keith Ganza przywiózł tylko dwóch współpracowników, którzy mieli mu pomóc przy samochodzie. Stan Wenhoff był już w drodze, żeby zająć się ciałem Steele'a.

Cunningham stał jakieś sześć metrów dalej i lustrował teren wokół kontrolowanego chaosu. Wysłał agentkę O'Dell, Turnera i Delaneyę, żeby sprawdzili wszystko i wszystkich na parkingu i w okolicy. Widział, jak Turner na czworakach zaglądał pod rząd samochodów. Delaney stał przed głównym wejściem do szpitala i rozmawiał z parą pracowników w niebieskich ubraniach.

Gdzie, do diabła, podziała się O'Dell?

Obrócił się dokoła, zanim dostrzegł ją po drugiej stronie ulicy. Główne wejście do szpitala i ruchliwa autostrada znajdowały się

z przeciwnej strony. Agentka O'Dell przeszła przez spokojną ulicę na drugi parking, który należał do budynków mieszkalnych z czerwonej cegły. Cunningham widział, jak kręciła głowę, szukając kamer na latarniach. Potem spuściła wzrok, zaglądając do samochodów.

Położył ręce na biodrach i powściągnął uśmiech. W tym była najlepsza. Już myślała jak morderca. Gdzie zaparkowałby samochód, gdyby chciał uciec niezauważony? Zapewne nie na ruchliwym szpitalnym parkingu. Za to parking małego osiedla w środku dnia, kiedy większość mieszkańców jest w pracy, był idealnym miejscem.

Zdusił żal, że to agentka O'Dell znalazła zastępcę Steele'a. I to po doświadczeniach poprzedniego dnia. Pierwszy dzień pracy w terenie i od razu trafiło jej się jedno z najokrutniejszych morderstw, jakie widział od lat. A teraz jeszcze to. Jednak nawet nie mrugnęła na widok kolejnego pojemnika na jedzenie na wynos. Oczywiście jeszcze go nie otworzyli. Cunningham zostawił to Ganzie.

O'Dell miała doskonałą intuicję, dostrzegała rzeczy, które innym umykały. Mimo to wciąż nie był przekonany, czy jej talent sprawdzi się w terenie. A był to talent naprawdę wyjątkowy. Cunningham wiedział, że mogłaby uczyć innych agentów, czego mają szukać, jak to zbadać i jak poskładać w całość fragmenty dowodów, które zazwyczaj postrzegane są jako mało istotne. Zresztą już to robiła przy sprawach, które badała na odległość.

Na każdą sprawę, którą się zajmowała, przypadało co najmniej dwadzieścia innych próśb o pomoc kierowanych do Cunninghama, z dodatkową prośbą, by sprawą zajęła się agentka specjalna O'Dell. Przywykł do tego, że może na nią liczyć. No właśnie, myślał o swojej wygodzie, a tu nie chodziło o niego.

Takie fenomeny jak O'Dell powinny pracować w terenie. To tam błyszczą tacy ludzie, taką bliską uzależnienia pasją są obdarzeni. W pewnym momencie zdjęcia z miejsc zbrodni przestają wystarczać. Pojawia się przemożna potrzeba podążenia śladami mordercy, ujrzenia na własne oczy tego wszystkiego, co ofiara widziała po raz ostatni; poznania tamtego zapachu, dotknięcia, poczucia i usłyszenia tego wszystkiego. Wiedział to, ponieważ dwadzieścia pięć lat wcześniej był taki jak ona.

- Sir! - zawołał Ganza za jego plecami.

Cunningham odwrócił się. Ganza stał przy masce radiowozu z otwartym pojemnikiem na jedzenie na wynos. Jego technicy mieli na sobie wiatrówki, ale Ganza był w sięgającym bioder fartuchu laboratoryjnym, który niegdyś był biały, ale już zszarzał, pewnie od zbyt wielu prań razem z niebieskimi dżinsami. Włożył też lateksowe rękawiczki, a drugą parę podał Cunninghamowi. Wskazał też pudełko z ochraniaczami na buty, a szef natychmiast wykonał niemy nakaz.

- Jest kolejna kartka - powiedział Ganza.

- W pojemniku?

- Taa. Wie pan, że zostawił mandat za przekroczenie prędkości w pudełku, które wczoraj znaleźli pańscy ludzie.

Cunningham skinął głową i podszedł bliżej, wciągając rękawiczki. Ganza przysunął pojemnik i postawił go tak, żeby szef widział jego wnętrze.

- A tak przy okazji - dodał Ganza - to jest palec od stopy. - Ale nie po to poprosił tu Cunninghama. - Lewa stopa, duży palec. Nie sądzę, żeby to był jego palec.

- Co ma pan na myśli? Uważa pan, że to nie jest palec zastępcy Steele'a?

- Krew jest pewnie jego, ale musimy poczekać na orzeczenie

Wenhoffa. Ale palec jest zbyt zimny, żeby należał do Steele'a.

- Zimny?

- Jak lód.

- Nie rozumiem. Chce pan powiedzieć, że morderca zostawił tu palec innej osoby?

- Tak właśnie sędzę. Wygląda na to, że trzymał go w lodzie. - Jednak Ganza bardziej był zainteresowany skrawkiem papieru, który trzymał szczypcami. - Złożył to i porządnie wsadził pod spód.

Cunningham widział linie zagięcia. Ganza rozłożył kartkę na tyle, by mógł ją przeczytać, ale dla Cunninghama to nie wystarczyło.

Ganza rozejrzał się, ale nikt poza technikami nie znajdował się w zasięgu ich słuchu, a nawet jeśli ktoś był blisko, to w samochodzie. Poprawił okulary w drucianych oprawkach na czubku nosa, uniósł papier wyżej, na wysokość wzroku Cunninghama, i powiedział:

- Drukowane litery. Wygląda podobnie, jakby napisało to dziecko. Ale dziecko nie napisałoby czegoś takiego: DROGA ŚLICZNA AGENTKO FBI, MAM NADZIEJĘ, ŻE MOJA PRACA SZYBKO CIĘ ZAFASCYNUJE, ZAMIAST PRZYPRAWIAĆ O MDŁOŚCI.

Cunningham nie był pewien, czy dobrze usłyszał, dlatego poprosił Ganzę, żeby przeczytał jeszcze raz.

Tym razem, kiedy Ganza skończył, czuł na sobie jego spojrzenie.

- Drań był tam wczoraj i nas obserwował - cicho powiedział Cunningham.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Drzewostan przy odległym narożniku parkingu ciągnął się głębiej, niż Maggie przypuszczała. Weszła tam od tyłu i szła między wysokimi sosnami. Słyszała ruch uliczny, ale go nie widziała. Szła tak jakiś czas, nim zobaczyła szpital, a potem tylko fragmenty szpitala przez gałęzie.

Gdyby morderca wybrał tę drogę ucieczki, nikt by go nie zobaczył. Prawdę mówiąc, on sam mógłby ich obserwować zza kępy drzew i pewnie nie byłby widoczny z parkingu.

Zaczęła szukać wzrokiem policyjnego radiowozu. Gdy tylko go dojrzała, zwolniła kroku. Nadal się rozglądała, patrzyła pod nogi, szukała czegokolwiek nadzwyczajnego. Pod jej stopami chrzęściły sosnowe igły i szyszki. Nie zauważyła świeżo połamanych gałązek czy większych gałęzi. Nie widziała też żadnych śladów w błocie.

W tym miejscu teren się wyrównał. Maggie widziała Ganzę i jego ludzi, którzy właśnie pakowali sprzęt. Spuściła wzrok i o mały włos nie minęła czegoś małego i metalicznego, co leżało wśród szyszek. Wyjęła z kieszeni kurtki plastikowy woreczek na dowody i pochyliła się.

To była aluminiowa folia, w którą owinięto zużytą gumę do żucia. Chwyciła ją delikatnie wewnętrzną stroną woreczka, żeby nie dotknąć palcami. Nie miała pewności, że należała do mordercy, mimo to zamknęła szczelnie woreczek i włożyła do kieszeni. Jak daleko sięgała wzrokiem, na ziemi nie było żadnych innych śmieci. Może to miejsce było zbyt oddalone, by pracownicy szpitala wybierali się tu w przerwie na lunch,

a z pewnością trudno było torować sobie drogę.

Kiedy zbliżała się do szpitala, radiowóz został już odholowany z parkingu i zwijano żółtą taśmę. Cunningham akurat się odwrócił i pokazał jej, by skierowała się do bocznych drzwi szpitala.

- Znalazła pani coś? - spytał, gdy do niej dołączył.

- Leżała na ziemi pod drzewami. - Pokazała woreczek na dowody z gumą do zucia owiniętą w folię. - Zapewne ktoś wyrzucił ją niedawno, bo wciąż była miękka. - Wzruszyła ramionami. - Ale może nic to nie znaczy.

Cunningham odwrócił głowę i spojrzał w stronę drzew.

- Myśli pani, że mógł nas stamtąd obserwować?

- Trudno powiedzieć, ale jest dobry widok na policyjny radiowóz. Po drugiej stronie drzew jest parking należący do kompleksu budynków mieszkalnych. O tej porze nikogo tam nie ma.

Cunningham potarł brodę, po czym szybkim ruchem poprawił okulary na nosie.

- Poprosiłem wszystkich, żebyśmy spotkali się w Quantico za dwie godziny. To może być długi wieczór, więc radzę coś zjeść. Ja zajrzę jeszcze do Katie. - Ruszył przed siebie, po czym zatrzymał się i odwrócił. - Jeszcze jedno, agentko O'Dell. Niech pani na siebie uważa.

Maggie sprawdziła, która godzina, a potem rozejrzała się za automatem z napojami. Jedzenie może poczekać, najpierw musi się napić dietetycznej pepsi. Znalazła automat z boku holu. Zamiast się cofnąć i wrócić do bocznego wejścia, z którego korzystali z Cunninghamelem, popełniła błąd i wyszła na zewnątrz głównymi drzwiami. Gdy tylko skrzyła za róg, weszła prosto w sam środek tłumu reporterów i kamer telewizyjnych. Próbowwała między nimi przejść, jakby nigdy nic, tyle że

wiatrówka FBI ją zdradziła.

- Są jakieś informacje na temat nieżyjącego policjanta?
- Został już zidentyfikowany?

Nawet jej nie spytali, czy zajmuje się tą sprawą. Oczywiście, że nad tym pracowała. Czemu nie pomyślała, żeby zdjąć firmową kurtkę? Nagle otoczyły ją podsunięte pod nos mikrofony i magnetofony.

- Nie jestem upoważniona do udzielania jakichkolwiek informacji - oznajmiła zadowolona, że zabrzmiało to bardzo oficjalnie.

- Co z tą dziewczynką?
- Czy śmierć policjanta ma związek z jej sprawą?
- Może pani przynajmniej podać jej nazwisko?

- Nie, nie mogę - odparła Maggie, usiłując grzecznie przejść między dziennikarzami, którzy zablokowali jej drogę. Wiedziała, że dwie pracujące kamery są na nią skierowane. Cunningham byłby mocno zawiedziony, gdyby zachowała się nieuprzejmie. Nieciekawie czy nudne informacje rzadko trafiają do wieczornych wiadomości. Niegrzeczny czy poirytowany przedstawiciel władzy zdecydowanie tak, nawet gdyby nie podał żadnych szczegółów.

- Czy to prawda, że ci ludzie w przyczepie byli torturowani, zanim zostali zabici?

Udała, że nie słyszy pytania. Skąd, do diabła, wiedzieli już takie rzeczy?

Wyciągnęła przed siebie rękę, by utorować sobie drogę, jednak niski ciemnowłosy mężczyzna, który zadał pytanie, nie ustąpił jej z drogi i znów podsunął pod nos mikrofon. Maggie odsunęła go delikatnie. Tym razem torowała sobie drogę ramieniem.

Z tyłu jakaś kobieta głośno spytała:

- Czy dziewczynka też była torturowana?

Potem ktoś jeszcze dodał:

- Czy to prawda, że została zgwałcona przez parę osób?

Zdołała posunąć się zaledwie pół metra do przodu, jednak w tym momencie zatrzymała się i odwróciła, napominając siebie, że niezależnie od rozwoju sytuacji, musi zachować spokój.

- Spekulacje z pewnością nikomu nie pomogą - oznajmiła. - Kiedy będziemy coś wiedzieli, damy państwu znać.

- Nie uważa pani, że społeczeństwo zasługuje na to, żeby już teraz wiedzieć, czy w okolicy grasuje groźny morderca?

To był ten niski mężczyzna z mikrofonem. Tym razem nie wpychał go pod nos, ale trzymał wysoko, żeby nagrać słowa Maggie.

Wszyscy czekali na jej komentarz. Głosy ucichły, kamery telewizyjne pracowały, wyciągały się ręce z magnetofonami.

- FBI ani rodziny ofiar nie upoważniły mnie do przekazywania żadnych szczegółów. Mam nadzieję, że w oczekiwaniu na informacje wykażecie państwo dość przyzwoitości i zrozumiecie, że ta mała dziewczynka zasługuje na prywatność. Podobnie jak rodzina policjanta.

Nie to spodziewali się od niej usłyszeć, ale nikt nie zakwestionował jej słów. Gdy odwróciła się, tym razem kilku dziennikarzy usunęło się z drogi. Była z siebie dumna. Mogli ją zaskoczyć, wyprowadzić z równowagi. Musiała się ugryźć w język, żeby nie korygować ich spekulacji, ale zrozumiała, że zarzucali ją pytaniami, w tym również idiotycznymi, wiedzeni nadzieją, że zaczną ich poprawiać.

Zanim dotarła do swojego samochodu, zobaczyła, że tłum dziennikarzy już o niej zapomniał. Podniosła wzrok i spojrzała na okna trzeciego piętra, raz, a potem drugi. W oknie pokoju Katie stał Cunningham. Patrzył w dół, i choć znajdował się trzy piętra

nad nią, dostrzegła, że zmarszczył czoło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- To smutne, prawda? - Rita Burke wskazała brodą telewizor, stawiając tacę z pustymi butelkami po piwie.

Drew Nilsen tylko wzruszył ramionami. Nawet nie spojrzał na ekran. Jeszcze w zeszłym tygodniu jego powściągliwość doprowadzała Ritę do szaleństwa. Teraz, gdy już uznała, że chętnie umówiłaby się z nim na randkę, przestała się tym przejmować. Jego pełne melancholii milczenie postrzegała jako seksowne. Nie miał czasu na takie rzeczy jak wiadomości telewizyjne.

Kiedy przyszedł do pracy tego popołudnia, włosy miał wciąż mokre i pachniał tak dobrze, jakby właśnie wyszedł spod prysznic. Pracował jako barman tylko dlatego, by mieć na czesne i w ciągu dnia uczęszczać do szkoły gastronomicznej. Podobał jej się w obcisłych czarnych T-shirtach, które podkreślały jego sześciopak. Starannie wsadzał koszulkę za pasek niebieskich dżinsów, tak zazwyczaj się ubierał. Dopasowane dżinsy też jej się podobały, bo świetnie uwypuklały mięśnie i miłe wybrzuszenie z przodu.

Otarła czoło grzbietem dłoni, przekazując zamówienie barmanowi i kuchni. Kuchnia na tyłach znów pracowała pełną parą, ogrzewając cały lokal, kiedy modny bar i restauracja wypełniły się wieczornym tłumem. Lokal mieścił się na dziedzińcu Atlas Walk w ekskluzywnej galerii handlowej Virginia Gateway Mall, tuż obok międzystanowej numer sześćdziesiąt sześć. Każdego wieczoru galerię odwiedzali turyści, miejscowi i ci,

którzy akurat tamtędy przejeżdżali. Lokal szybko się zapełnił, ale z powodu deszczu nie mogli otworzyć drzwi na patio.

Kogo ona oszukuje? Nie tylko z powodu zatłoczonego baru i grilla z luksusowymi burgerami zrobiło jej się tak gorąco. To przez tego niebieskookiego mężczyznę w obcisłych dżinsach. Miał najładniejsze niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała, czasami niemal turkusowe. A kiedy na nią patrzył, odnosiła wrażenie, że przeszywał ją wzrokiem, sięgając w głąb jej duszy. Na samą myśl o nim była podekscytowana.

Pewnie był dla niej za młody, ale Rita wiedziała, że nie wygląda na swoje lata. Ludzie zawsze byli w szoku, gdy się dowiadywali, że ma szesnastoletnią córkę. Kiedy pokazywały się razem publicznie, często brano je za siostry. Na szczęście jej córka Carly uważała, że to zabawne i po prostu świetne, wcale nie dziwaczne czy chore. Zresztą były dla siebie jak najlepsze przyjaciółki, co Rita odbierała jako wystarczającą nagrodę za to, że nie myśląc o sobie, samotnie wychowywała Carly. Wiedziała jednak doskonale, że z powodu tych wszystkich długich lat bez randek i seksu od jakiegoś czasu jest strasznie podniecona.

Usiłowała nie myśleć o koledze barmanie, więc skupiła się na telewizorze, czekając, aż Drew przygotuje zamówione przez klientów drinki. Czytała informacje na pasku na dole ekranu. Nie było tam nic nowego, tylko powtórka tego, o czym już wcześniej informowali. Na miejscu krwawej zbrodni znaleziono dziewczynkę, która przeżyła. Działo się to gdzieś w wiejskich rejonach Wirginii. Zbrodni dokonano w mieszkalnej przyczepie na odludziu. Dziewczynka wciąż przebywała w szpitalu.

Ta historia nie dawała Ricie spokoju, odkąd usłyszała ją w radio. Dziewczynka - mówili o niej Jane, ponieważ prawdziwa tożsamość jeszcze nie została upubliczniona - jako jedyna

przeżyła coś, co wyglądało na krwawą jatkę. Mężczyznę i kobietę zamordowano w przyczepie, a w rzece znaleziono kolejnego martwego mężczyznę. Według niepotwierdzonych doniesień został zastrzelony, a ofiary w przyczepie były torturowane i śmiertelnie ugodzone nożem.

Teraz ta biedna mała dziewczynka została sama. Pewnie zamordowano całą jej rodzinę. Nikt nie wiedział, czy ucierpiała fizycznie. Jak informowano na pasku, nie chciała z nikim rozmawiać, ale kto mógłby się temu dziwić.

Rita obejrzała się na kuchnię, żeby zobaczyć, czy zamówienie jest już gotowe. Drew kończył szykować tacę drinków. Potem dostrzegła tego nowego, który opierał się na mopie w rogu, gdzie jakiś klient rozlał piwo. Nazywał się Morgan, ale podobno prosił, żeby się do niego zwracać inicjałami J.P.

Też mi coś!

Brzmiało to jak jakieś zmyślane imię. J.P. Morgan? Wyglądał całkiem przeciętnie, tylko miał coś takiego w oczach... Ricie nie podobało się, że starannie unikał jej wzroku, chociaż często i bez wahania wędrował po niej spojrzeniem.

Przerwał sprzątanie, żeby popatrzeć na telewizor. No jasne. Reporter zaczął właśnie rozmawiać z ładną kobietą w kurtce FBI, która wyszła ze szpitala. Rita zerknęła na Drew, by sprawdzić, co z zamówieniem, i zobaczyła, że wlepił w nią wzrok.

No super. Oczywiście przyłapał ją, jak gapiała się na tego nowego.

Odwróciła na moment głowę w stronę Morgana i przewróciła oczami.

Na szczęście Drew się uśmiechnął. Przyniósł tacę z drinkami i podał jej bez słowa. Potem puścił do Rity oko, i niech to szlag, kolana naprawdę jej zmiękły.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Quantico

Po raz drugi w ciągu kilku dni zastępca dyrektora Cunningham poprosił Maggie, żeby wpadła do jego gabinetu przed spotkaniem zespołu do zadań specjalnych. Dostała chyba sześć wiadomości od detektywa Hogana i parę od innych policyjnych detektywów, którzy dopytywali o najnowsze wieści dotyczące prowadzonych przez nich spraw. Czy Cunningham oznajmi jej, że nie będzie członkiem jego zespołu do zadań specjalnych? Że musi wrócić do swoich stałych zajęć?

Zanim dotarła do gabinetu szefa, zobaczyła go w końcu korytarza. Niósł pięć dużych pudełek z pizzą i próbował otworzyć drzwi sali konferencyjnej.

- Ja to zrobię! - zawołała Maggie.

- Agentko O'Dell - powiedział, odsuwając się od drzwi. - Mam nadzieję, że nie kazałem pani czekać?

- Nie, właśnie przyszedłam.

Cunningham położył pudełka na stole, poprawił okulary, pokazał gabinet i powiedział:

- Proszę wejść i zamknąć drzwi.

Rękawy koszuli miał porządnie podwinięte, krawat poluzowany, ale Maggie zauważyła, że kołnierzyk był wciąż zapięty, a włosy schludnie uczesane. W obecności agentów pozwalał sobie tylko na taką swobodę.

Wyjął z kieszeni spodni foliowy woreczek, ale na niego nie

spojrzał. Ani nie podał go Maggie.

- Chciałem pani coś powiedzieć, zanim pojawi się reszta.

Zebrała się w sobie. Czy potrafi mu się sprzeciwić? Czy będzie próbowała go przekonać, że potrafi pogodzić swoje dotychczasowe zajęcia z pracą w zespole do zadań specjalnych? Po co zabierał ją na miejsce zbrodni, skoro nie chciał, żeby choć w jakiejś części brała udział w tym śledztwie?

- Keith Ganza to znalazł. - Uniósł foliowy woreczek, a ona zobaczyła, że znajdował się w nim pognieciony kawałek papieru zapisany drukowanymi literami. - Był w pojemniku na jedzenie na wynos. Tym, który leżał na masce samochodu zastępcy Steele'a.

Podsunał jej woreczek, żeby przeczytała wiadomość napisaną drukowanymi literami:

DROGA ŚLICZNA AGENTKO FBI, MAM NADZIEJĘ, ŻE MOJA PRACA SZYBKO CIĘ ZAFASCYNUJE, ZAMIAST PRZYPRAWIAĆ O MDŁOŚCI.

Nie podnosząc wzroku na Cunninghama, zapytała:

- On tam był?

- Najwyraźniej.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że Cunningham jej się przygląda. Czekał na jej reakcję. Nie była pewna, czego się spodziewał. Prawdę mówiąc, wcale jej nie zdziwiło, że morderca obserwował przyczepę. Jadąc z Waszyngtonu, zastanawiała się, czy stał też pośród tamtych drzew obok szpitalnego parkingu.

- Co jeszcze było w tym pojemniku? - spytała.

- Duży palec lewej stopy.

Spojrzała na niego, jakby się przesłyszała.

- Palec?

- Tak.

- Ale nie zastępcy Steele'a - powiedziała z przekonaniem.

- Czemu pani tak sądzi? - chciał wiedzieć.

- Dwa dni temu agent Turner i ja braliśmy udział w autopsji ofiary, której brakowało dużego palca lewej stopy.

- To ta kobieta znaleziona w Devil's Backbone?

- Tak.

Odniosła wrażenie, że nie znał szczegółów tej sprawy. Czy był zły, że Turner zabrał ją na autopsję?

Cunningham potarł brodę. Maggie widziała jego zmęczenie, które starał się ukryć. Skrzyżował ramiona na piersi, trzymając woreczek w lewej ręce.

- Nie sądzę, żeby śledziona, którą znaleźliśmy w przyczepie, należała do którejś z tamtych ofiar - oświadczyła.

- Stan Wenhoff tak pani powiedział?

- Nie, takie mam przeczucie.

- A jakie jest pani przeczucie w związku z tym listem, agentko O'Dell?

- Był zadowolony z mojej reakcji na jego pojemnik.

Cunningham znów jej się przyglądał, jakby szukał jakiegoś pęknięcia na fornirze. Maggie ani drgnęła. Nie chciała mu dać pretekstu, żeby wykluczył ją z tej sprawy.

Potem w końcu skinął głową i stwierdził:

- Miejmy nadzieję, że to takie proste.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Quantico

Turner jadł już chyba trzeci kawałek pizzy, kiedy Maggie ledwie ugryzła pierwszy. Raptem straciła apetyt. Liścik wyjęty z pojemnika niepokoił ją bardziej, niż chciała przyznać. Morderca nie tylko na nią patrzył, ale z satysfakcją obserwował, jak wymiotowała na skutek kontaktu z jego „dziełem”. Nie było w tym nic niezwykłego, że seryjny morderca oczekiwał uznania dla swoich metod czy rezultatów pracy, jakby był artystą lub performerem. A jednak czuła mdłości na myśl, że została przez niego wybrana.

Cunningham już zaczął rysować na swojej tablicy linie i kółka, gotowy wypełnić puste miejsca. Kiedy doktor Gwen Patterson weszła do sali konferencyjnej, przerwał i odwrócił się. Maggie zastanawiała się, czy była jedyną osobą, która zauważyła wymianę spojrzeń między Cunninghamem a Gwen.

Może się myliła. Ostatnio miała tendencję do przesadnego analizowania dosłownie wszystkiego. Rozejrzała się wokół stołu, by zobaczyć, czy ktoś jeszcze coś zauważył. Agent Turner z pełnymi ustami mruknął coś na powitanie. Delaney wstał i skinął głową doktor Patterson, pytając o samopoczucie Katie. Keith Ganza nadal robił notatki w żółtym notatniku.

Z tego, co Maggie wiedziała, doktor Patterson... nie, nie, po prostu Gwen. Musi pamiętać, że ostatnim razem, kiedy krótko razem pracowały, doktor Patterson prosiła, by zwracała się do

niej po imieniu. Więc z tego, co wiedziała, Gwen spędziła z Katie w szpitalu całą poprzednią noc i większą część dnia. Poza cieniem zmęczenia pod oczami, wyglądała dobrze. Zawsze była bardzo stylowa, teraz też była nienagannie ubrana w modne drogie spodnie, sweter i skórzane czółenka na pięciocentymetrowym obcasie. Bizuteria była kosztowna, ale prosta i gustowna: zegarek, bransoletka, naszyjnik, wszystko ze złota. Włosy o barwie truskawkowy blond zaciesała do tyłu, odsłaniając diamentowe kolczyki na sztyfcie.

Maggie bardzo zależało na tym, żeby się nie wyróżniać wśród kolegów w pracy, głównie mężczyzn. Chętniej wybierała za duże swetry niż takie, które podkreślały jej figurę, a także proste spodnie i płaskie buty. Agenci zwykle nosili zegarki i ewentualnie proste obrączki, więc podobnie robiła Maggie. Splatując dłonie, nagle sobie przypomniała, że zgubiła jedyny cenny okaz swojej biżuterii, który najprawdopodobniej leżał na dnie zimnej mętnej rzeki.

Cunningham rozpoczął spotkanie:

- Moi drodzy, mamy do czynienia z groźnym mordercą. Katie zostanie przeniesiona w bezpieczniejsze miejsce, gdy tylko jej stan na to pozwoli. Na razie wciąż musimy ją uważać za potencjalną ofiarę tego mordercy. Agent Delaney zdołał odnaleźć babkę dziewczynki. Jej ojciec nazywał się Daniel Tanner, był bratem Louisa Tannera. - Spojrzał na Delaneya. - Może nam pan powiedzieć coś więcej?

- Babka nazywa się Lucille Tanner. Była w potężnym szoku, dlatego nie chciałem jej zbyt mocno naciskać. Właśnie straciła obu synów. Jutro zajrzę do Katie, kiedy ją przeniosą. Myślę, że wówczas będę mógł dłużej porozmawiać z panią Tanner.

Maggie wiedziała, że dzięki swym negocjacyjnym talentom

Delaney kilka tygodni wcześniej przekonał samobójcę, żeby nie skoczył z wieżowca. W minionym roku namówił przestępcę, który napadł na bank, żeby puścił wolno wszystkich troje zakładników. Jeśli Lucille Tanner posiadała jakiegokolwiek informacje, które mogą pomóc wyjaśnić, dlaczego jej synowie zostali zamordowani, Delaney je od niej wyciągnie.

Cunningham wskazał Keitha Ganzę, który stał przy drugim końcu stołu.

- On przekaże nam najnowsze informacje. Sporo tu osobliwości.

Cunningham zajął swoje miejsce przy tablicy, podczas gdy Ganza przekładał zdjęcia i papiery.

- Zacznijmy od przyczepy. - Ganza odczekał, aż szef zaznaczy to na tablicy.

Cunningham podzielił tablicę na trzy kolumny. Na górze napisał:

PRYZCZEPA RADIOWÓZ DEVIL'S BACKBONE

Maggie pomyślała, że szef traktuje Devil's Backbone jako miejsce zbrodni, skoro zapisał tę lokalizację obok dwóch pozostałych.

Ganza podjął:

- W pojemniku na jedzenie na wynos była ludzka śledziona. Została położona na placku z owocami. *Pie à la mode*, mówiąc dokładnie, czyli na szarlotce z lodami. Mam już potwierdzenie od Stana Wenhoffa, że śledziona nie należała do żadnej z ofiar z przyczepy ani do ofiary wyciągniętej z rzeki.

- Więc ktoś ją tam przyniósł?

Maggie zauważyła, że zadając to pytanie, Turner odłożył kawałek pizzy.

- Zgadza się - odparł Ganza, zerkając na nich znad okularów w drucianych oprawkach, które trzymały się na końcu nosa, kiedy

czytał notatki. - Pod ciastem znalazłem mandat za przekroczenie prędkości. Został tydzień wcześniej wypisany Louisowi Tannerowi i podpisany przez Steele'a, zastępcę szeryfa.

- O ile dobrze pamiętam, szeryf Geller i zastępca Steele mówili nam, że nie znają mieszkańców przyczepy - rzekł Delaney.

- Możliwe, że zastępca Steele nie znał Louisa Tannera - powiedziała Maggie.

- Też tak myślałem - odparł Ganza, rzucając na stół woreczek na dowody, żeby na niego spojrzeli. - Ten liścik został znaleziony w kieszeni spodni zastępcy Steele'a.

Papier był zgnieciony, ale Maggie natychmiast rozpoznała drukowane litery. Wyglądały podobnie jak te w liście, który wcześniej pokazał jej Cunningham.

Na skrawku papieru było napisane:

WIDZIAŁEM, CO ZROBIŁEŚ W PRZYCZEPIE

SPOTKAJMY SIĘ NA PARKINGU

W TWOIM RADIOWOZIE

- Sukinsyn! - powiedział przeciągle Turner i na koniec zagwizdał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Quantico

- Więc zastępca Steele był zamieszany w te morderstwa? - spytała Maggie. Tym akurat świstkiem Cunningham się z nią nie podzielił. - Z tego, co mówił, wynikało, że przed naszym przyjazdem zajrzał do przyczepy, ale to wszystko. - Potem sobie coś przypomniała. - Steele pytał mnie, czy moim zdaniem dziewczynka coś widziała.

- Ale wyglądał też na zdziwionego, kiedy wspomniałem o szarlotce - dodał Turner.

- Powiedział pan Steele'owi o pojemniku? - Cunningham nie krył niezadowolenia.

- Dzwonili do nas z biura szeryfa. Zwykle dzielimy się informacjami. Czy w tym przypadku jest inaczej?

- Nie tym razem. - Cunningham ściągnął wargi i splótł ręce na piersi, podkreślając, że na razie to koniec tematu. Potem dał znak Ganzie, żeby kontynuował.

- Okej, więc już wiemy, że morderca was obserwował, kiedy byliście na miejscu zbrodni. - Ganza dołożył drugi woreczek z drugim listem. Maggie go rozpoznała, to był ten, który pokazał jej Cunningham. - Dzisiaj na masce radiowozu zastępcy Steele'a znalazł się kolejny pojemnik. W środku był ten liścik.

Maggie patrzyła na Gwen, która ostrożnie obchodząc się z woreczkami, przeczytała obie notki, porównała je, a potem przekazała Turnerowi i Delaneyowi. Na koniec spojrzała na

Cunninghama, a następnie na nią. Chwilę patrzyła jej w oczy, jakby chciała poznać jej reakcję na to, że została wyróżniona przez mordercę. Maggie zdawało się, że w spojrzeniu Gwen widzi więcej troski niż ciekawości, ale i tak czuła się niekomfortowo. I pierwsza odwróciła wzrok.

- To raczej nietypowe, żeby seryjny morderca zostawiał listy? - spytała Gwen. - A ten zostawił dwa.

- Trzy - odparł Ganza. - Jeśli liczyć mandat za przekroczenie prędkości.

- Owszem, to nietypowe - potwierdziła Maggie. - Ale zdarza się. David Berkowitz nazwał się Synem Sama w liście, który zostawił na jednym z miejsc zbrodni. Unabomber wysłał do *New York Timesa* i *Washington Post* manifest składający się z trzydziestu pięciu tysięcy słów. Cofając się w czasie, warto wspomnieć Kubę Rozpruwacza, który drwił z policji, wysyłając do niej listy. Jedną z jego przesyłek zawierała fragment nerki, która jak twierdził, należała do jednej z jego ofiar. W liście napisał: „Złapcie mnie, jeśli potraficie”. Beltway Snipers zostawili list na odwrotnej stronie karty tarota. Była to Karta Śmierć. Więc tak, myślę, że powinniśmy wziąć też pod uwagę mandat. Próbował nam w ten sposób powiedzieć, że Steele jest w to zamieszany.

Turner patrzył na nią, kiwając głową z uśmiechem.

- Jeśli chodzi o seryjnych morderców, jesteś chodzącą encyklopedią. Podziwiam, że pamiętasz te wszystkie drobnostki.

- Okej, wróćmy do tematu - powiedział Delaney. - Więc z tego mandatu ma wynikać, że zastępca Steele jest zamieszany w morderstwa w przyczepie.

- Nie tylko zamieszany - odparł Ganza. - Wygląda na to, że to Steele zabił Louisa i Beth Tannerów. I pewnie też ojca Katie.

- A ten gość od pojemników to obserwował. - Turner wskazał

pojemnik, który przyniósł Ganza. On też znajdował się w woreczku na dowody. – Musimy znaleźć dla niego inną ksywkę. Nie podoba mi się Kurier. Jeszcze nam nie powiedziałaś, co jest w tym drugim pojemniku.

– Palec – wyjawiał Ganza.

Maggie widziała, że Turner szeroko otworzył oczy, a potem spojrzał na nią przez stół.

– Duży palec – dodała. – Lewej stopy. – Zwróciła się do Ganzy. – To nie palec Steele’a, prawda? – Gdy Ganza potwierdził, zadała następne pytanie: – To palec kobiety?

– Tak. Zamrożony. Musiał go trzymać w lodzie.

– Jak długo? – drażyla.

– Słucham?

– Jak długo trzymał go w lodzie? Da się określić, kiedy go odciął?

– Wiem, dokąd zmierzasz. Poprosiłem już Stana Wenhoffa, żeby porównał DNA i sprawdził, czy palec należy do kobiety, która została znaleziona w Devil’s Backbone.

– Chwileczkę. – Słuchając tego wszystkiego, Gwen kręciła głową, patrząc na agentów, a na koniec uniosła ręce, jakby się poddawała, i powiedziała do Ganzy: – Jaka kobieta w Devil’s Backbone? Nie wiecie, że do tego lasu nikt nie ma wstępu?

– Parę dni temu uczestniczyliśmy z agentem Turnerem w autopsji. – Maggie starała się sobie przypomnieć, co to był za dzień. Powiedziała Cunninghamowi, że to było przed dwoma dniami, ale chyba się pomyliła. Tyle się wydarzyło od tamtego czasu. – Ciało ofiary znalazł pracownik parku. Była odwodniona, na całym ciele miała mnóstwo zadrapań i śladów po ukąszeniu przez insekty. Wenhoff uważa, że ktoś mógł ją tam porzucić i przez kilka dni, może nawet przez tydzień musiała tam przeżyć,

zdana tylko na siebie. A nawet dłużej niż tydzień.

- Ale kiedy ten ktoś ją porzucił, jeszcze żyła? - Gdy Maggie skinęła głową, Gwen stwierdziła: - To bez sensu. Po co by to robił?

- Żeby mógł na nią polować - cicho odparł Turner z wyraźną odrazą.

- Słucham?

Turner dał Maggie znak, żeby kontynuowała.

- W lewej łydce tkwiła złamana strzała. Wenhoff uważa, że została postrzelona z kuszy.

Gwen kręciła głową, wsuwając palce we włosy.

- A ja myślałam, że nic mnie już nie zdziwi - skomentowała, coś zanotowała w małym skórzanym notesie i spytała: - Jaka była przyczyna śmierci?

- Kiedy tam byliśmy, Wenhoff jeszcze tego nie wiedział - odparła Maggie, patrząc na Turnera. W zasadzie to była jego sprawa. I Delaney. Ona tylko została przez niego zaproszona na autopsję, nie znała żadnych nowych informacji.

- Uduszenie - odparł Turner.

- Mam nadzieję, że odciął jej palec *post mortem* - powiedziała Gwen.

- Tak twierdzi Wenhoff. Mimo wszystko, to chore. Zabieranie palca... - Turner przeniósł wzrok na Ganzę. - Gość odcina ofiarom różne części ciała i przechowuje kolekcję w pojemnikach na jedzenie na wynos.

- Myślę, że właśnie znalazłeś dla niego dobrą ksywkę - zauważył Delaney. - Kolekcjoner.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

- Czy to możliwe, że zastępca Steele i Kolekcjoner pracowali razem? - spytał Delaney.

Maggie czuła na sobie wzrok wszystkich zebranych.

- Bardzo rzadko się zdarza, żeby seryjni mordercy działali nie w pojedynkę - odparła. - Ale znów, tak jak w przypadku listów, nie jest to coś niespotykanego. Zależy, na co wskazuje materiał dowodowy.

Oddała głos Ganzie, który ściągnął brwi w namyśle. Potem potrząsnął głową.

- Gdyby pracowali razem, Kolekcjoner nie zostawiłby Steele'owi liściku z informacją, że widział, co tamten zrobił.

- A jeśli widział, jak Steele zastrzelił Daniela Tannera? - zasugerował Turner. - Ale to Kolekcjoner zabił Louisa i Beth? Ojciec Katie został zastrzelony, a tamta dwójka miała podcięte gardła, tak samo jak Steele. Seryjni mordercy zwykle nie zmieniają broni.

- Jeśli kobieta z Devil's Backbone jest jedną z ofiar Kolekcjonera, znaczyłoby to, że w tym przypadku posłużył się kuszą, a potem ją udusił - przypomniała Maggie, wchodząc w rolę adwokata diabła.

Turner uśmiechnął się do niej.

- Założę się, że możesz nam opowiedzieć o wielu mordercach, którzy posługiwali się kilkoma rodzajami broni.

Poczuła, że się czerwieni. Turner chciał ją skomplementować, ale nie była pewna, czy z niej żartował, czy może flirtował.

Pomimo jej wnikliwości i wiedzy na temat ludzkiej psychiki i postępowania, zawsze miała kłopot z rozróżnieniem tych dwu zachowań.

- Załóżmy - podjęła Gwen - że obaj ci mężczyźni są winni. Czyli co? Który był pierwszy? I czemu obaj, Steele i Kolekcjoner, wybrali Tannerów, jeśli razem tego nie planowali? To wydaje się zbyt skomplikowane, żeby dwaj obcy mężczyźni, z których jeden wydaje się kompletnie nieświadomy obecności drugiego, wybrali na cel tę samą rodzinę.

- Co wiemy na temat Steele'a? - spytał Delaney.

- Próbowałem pogadać z szeryfem Gellerem - wyjawiał Cunningham. - Oczywiście jest załamany z powodu śmierci swojego zastępcy, ale muszę powiedzieć, że już na miejscu zbrodni podejrzewałem, że coś przed nami ukrywa.

- Steele w chwili śmierci miał broń w kaburze przypiętej na kostce - wtrącił Ganza. - Ta broń i jego służbowy rewolwer właśnie są sprawdzane. Powinniśmy wiedzieć, czy z jednego z tych rewolwerów zastrzelono ojca Katie.

Cunningham dopisał na tablicy:

RAPORT BALISTYCZNY

Maggie zauważyła, że podczas gdy omawiali role Steele'a i Kolekcjonera, Cunningham zapełnił kolumny.

PRZYCZEPA: *Tannerowie (3), (2)podcięte gardła, (1) strzał w plecy, pojemnik na jedzenie, (śledziona/mandat), raport balistyczny*

RADIOWÓZ: *Steele, (1)podcięte gardło, list w kieszeni, pojemnik na jedzenie, (palec)*

DEVIL'S BACKBONE: *tożsamość???, (1)kusza/uduszenie, strzała w lewej łydce, (brakujący palec stopy)*

- Jest jeszcze coś. - Gwen odłożyła pióro i oparła ręce na blacie.

- Katie mi powiedziała, że mężczyzna, który zastrzelił jej ojca, był w szpitalu.

- Widziała go? - spytał Delaney.

- Wydaje jej się, że zaglądał do jej pokoju. Z początku myślałam, że miała zły sen, ale potem powiedziała, że nosił taki sam kapelusz jak ten, kto zastrzelił jej tatę. Duży kapelusz, jaki noszą policjanci.

- Myśli pani, że rozpoznałaby go na zdjęciu? - ponownie spytał Delaney. - Gdyby kazać jej wybrać z kilku zdjęć.

- Na pewno możemy spróbować.

- Nigdy nie wspomniała o żadnym drugim mężczyźnie - dodał Cunningham. - Agencje Delaney, proszę znaleźć wszystko, co możliwe, na temat ofiar i ich ewentualnych związków z zastępcą Steele'em. Może się okazać, że powinniśmy się kierować zasadą brzytwy Ockhama. Często właściwym wyjaśnieniem jest najprostsza odpowiedź.

Nie zdradził jednak, jakie to jego zdaniem wyjaśnienie. Poza podzieleniem się swoim przeczuciem na temat szeryfa Gellera, Cunningham nie wtrącał swoich opinii. Nie chciał, żeby agenci tak manipulowali faktami, by je dopasować do z góry założonego scenariusza szefa. Maggie go za to szanowała.

- Agencje Turner - podjął Cunningham. - Proszę zidentyfikować kobietę znaną w Devil's Backbone. Kim była? Gdzie mieszkała? Gdzie pracowała? Jak długo była zaginiona?

- Zrobi się.

- Agentko O'Dell, chcę, żeby pani nam powiedziała, kim jest Kolekcjoner. - Mówiąc to, patrzył na nią. - On już wcześniej zabijał i jakimś cudem jak dotąd udawało mu się to robić bezkarnie. Bardzo sprytnie planuje, zabija w środku popołudnia, w miejscu publicznym.

Maggie skinęła głową.

- Doktor Patterson. Mam nadzieję, że będzie pani służyć radą agentce O'Dell?

- Oczywiście.

Gwen uśmiechnęła się do Maggie, która z miejsca chciała zaprotestować. Ale przypomniała sobie spojrzenie, które Gwen i Cunningham wcześniej wymienili. Co najmniej byli starymi i bliskimi przyjaciółmi, więc odrzucenie pomocy Gwen wywołałoby niezadowolenie szefa.

- Poza tym, Gwen, czy mogłaby pani towarzyszyć agentowi Delaneyowi, kiedy będzie pokazywał Katie zdjęcia?

- Jutro rano do niej zajrzę. Może wtedy uda się to zrobić?

- Oczywiście - odparł Delaney.

Zadowolony Cunningham spojrzał na Ganzę i powiedział:

- Jeszcze coś. Proszę im powiedzieć, co jeszcze odkryliście.

- Zastępcy Steele'owi odcięto palec wskazujący prawej ręki. Moi ludzie przeszukali cały samochód i otaczający go teren. Nie znaleźliśmy go. - Poczekał, aż do wszystkich to dotrze, po czym dodał: - To był palec, którym naciskał spust.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Sobota

Od chwili, gdy minionego wieczoru zobaczył ją w telewizji, Stucky nie mógł przestać myśleć o ładnej agentce FBI. Prawdę mówiąc, zdominowała jego myśli od momentu, gdy obserwował, jak na czworakach, na zewnątrz przyczepy, składała hołd dziełu jego rąk. A dzięki reporterom telewizyjnym poznał też jej imię i nazwisko: agentka specjalna FBI Maggie O'Dell.

Był rozczarowany, że nie otworzyła pojemnika, który zostawił na masce radiowozu tego dupka. Chciał widzieć jej twarz, kiedy przeczyta list. Zamiast niej honory czynił jakiś gość w zeszmaconym fartuchu laboratoryjnym, z mysimi strąkami związanymi w koński ogon. Z obojętnym wyrazem twarzy grzebał dłońmi w rękawiczkach i szczypcami w cennym dziele Stucky'ego. Takie dzieło powinno wywołać podziw o mocy orgazmu, a gość zachowywał się jak rozczarowujący kastrat.

Postanowił dać jej drugą szansę. Gdy tylko skończył pracę, zaczął się rozglądać za zawartością kolejnej przesyłki.

Dawno temu przekonał się, że potrzebuje bardzo niewiele snu. Kiedyś, gdy pisał kody komputerowe, był w stanie pracować całą noc. Czasami dwie noce z rzędu, wciągając whisky i zagryzając kanapkami z kiełbasą bolońską. Napędzało go też podniecenie związane z finalnym produktem.

Niektóre z pierwszych gier wideo, jakie stworzył, wciąż należały do jego ulubionych, bo powstały dzięki oddaniu i pasji podczas

długich bezsennych nocy. Przy okazji dzięki nim nieprzyzwoicie się wzbogacił. A jednak nie minęło wiele czasu, kiedy ograniczenia wyobraźni zaczęły mu doskwierać. Gry wideo pozwalały mu kontrolować ataki wściekłości, ale gdy poczuł zapach krwi i czuł ją na rękach, nic w świecie wirtualnym nie mogło się z tym równać.

Obwiniął o to swojego ojca. Minęło tyle lat, a wciąż czasami czuł się, jakby drań stał obok niego i szeptał:

- Tnij głębiej. No już, przekonaj się, jakie to uczucie.

Oczywiście ojciec mówił o ptakach i zwierzynie łownej. Nie wystarczyło je zabić i odciąć im łby. Chciał patrzeć, jak syn przecina im skórę. Widzieć, jak ciało zwierzęcia paruje. Poczucie krew na rękach. Nalegał, żeby Stucky patroszył zwierzęta, kiedy były jeszcze ciepłe, i pokazywał mu poszczególne obrzydliwe organy.

Potem zawsze mówił, że jego „mały mężczyzna” wykonał dobrą robotę.

Boże, jak on nienawidził tego określenia. Mały mężczyzna.

Stucky zastanawiał się, co teraz pomyślałby o nim ojciec. Czy byłby dumny, czy zaszokowany? Czasami żałował, że zabił drania, bo gdyby nie, to teraz on kazałby mu patrzeć.

Gdy tylko skończył pracę, pojechał do domu wziąć kilka niezbędnych rzeczy. Poza paroma drobnymi szczegółami nie zawracał sobie głowy zmianą wizerunku. To naprawdę bez znaczenia, czy jego kolejna zdobycz go rozpozna.

Niektóre bary w okolicy były czynne do drugiej w nocy. Stucky odrobił lekcję, kiedy się tam przeprowadził. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów były pięćdziesiąt dwa college'e. W piątkowy wieczór - w zasadzie sobotni poranek - tak łatwo, niemal zbyt łatwo będzie trafić na nietrzeźwą academiczkę. Czy

jeszcze tak je nazywano? Rzadko zniżał się do tego poziomu, by brać na cel studentki college'u. Nie prezentowały sobą wielkiego wyzwania, zwłaszcza te, które o drugiej nad ranem wciąż jeszcze piły. Ale tym razem potrzebował łatwej ofiary.

Zostawił samochód pod domem i przeszedł piechotą pięć przecznic. Ręka swędziała go od gipsu, a temblak ocierał kark. Założył sobie gips aż do palców, żeby nikt nie widział strzykawki, którą ścisnął w dłoni. W drugiej ręce niósł małą torbę chłodzącą na lunch.

Wybrał bar na końcu galerii handlowej, gdzie okoliczne lokale były na noc zamknięte. Schowany za drzewem po drugiej stronie ulicy, obserwował grupę młodych kobiet, która wyszła z baru. Ich śpiewne pożegnania i chichoty, a także niepewny chód wyraźnie wskazywały, że będą idealnym celem. Tyle że było ich za dużo. Już prawie z nich zrezygnował i był gotowy szukać dalej, kiedy trzy młode kobiety wsiadły do jednego samochodu, a kiedy odjeżdżały, pomachały do czwartej, która szła na odległy koniec parkingu.

Stucky nie chciał jej przestraszyć. Niezdarnie mocowała się z kluczykami, kiedy przeszedł za nią przez ulicę. Przemykał między samochodami, aż znalazł lśniącego czarnego lexusa, przy którym się zatrzymał.

- Hej, przepraszam! - zawołał do młodej kobiety, którą dzieliło od niego tylko parę samochodów.

Podniosła wzrok i rozejrzała się, zanim zdała sobie sprawę, że to on się do niej odezwał. Stucky upewnił się, że zobaczyła jego gips, a wtedy już wiedział, że osiągnął cel.

- Złapałem gumę. - Przemieścił się na drugą stronę samochodu, której nie mogła widzieć. Cały czas nie spuszczał wzroku z wejścia do baru. - Moja żona używała ostatnio lewarka

i zostawiła go w garażu. - Zaczekał, aż słowo „żona” do niej dotrze. - Mogłaby pani pożyczyć mi swojego lewarka?

Stał obok samochodu, czekając, aż kobieta uzna go za słabego, bezbronniego i zdanego na własne siły. Wyglądała na zbyt młodą, żeby sięgać po alkohol. Jak nastolatka, która makijażem, obcisłym strojem i przestylizowaną fryzurą chce sobie dodać lat.

- Może mi pani pomóc? Zapłacę dwadzieścia dolarów. - Potem wzruszył ramieniem z temblakiem i dodał: - To był naprawdę zły dzień.

Na te słowa się uśmiechnęła.

- Da pan radę zmienić oponę taką ręką?

- To będzie mniej bolesne niż budzenie mojej żony.

Tym razem się zaśmiała. Bawiła się breloczkiem na kluczyki. Otworzyła bagażnik w chwili, gdy stanął obok niej. Stucky zlustrował parking. Nikogo tam nie było, a duży SUV zaparkowany po drugiej stronie małego sedana dziewczyny zasłaniał ich przed wzrokiem tych, którzy siedzieli w barze.

- Nie znam się na tych lewarkach - powiedziała, pochylając się nad bagażnikiem.

Wbił igłę w tył jej ramienia. Nawet nie zauważyła. Klepnęła w miejsce ukłucia, jakby ją coś ukąsiło. Stucky zabrał jej kluczyki i lekko pchnął. To wystarczyło, żeby znalazła się w bagażniku. Podniosła na niego wzrok z niedowierzaniem, kiedy zatrzaskiwał pokrywę bagażnika.

Poprawił fotel w samochodzie, żeby siedzieć wygodnie. Trochę czasu zajęło mu ustawienie bocznego lusterka. Pozbył się gipsu, odpinając serię zatrząsków i sprzączkę. Rzucił go na podłogę po stronie pasażera, gdzie postawił też torbę chłodzącą. Jednym ruchem zebrał wszystkie szminki i buteleczki dziewczęńskich paskudztw i wrzucił je do przegródki na rękawiczki. Zanim ją

zamknął, sięgnął po koraliki zwisające z tylnego lusterka i też je wrzucił do przegródki.

Musi zatrzymać się przy swoim samochodzie i zabrać stamtąd resztę rzeczy. Po drodze kupi lód do torby chłodzącej. Cały czas pilnie nadstawiał uszu.

Cisza. Żadnego szurania czy jęku. Ta nie wykopie mu tylnych czerwonych świateł.

Dziewczyny! Pokręcił głową. Zbyt niedojrzałe. Zbyt łatwe.

Przypomniał sobie, że prawdziwą nagrodą będzie ładna agentka FBI, po czym uruchomił silnik.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Las Państwowy Devil's Backbone

Susan Fuller spędziła kolejny dzień, kręcąc się w kółko. I znów po godzinach obserwowania szopy z góry, ze skał i spomiędzy drzew, wróciła do niej na noc.

Wcześniej godzinami badała nową ścieżkę, na którą się natknęła. Miejscami była tak zarośnięta, że Susan bała się, że nagle się skończy, a ona zgubi się w środku lasu. Na niebie wciąż pęczniały szare chmury, nie pozwalając jej rozeznąć się w kierunkach. Wmawiała sobie, że gdyby wiedziała, czy idzie na północ, czy na zachód, byłoby jej łatwiej, choć miała świadomość, że to i tak nie pomogłoby jej wydostać się z tego zapomnianego przez Boga i ludzi lasu.

Dwa razy pośliznęła się na błocie i mokrym poszyciu, tracąc równowagę, i gwałtownie zjechała w dół. Rannym kolaniem uderzała w skały i kamienie, nabawiając się nowych siniaków. Chwytając się korzeni i wspinając się na czworakach, połamała paznokcie. Zdawało jej się, że pokonała wiele kilometrów, a wciąż nie zobaczyła ani śladu człowieka czy kolejnego drewnianego domu albo choćby drogi. Nie słyszała żadnych samochodów. Nad jej głową nie latały samoloty.

Gdzie ona trafiła, do diabła?

Choć nie zносиła tak myśleć, szopa stała się jej azylem. Wpadała w panikę, kiedy jej się zdawało, że nie znajdzie drogi powrotnej do szopy, a na widok walącej się budowli czuła ulgę. Tam

znajdowała ciepło i schronienie przed deszczem, a także jedzenie i więcej wody w butelkach, niż była w stanie unieść.

Tym razem, zanim położyła się spać, przyciągnęła duże i mniejsze gałęzie i ułożyła je przy drzwiach wejściowych. Miała nadzieję, że trzask gałęzi, gdyby mężczyzna się pojawił, obudzi ją i ostrzeże. Wędrując za dnia, znalazła wspaniałą długą gałąź, na jednym końcu grubą, na drugim cienką. Gdy wzięła ją do ręki, pomyślała, że to idealny kij bejsbolowy. Starła się z nią nie rozstawać. Gdy się położyła, gałąź leżała obok niej.

Zaczynała mieć złudne poczucie bezpieczeństwa. Może on o niej zapomniał? A jeśli miał wypadek samochodowy? Na tę myśl się uśmiechnęła, chociaż to mogło znaczyć, że nikt nigdy jej tu nie znajdzie. Raz za razem powtarzała sobie, że następnego dnia odważy się pójść dalej i znajdzie ścieżkę, może nawet drogę. To byłoby wspaniale.

Z jakiegoś powodu pomyślała o swojej matce. Od jej śmierci minął prawie rok. Rak nie dał im szansy, żeby się pożegnały jak należy. Trzy tygodnie po diagnozie było po wszystkim. Susan wciąż nie mogła uwierzyć, że mama nie żyje. Poświęciła się swoim zajęciom, non stop uczyła się i pracowała. Matka była taka dumna, kiedy Susan poszła do szkoły gastronomicznej. Na pewno bardzo by jej się spodobała mała cukiernia, gdzie jej córka została szefową.

Susan wciąż miała za złe Panu Bogu. Mimo to leżąc na brudnym cienkim materacu i słuchając nocnych ptaków, zrobiła coś, czego nie robiła od diagnozy matki. Modliła się.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Maggie obudził jakiś obcy dźwięk. Trzask, a potem brzęk, uderzenie metalu o metal.

Minionego wieczoru późno wróciła do domu. Wślizgnęła się do dużego łóżka, nie przerywając cichego pochrapywania Grega. Teraz przez żaluzje widziała szare niebo i pierwsze światło poranka. Druga połowa łóżka była pusta.

Zerknęła na cyfrowy budzik. Za piętnaście siódma.

Greg często wstawał wcześniej i wychodził z domu przed siódmą. Maggie spała mocno tej nocy. Żadne koszmary z ojcem w roli głównej nie zakłócały jej snu. Nic dziwnego, że nie słyszała, kiedy Greg był pod prysznicem ani jak się ubierał.

Kolejny trzask-brzęk, stuk-stuk, brzęk.

Miała wrażenie, że dźwięki płyną z wnętrza mieszkania.

Tym razem sięgnęła na nocną szafkę. Zanim wstała z łóżka, ścisnęła w dłoni smitha & wessona. Na palcach ruszyła tam, skąd dochodził hałas. Sypialnia mieściła się na końcu wąskiego korytarza, po drodze były tylko drzwi do łazienki. Korytarz otwierał się na salon i kuchnię. Jedyne, co dzieliło te dwa pomieszczenia, to długi blat z czterema stołkami barowymi.

Hałas ucichł. Maggie przystanęła. Zwolniła oddech, mocniej ścisnęła broń. Potem pochyliła się naprzód, by zerknąć do kuchni. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, był biały pojemnik na jedzenie na wynos. Leżał na blacie. Serce zaczęło jej walić.

Kolejny trzask-brzęk sprawił, że omal nie podskoczyła.

Dłonie miała już mokre od potu. Ponownie mocniej ścisnęła

broń. Dźwięk dobiegał z kuchni, lecz wciąż nie widziała jego źródła. Rozlegał się gdzieś blisko podłogi, za blatem.

Spojrzała na biały pojemnik. Po bokach nie spływała krew. Przesunęła się za róg, a potem spuściła wzrok. Wiedziała, które deski podłogi skrzypią, więc starała się je ominąć.

Teraz stukot był ciągły. Wykorzystała to, że zagłuszał jej kroki. Szła z wyciągniętą bronią, na końcu przyśpieszyła.

Greg leżał na podłodze do połowy schowany pod zlewem. Kiedy ją ujrzął, przestraszył się i uderzył głową w szafkę.

- Jezu, Maggie! Co jest, do diabła?

Zobaczyła klucz w jego ręce. Na podłodze z kafli leżały kawałki rury.

- Myślałam, że już wyszedłeś do pracy. Usłyszałam dziwny hałas.

Odwróciła się w stronę białego pojemnika. Teraz widziała też obok niego torbę z logo ulubionej piekarni Grega.

- Wiesz co, Maggie, któregoś pięknego dnia mnie zastrzelisz. To kolejny powód, żebyś rzuciła tę durną robotę.

Tę durną robotę, którą kochała.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego położyła rewolwer na blacie rękojeścią w stronę Grega.

- Co robisz? - spytała w końcu.

Podniósł się i wytarł ręce w brudny już ręcznik.

- Rozbieram rurę pod zlewozmywakiem.

- To widzę, ale czemu? - Otworzyła lodówkę, wyjęła karton soku pomarańczowego i nalała sobie szklanekę soku. Sączyła go, czekając, aż tętno wróci do normy.

- A jak myślisz? Mam nadzieję, że znajdę twoją obrączkę.

Omam nie zakrztusiła się sokiem. Na szczęście Greg był bardziej zainteresowany myciem klucza i rąk niż jej reakcją. Próbowowała

sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała go z jakimś narzędziem w ręce. Całkiem szczerze, nie miała pojęcia, że w ogóle posiadał jakieś narzędzia.

- Czasami coś utyka w kolanku - powiedział.

To prawda. Wiele razy słyszała, jak Ganza opowiadał o mordercach, którym zdawało się, że spuścili jakiś dowód z wodą, a on jednak czekał na agentów FBI gdzieś w rurach.

- Nie idziesz dziś do pracy?

- Jest sobota.

Poczuła wyrzuty sumienia. Greg nie może marnować wolnego dnia pod zlewem. Musi wyjawić mu prawdę.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że czasami jesteś taka nieodpowiedzialna. - Patrzył na nią, kręcąc głową. Czystymi rękami sięgnął po pojemnik z piekarni, potem po kubek z kawą i ruszył do salonu.

Poprzedniego dnia naszykował śniadanie dla nich obojga, ale tego ranka nawet nie kupił dla niej ciasta. Jeśli był taki zły, że jej obrączka wpadła do odpływu kanalizacyjnego, jak bardzo byłby zły, gdyby się dowiedział, że tak naprawdę obrączka leży na dnie rzeki? Że ją zgubiła, usiłując wyciągnąć denata z zimnej wody? Nie byłoby końca naleganiom, by rzuciła tę głupią robotę, aż zmusiłby Maggie, żeby oddała Cunninghamowi odznakę agentki specjalnej FBI.

Tak czy owak, czy obrączka spłynęła z wodą w odpływie, czy wylądowała na dnie rzeki, nic tego nie zmieni. Nie da się jej odzyskać. Nalała sobie drugą szklankę soku pomarańczowego, wzięła smitha & wessona i korytarzem ruszyła z powrotem do sypialni. Na szczęście musiała wziąć się do roboty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Okolice Arlington, Wirginia

Gwen sama wybrała ten ośrodek dla Katie, a Cunningham po prostu go zaakceptował. Dziewczynka została przeniesiona. Podjeżdżając do budynku, Gwen pomyślała, że jeśli chodzi o sprawy zawodowe, byłaby w stanie do wszystkiego go przekonać, bo tak wysoko cenił jej fachowość. Ale jeżeli chodzi o sprawy osobiste? Cóż, nie miała pojęcia, na czym stoi, chociaż nigdy nie czuła się z nim tak blisko, jak w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin.

Nadal upierał się, by Katie stale pilnował jakiś agent, a po tym, co wydarzyło się na szpitalnym parkingu, Gwen nie oponowała. Ośrodek był ściśle chroniony i zamknięty. Polecała to miejsce swoim klientom, osobom publicznym, którym zależało na dyskrecji, w tym pewnemu kongresmenowi, a także generałowi. Co innego jednak chronić kogoś przed dziennikarzami i paparazzi, a co innego strzec przed mordercą szaleńcem.

Pokoje tak naprawdę były małymi apartamentami, więc znalazło się również osobne pomieszczenie dla babki Katie. Kiedy Gwen zapukała i otworzyła drzwi, dziewczynce towarzyszył tylko agent Delaney. Katie siedziała na łóżku, kroplówki zniknęły. Dziewczynka piła przez rurkę coś, co wyglądało jak mleczny koktajl czekoladowy. Gdy Gwen weszła do środka, Katie i Delaney podnieśli wzrok i uśmiechnęli się do niej.

- Przeszkodziłam wam w czymś? - spytała.

- On mi opowiada śmieszne historie - odparła dziewczynka i przewróciła oczami, patrząc na agenta. Najwyraźniej cieszyła się z jego towarzystwa. - Pan Delaney przyniósł mi koktajl czekoladowy.

Gwen była zdumiona tempem, w jakim się z nim zaprzyjaźniła. Patrzyła na twarz Katie, na to, jak bacznie śledziła Delaneya, nawet gdy wstał, by przynieść dla niej krzesło. W ciągu wielu godzin, które spędziła z Katie w szpitalu, nie zdołała nawiązać z nią takiej więzi. Być może osierocona dziewczynka przenosiła na Delaneya swoją tęsknotę i uczucia do ojca. A może Gwen była trochę zazdrosna. Jako psychiatra powinna wiedzieć, że obie ewentualności były po części prawdziwe.

Zauważyła, że u stóp Delaneya, oparta o krzesło, stała teczka. Agent dostrzegł jej spojrzenie i kiwnął głową. A więc udało mu się zdobyć co najmniej jedno dobre zdjęcie zastępcy Steele'a bez kapelusza. Wiedziała, że miał też zdjęcia innych mężczyzn, być może nawet podejrzanych o inne zbrodnie. Tak czy owak, wkrótce się dowiedzą, czy Katie rozpozna Steele'a. A może tylko zapamiętała jego kapelusz.

- Czy twoja babcia jest tutaj? - spytała Gwen.

Katie kiwnęła głową, ale to Delaney odpowiedział:

- Poszła po kawę. Wspomniałem, że chcemy we dwoje pobyc trochę z Katie, a potem z nią porozmawiamy.

- Pani mąż z panią przyjechał? - spytała Katie.

- Mój mąż? Masz na myśli pana Cunninghama?

Katie znów kiwnęła głową i wysiorbała resztkę koktajlu, przechylając kubek obiema rękami, aż w rurce zabulgotało.

- Och, kochanie, my nie jesteśmy małżeństwem. - Gwen wiedziała, że zaczyna się rumienić, najpierw na dekolcie. Zerknęła na Delaneya. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami,

jakby mówił: „To tylko dziecko”. Co sprawiło, że Gwen chciała od razu wziąć się do pracy. – Katie, pamiętasz, jak ci wczoraj tłumaczyłam, dlaczego cię tu przenosimy?

– Bo tu jest ładniej.

Zapowiadało się, że będzie trudniej, niż Gwen się spodziewała.

– To prawda, jest ładniej, ale powiedziałam ci jednak trochę coś innego. Pamiętasz?

Dziewczynka przekrzywiła głowę, a Gwen usiłowała ukryć irytację. Przypomniała sobie, że każda reakcja to pozytywny znak. Słyszała, jak Delaney położył teczkę na kolanach, czym natychmiast przyciągnął uwagę Katie. Kiedy Gwen na niego zerknęła, spojrzał jej w oczy i w milczeniu spytał o pozwolenie. W odpowiedzi lekko kiwnęła głową.

– Zabrałem ze sobą kilka zdjęć – powiedział do Katie, kiedy otworzył teczkę. – Pamiętasz, mówiłem ci, że próbuję złapać złego człowieka?

Katie opuściła ręce. Rurka wypadła jej z ust. Ale nie spuszczała wzroku z Delaneya i jego teczki. I milczała.

– Chyba wiem, kto to jest – ciągnął Delaney – ale muszę mieć pewność. Czy mogłabyś spojrzeć na te zdjęcia i powiedzieć, czy widziałaś któregoś z tych ludzi?

Gwen przysunęła się bliżej łóżka, a Katie, nie patrząc na nią, wyciągnęła do niej rękę. Jej dłoń była mokra i lepka. Gwen ścisnęła ją w swoich dłoniach.

Kiedy Delaney wyjmował zdjęcia, dziewczynka podniosła wzrok na Gwen i oznajmiła:

– Znajdziemy złego człowieka.

– Zgadza się. Ale jeśli gorzej się poczujesz albo będziesz się bała, w każdej chwili możemy to przerwać, okej?

Delaney przesunął ruchomy stolik nad łóżkiem Katie, żeby

położyć przed nią zdjęcia. Potem zaczął je układać obok siebie, wyjmując z teczki co parę sekund.

- Staraj się za długo nie zastanawiać - powiedziała Gwen, kiedy zauważyła, że Katie marszczy czoło. - Po prostu popatrz. To nie jest żaden test. Nie ma nic złego ani...

- To on - rzuciła Katie z leciutką emocją, zupełnie jakby grali w jakąś grę, a ona z ulgą stwierdziła, że jest prostsza, niż się spodziewała.

Gwen obserwowała jej twarz, a potem spuściła wzrok na wskazywane przez nią zdjęcie. To było zdjęcie zastępcy Steele'a. Bez kapelusza. Miał na sobie niebieską koszulkę polo, uśmiechał się. Ale czy Katie rozpoznała w nim mężczyznę, który zastrzelił jej ojca, czy tego, który zaglądał do jej szpitalnego pokoju?

Delaney najwyraźniej zadawał sobie to samo pytanie, bo odezwał się do Katie:

- Jesteś pewna?

Katie zaczęła przyglądać się pozostałym zdjęciom. Jej warga drżała. Dziewczynka błąkała się w wątpliwościach, a zarazem chciała zadowolić Delaneya.

- Zaglądał do mojego pokoju - powiedziała tak cicho, że Gwen się nachyliła.

- Więc widziałas go w szpitalu?

- Tak.

- Czy to jest ten sam mężczyzna, którego widziałas koło przyczepy swojego wujka?

Dziewczynka patrzyła na zdjęcie. Gwen widziała napływające do jej oczu łzy.

- Nie jestem pewna - odparła w końcu Katie. Jej dolna warga drżała, drobne palce wbijały się w dłoń Gwen.

Która powiedziała łagodnie:

- W porządku, Katie. - Pokazała Delaneyowi, żeby schował zdjęcia. - Nic nie szkodzi, że nie pamiętasz.

- Ale jak pan złapie tego złego człowieka? - spytała Katie Delaneya.

- Nie przejmuj się, złapiemy go. - Odsunął stolik i poklepał ją po plecach.

W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi.

- Jak wam idzie? - Lucille Tanner weszła do pokoju z pluszowym brązowym psem pod pachą. - Dziadek przywiózł ci twojego pieska.

Oczy Katie pojaśniały, zabrała rękę z dłoni Gwen i wyciągnęła ją po pluszowego zwierzaka.

Gwen podeszła do Delaneya, który stanął przy drzwiach.

- Zaraz wracamy - powiedziała do Katie i jej babki, ale dziewczynka już nie zwracała na nich uwagi.

Gwen i Delaney w milczeniu szli obok siebie korytarzem. Wreszcie skręcili za róg i znaleźli miejsce naprzeciw recepcji, gdzie nikogo nie było.

- Musimy przyjąć do wiadomości, że Katie być może nigdy sobie nie przypomni, co się działo tamtego dnia - stwierdziła Gwen. - Nie sądzę, żeby pamiętała, że weszła do przyczepy, chociaż Cunningham mówił, że kiedy ją znaleźliście, miała krew na stopach.

- Były także ślady na wykładzinie. Małe ślady bosych stóp.

- Prawdę mówiąc, to już nieważne, czy ona zidentyfikuje zastępcę Steele'a. Nie wspomniała o żadnym innym mężczyźnie.

- Porozmawiam z jej babką. Może wie coś, czego my nie wiemy.

- Zaproponuję terapię dla Katie. Doktor Anderson jest lepiej przygotowany do pracy z dziećmi, które przeżyły traumę.

- Więc pani z nią skończyła? Czy tak? To już wszystko?

Spojrzała mu w oczy. W jego ustach zabrzmiało to jak oskarżenie, zupełnie jakby porzucała Katie.

- Wpadnę do niej jeszcze. Będę konsultować jej terapię, ale jeśli chodzi o wyciągnięcie z niej kolejnych informacji, nie sądzę, żebyśmy mieli na co liczyć. W tej chwili najlepsze, co pan i ja możemy dla niej zrobić, to znaleźć tego drugiego mordercę. Bo nie będziemy w stanie wiecznie jej chronić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

O pierwszym brzasku Susan wspięła się do jednej ze swoich kryjówek. Z potężnego dębu miała widok na szopę. Trzy niższe gałęzie służyły jej jako stopnie prowadzące do rozgałęzienia w kształcie litery V, gdzie pod baldachimem liści była praktycznie niewidoczna. Mogła tam wygodnie siedzieć... no, tak wygodnie, jak można siedzieć na drzewie z chorym kolanem i licznymi siniakami.

Tego dnia nie miała siły opuścić swojego azylu. Och, co za ironia losu! Przecież dwie noce wcześniej – dwie, a może trzy – powiedziała sobie, że wróci do szopy odpocząć, by następnego dnia mieć dość siły na wędrówkę i znalezienie ścieżki, która wyprowadzi ją z tego odludzia. A jednak postanowiła tu zostać. Co wcale nie znaczyło, że się poddała. Zabrała nawet na drzewo swoją broń. Jakoś zdołała sama siebie przekonać, że musi zachować siły na powrót tego szaleńca.

Zaczęła się zastanawiać, czy on w ogóle wróci. Dotąd nie myślała o tym, co się stanie, kiedy skończy się jedzenie. Z wodą byłoby łatwiej. Już nazbierała deszczówki do nowiutkiego wiadra, które zostawił jej jako nocnik. Nie miała problemu z chodzeniem do lasu za potrzebą. Ważniejsze, żeby mieć świeżą deszczówkę do mycia i do picia.

Z początku nie była pewna, czy celowo zostawił torbę z jedzeniem, ale potem zdała sobie sprawę, że przytarganie czegokolwiek do tej szopy nie było łatwym zadaniem. Chciał, żeby jadła i zachowała siły. Na tę myśl załała ją kolejna fala strachu.

Chciał, żeby zachowała siły na to, co dla niej zaplanował. Ale co będzie, jeśli to ona pierwsza go wypatrzy? Czy istniał jakiś sposób, żeby go zaskoczyć?

Słońce wciąż kryło się za chmurami. Nie padało... jak dotąd. Susan słyszała już grzmoty w oddali. Oparła głowę o korę drzewa. Odgłosy lasu i zbliżającej się burzy uspiły jej czujność. Do tego stopnia, że nie zwróciła uwagi na kolejne dudnienie. Tyle że to nie był grzmot.

Gwałtownie się wyprostowała i nadstawiła uszu.

Czy to silnik?

Stłumiony dźwięk płynął zza skalistej ściany, która górowała za tylną ścianą szopy. To było jedyne miejsce, gdzie Susan nie próbowała się wspinać, ponieważ zdawało się to niemożliwe. Ale tak było wcześniej, zanim zaczęła wspinać się na drzewa. Teraz ze swojego miejsca usiłowała ocenić ryzyko.

Nasłuchiwała, tym razem wstrzymując oddech. Była zirytowana, że serce wali jej tak głośno, zagłuszając inne dźwięki. Tak, to zdecydowanie był silnik. Czy to jej porywacz? Czy powinna czekać? Zostać w ukryciu? Musiała wykorzystać element zaskoczenia.

A jeśli to nie on? Jeżeli to ktoś inny?

Decyzja nie zabrała jej wiele czasu. Zeszła z drzewa, ciągnąc za sobą gałąź służącą jej za pałkę. Kiedy zbliżyła się do skalistej ściany, stanęła i podniosła wzrok. Ściana mierzyła co najmniej sześć metrów wysokości. Między szczelinami wyrastały krzaki, więc bacznie przyjrzała się powierzchni, szukając miejsc, gdzie mogłaby oprzeć stopę.

Co ryzykowała? Gdyby tam weszła, żeby się z nim spotkać? I jakie to ma znaczenie? W głębi duszy wiedziała, że nie wygrałaby bitwy. Mężczyzna wyglądał na starego i bezbronnego,

ale udowodnił, że jest silny i przebiegły. Nawet gdyby zdołała go zaskoczyć i uderzyć od tyłu, musiałyby znaleźć drogę, by się stąd wydostać.

Susan odrzuciła gałąź, którą uważała za swoją najlepszą broń. Nie dałaby rady wspinać się i trzymać jej w ręce. Zignorowała ból w kolanie, a właściwie w całym ciele. Zaczęła szukać miejsca, gdzie mogłaby postawić stopę, i znalazła występ skalny. Podciągnęła się, a potem rozejrzała w poszukiwaniu kolejnego występu. Wkrótce dotarła do krzewów i odkryła, że były na tyle mocno osadzone, żeby się ich chwycić.

Podciągała się, posuwając się centymetr po centymetrze. Kiedy dotarła na szczyt, oddychała tak ciężko, że nie słyszała nic prócz swojego oddechu. Położyła się płasko na porośniętym trawą miejscu i uniosła głowę, by sprawdzić, czy jest sama.

Potem usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu i pomyślała z żalem, że może jednak popełniła błąd. Nagle zatęskniła za bezpieczną szopą. Nie podnosiła się z trawy. Silnik wciąż pracował, ale dźwięk nadal był stłumiony. Wtedy zdała sobie sprawę, że nie wdrapała się na płaski teren. Po drugiej stronie też była skalista ściana, a hałasy, które słyszała, płynęły z dołu.

Podczołgała się na sam skraj półki skalnej. Miała nadzieję, że wysoka trawa ją zasłoni. Spojrzała w dół.

W dole była droga.

O mój Boże! Tam była droga.

Zdusiła podniecenie i próbowała zachować spokój. Z tej strony ściana była wyższa niż z tamtej, którą pokonała. Widziała mężczyznę, który podszedł do tyłu samochodu. Otworzył bagażnik małego sedana i pochylił się, jakby zamierzał coś z niego wyjąć.

W niczym nie przypominał mężczyzny, którego zapamiętała. Ten nie kulał. Trzymał się prosto, nie garbił się, był wysoki. Był

też szczuplejszy. Zdecydowanie nie miał wydatnego brzucha. I był młodszy.

Nie, to nie mógł być ten sam mężczyzna. Czy powinna do niego pomachać? Zawołać i zwrócić na siebie uwagę? Zaczęła się podnosić, gdy mężczyzna coś szarpnął i wyciągnął z bagażnika duży pakunek.

Potem dojrzała, że z tego pakunku wysuwa się ręka. Susan przywarła brzuchem do ziemi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Cunningham prosił Maggie, żeby przygotowała profil psychologiczny Kolekcjonera. Chciał, żeby mu powiedziała, kim jest ten morderca. Ale w tej chwili nie dysponowali niczym prócz paru dowodów. W jednym wypadku dosłownie tylko fragmentem ciała ofiary.

Cały ranek znów spędziła na szpitalnym parkingu. Jedyne znajdujące się na zewnątrz kamery skierowane były na wejście do izby przyjęć i na hol. Tak jak zapamiętała, na parkingu nie było żadnych kamer. Objechała ulice otaczające szpital, szukając firm, a zwłaszcza banków z bankomatem, które mogłyby nagrać zaparkowany radiowóz z innej perspektywy.

Nic z tego.

Następnie pojechała z powrotem do przyczepy, ale nie wjechała na podjazd. Zamiast tego znalazła gruntową drogę, która prowadziła między drzewa, skąd widać było posesję Tannerów. Zostawiła samochód przy zjeździe z głównej drogi. Starła się iść po trawie, omijając głębokie ślady opon wciąż wypełnione wodą deszczową. Ktoś tam był w ostatnich dniach i jechał tą drogą w błocie.

Znalazła ślady stóp w miejscu, gdzie kierowca wysiadł z samochodu. Ostrożnie szła za tymi śladami, które doprowadziły ją do kępy drzew. Nie mogła zgadnąć, czy to ślady Kolekcjonera. Za to świetnie było stamtąd widać przyczepę. Zatrzymała się pod drzewem, gdzie ślady się kończyły.

Kolekcjoner powiadomił Steele'a, że widział, co on zrobił

w przyczepie. Z tego miejsca, które znajdowało się na lekkim wzniesieniu, mógł zobaczyć, jak Steele strzelił Danielowi Tannerowi w plecy, chociaż trudno stamtąd dojrzeć brzeg rzeki. Może za pomocą lornetki. A jednak nawet przez lornetkę nie mógłby widzieć, co działo się w przyczepie, bo uniemożliwiały to zasunięte zasłony w oknach.

Dlaczego to obserwował?

Czy znał Tannerów? Czy znał zastępcę Steele'a?

Po głębokim namyśle Maggie uznała, że zastępca Steele zamordował wszystkich troje Tannerów. W jej opinii miejsce zbrodni wyglądało zbyt makabrycznie, by zrobił to Kolekcjoner. To zwykła amatorszczyzna jak na kogoś, kto potrafi wyjąć z ciała śledzionę, odciąć palce u stóp i rąk i dokonać morderstwa na szpitalnym parkingu w środku dnia. Było tu zbyt wiele niechlujstwa i pośpiechu jak na człowieka, który potrafi cierpliwie czekać, żeby strzelić do swojej ofiary z kuszy.

To, co zdarzyło się w przyczepie, było owocem złości, namiętności albo zemsty. W sposobie, w jaki Louis Tanner został powieszony, a potem pozbawiony życia przez podcięcie gardła, była szalona ślepa furia.

Znów sobie przypominała, że zastępca Steele interesował się, czy dziewczynka mogła cokolwiek widzieć ze swojej kryjówki w piwnicy. Ani razu nie spytał, czy z Katie wszystko będzie w porządku, jednak prawie natychmiast zgłosił się do jej ochrony. Równie dobrze mógł to zrobić z zamiarem zabicia dziewczynki.

Kiedy Maggie opuściła wiejską drogę i jechała do Quantico, przypominała sobie, że tamtego dnia, kiedy rozmawiali o masakrze w przyczepie, Steele wydał jej się trochę zbyt pyszałkowaty, zwłaszcza jak na kogoś, kto twierdził, że niczego nie widział, bo tylko zerknął do środka, stojąc w drzwiach. Za to

jego zdziwienie na wieść o pojemniku na jedzenie na wynos wydawało się szczere.

Po co Kolekcjoner wszedł do przyczepy? Bo tam wszedł. Doszła do wniosku, że spomiędzy drzew obserwował całe zdarzenie z gruntowej drogi na lekkim wzniesieniu. Musiał widzieć, jak Steele strzelił Danielowi Tannerowi w plecy. Ale co potem? Czy wyszedł ze swojej kryjówki, żeby lepiej się przyjrzeć?

Czy był zaszokowany tym, co zrobił Steele?

Nie, Maggie uważała, że raczej był pod wrażeniem, i to do tego stopnia, że postanowił zostawić swój ślad na miejscu zbrodni. Nie tylko coś od siebie dodał, ale zostawił też wiadomość, kim jest morderca, podrzucając mandat za przekroczenie prędkości z podpisem Steele'a.

Zaraz, zaraz.

Jeżeli Kolekcjoner chciał zostawić policji podpowiedź dotyczącą tożsamości mordercy, znaczyłoby to, że znał zastępcę Steele'a. Skąd inaczej wiedziałby, że podpis na mandacie to podpis mężczyzny, który na jego oczach zastrzelił Daniela Tannera?

To zaprzeczało jej teorii o przypadkowym podglądaniu.

Czy to możliwe, że także Kolekcjoner otrzymał mandat od zastępcy szeryfa? Musi to sprawdzić i spytać, czy szeryf Geller dysponuje kopiami mandatów. Chociaż to loteria. Nie znali nazwiska Kolekcjonera ani jego samochodu. Nawet gdyby zastępca Steele ukarał go mandatem, skąd mieliby wiedzieć, że to właśnie ten mandat?

Jeden krok naprzód, dwa kroki do tyłu.

W jej teorii była jeszcze jedna luka - co to za morderca, który podróżuje z cudzą śledzioną?

Zdaniem Ganzy palec kobiety był przechowywany w lodzie. Maggie mogła wymienić sześciu morderców, którzy trzymali

fragmenty ciał swoich ofiar w lodówkach czy zamrażarkach, ale nie przypominała sobie ani jednego, który podróżowałby z częściami ciała ofiary w lodzie.

Zapisała sobie w pamięci: ten człowiek podróżuje z przenośną turystyczną lodówką. Być może zabiera lunch do pracy albo potrzebuje lodu do innych celów.

Do profilu Kolekcjonera dodała już podglądactwo. Podglądał Steele'a z kryjówki między drzewami z widokiem na posesję Tannerów, ale także obserwował ekipę FBI, gdy oglądała miejsce zbrodni. Zresztą napisał to w liście. Skąd inaczej wiedziałby, że wymiotowała obok przyczepy?

Niezależnie od braku konkretnego materiału dowodowego, Maggie podejrzewała, że obserwował też szpitalny parking. Jaką miałby przyjemność z podrzucania pojemników wypełnionych szokującą zawartością, gdyby nie znajdował się wystarczająco blisko, by widzieć reakcję tych, którzy je znajdują. Zresztą również i to przyznał w swoim liście.

Wjechała na drogę do Quantico, kiedy zadzwonił telefon.

- Maggie O'Dell, słucham?

- Margaret O'Dell?

- Tak.

- Kathleen O'Dell to pani matka. Zgadza się?

Zjechała na pobocze.

- Z kim mam przyjemność?

- Doktor Philip Lawrence ze szpitala St. Mary's w Richmond.

Wczoraj w nocy przywieziono tu pani matkę.

- Czy z nią... wszystko w porządku? - Nienawidziła brzmienia swojego głosu, był taki cichy i tak bardzo jej przypominał dwunastoletnią Maggie.

- Na tyle w porządku, na ile może być z kimś, kto próbował

popęlnić samobójstwo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Podczas półtoragodzinnej jazdy starała się koncentrować na sprawie Kolekcjonera. Woląa pojemniki na jedzenie na wynos i morderców niż obrazy z dzieciństwa. Oczywiście te starania okazały się bezskuteczne.

Opłakiwała stratę ojca całkiem inaczej niż jej owdowiała matka. Podczas gdy Maggie wygrzebywała z pamięci każde najmniejsze wspomnienie i usiłowała otoczyć się wszystkim – czymkolwiek, co do niego należało, matka pragnęła całkowicie odciąć się od minionego życia. Parę miesięcy po pogrzebie męża spakowała rzeczy i z córką przeprowadziła się z Green Bay w stanie Wisconsin na drugi koniec kraju, do Richmond w Wirginii.

W żaden sposób nie wytłumaczyła tego Maggie, która szybko się nauczyła, że nie należy oczekiwać wyjaśnień.

Ojciec stanowił tak integralną część jej życia, że przez tygodnie, a może miesiące po jego śmierci budziła się w środku nocy, z trudem łapiąc oddech. Nie mogła oddychać. Nie mogła się ruszyć. Lata później zrozumiała, że były to ataki paniki. Ale dwunastoletniej dziewczynce, która straciła ojca i która nie mogła polegać na matce, te ataki nie pozwalały spać. Czytała, aż powieki jej opadły, a nawet wtedy spała przy zapalonym świetle.

Matka z kolei wydawała się zdeterminowana, żeby wymazać męża z pamięci. Zaczęła od alkoholu. Maggie nawet nie potrafiłaby zliczyć, ile razy pomagała matce wejść po schodach do mieszkania, a potem położyć się do łóżka. Szykowała sobie zupę i grillowany ser. Odrabiała lekcje i niespokojnie czekała na

światło kolejnego dnia. Zbyt wiele razy sama szykowała się do szkoły, podczas gdy matka przesypiała kaca. Potem wracała do pustego domu. Około ósmej czy dziewiątej wieczorem wszystko zaczynało się od nowa.

Patrząc z perspektywy czasu, to nie były takie złe dni. Szybko zrozumiała, że samotność jest bezpieczniejsza. Gorsze miało dopiero nadejść. Matka zaczęła sprowadzać do domu rozmaitych mężczyzn, których spotykała w ulubionym barze. Wówczas też Maggie przeżyła swoistą inicjację seksualną, kiedy pijani faceci dotykali jej w najbardziej intymny i niewłaściwy sposób. Jeden nawet przycisnął jej drobne ciało do ściany salonu, trzymał ją jak w pułapce, ocierał się o nią, aż matka w końcu kazała mu przestać. Ale ten incydent nie powstrzymał jej przed sprowadzaniem do domu nieskończonej parady mężczyzn.

Pierwsza próba samobójcza matki miała miejsce pewnej nocy, kiedy przyprowadziła jednego ze swoich gachów. Tchórzliwy drań spanikował i zostawił Maggie, i to ona musiała zadzwonić po pomoc.

Po wszystkich tych latach Greg był jedyną osobą, której zawierzyła sekrety swojego dzieciństwa. Pomimo jego różnych wad, w kontaktach intymnych był troskliwy i delikatny. Wiedział i rozumiał, jakie to dla Maggie trudne. Nigdy do niczego jej nie zmuszał.

Nie było dla niej zaskoczeniem, że matka po raz kolejny usiłowała odebrać sobie życie, choć od ostatniej próby minęło kilka lat. Nie zdziwiło jej też, że matka chciała ją widzieć. Ten schemat powtarzał się od dawna. Kathleen O'Dell rozpadała się na małe kawałki, a potem oczekiwała, że córka znów poskłada ją w całość.

Pielęgniarka skierowała Maggie na czwarte piętro, prosząc, by usiadła w poczekalni dla gości. Doktor Lawrence chciał z nią porozmawiać, zanim zobaczy się z matką.

- Pani O'Dell.

Wzdrygnęła się, słysząc męski głos po prawie godzinie czekania.

- Tak.

- Jestem doktor Lawrence.

Niski głos nie pasował do niewysokiego młodego mężczyzny, który stanął w drzwiach poczekalni. Nie wyglądał na starszego od niej. Głowę miał ogoloną, nosił krótką brodę. Wyciągnął do niej rękę, która była dość duża jak na tak niepozornego mężczyznę, ale jego uścisk był lekki, ścisnął tylko koniuszki jej palców. Potem usiadł na podłokietniku fotela naprzeciw Maggie, a ona nie mogła uciec od myśli, że to stara sztuczka niskich mężczyzn - sposób, by zachować autorytet, siadając wyżej niż ona, żeby musiała podnieść na niego wzrok.

- Mam nadzieję, że uzyskam od pani jakieś informacje, jakiś wgląd.

- Oczywiście. Chociaż nie wiem, czy wiele panu pomogę. Nie widziałam się z matką od paru miesięcy.

Zmarszczył czoło, wyjął miniaturowy notes i długopis z kieszeni marynarki.

- O ile dobrze zapamiętałem, pani Kathleen wspomniała, że mieszka pani niedaleko Richmond, zgadza się?

- Jakież czterdzieści minut drogi.

Zapisał to, a Maggie zastanawiała się, jak ta informacja pomoże mu w leczeniu matki.

- Co było tym razem? - spytała.

- Słucham?

- Poprzednim razem połknęła za dużo valium i popiła tabletki Johnnie Walkerem.

Z jego zaskoczonej miny wynikało, że matka, co zresztą dla niej typowe, nie wspomniała o tym nowemu lekarzowi.

- Więc to była jej druga próba samobójcza? - Znów zaczął coś pisać.

- Ależ skąd.

- Słucham?

- Ta jest piąta. W jednej nie uczestniczyłam, bo byłam w college'u.

Wlepił w nią wzrok. W jego oczach dostrzegła nie tyle niedowierzanie, co oburzenie.

- A pani nie utrzymuje z nią kontaktu?

No i proszę.

Matka obarczała odpowiedzialnością za swoje postępowanie wszystkich, tylko nie siebie. Dawniej Maggie też bywała przez nią obwiniana.

- Nigdy nie byłam w stanie zrobić ani powiedzieć niczego, co by ją powstrzymało. - Przyłapała się na tym, że zaczyna się tłumaczyć. Natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. To nie jej wina, a tłumaczenie się tylko uwiarygodni niesłuszne oskarżenia.

- Mimo wszystko to pani matka - powiedział doktor Lawrence.

Chciała mu dokładnie zrelacjonować, jaką matką była Kathleen O'Dell, jednak zamiast tego powiedziała:

- Jakiej informacji pan ode mnie oczekuje?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Las Państwowy Devil's Backbone

Susan nie miała pojęcia, jak długo leżała na trawie na skalnej półce. Z początku tak się trzęsała, że była przekonana, że mężczyzna w dole słyszał, jak szczękała zębami ze strachu. Starła się zdusić mimowolne jęki. Jej jedynym ratunkiem były grzmoty zbliżającej się burzy.

Jednak nawet gdy usłyszała, że samochód odjechał, nie mogła w to uwierzyć. Wyobrażała sobie, że mężczyzna na nią czeka. Niemal czuła na sobie jego wzrok. W końcu znalazła w sobie dość odwagi, by się ruszyć. Może pomogła jej w tym rozświetlająca niebo błyskawica. Zrobiło się już tak ciemno, że nie była pewna, czy to jeszcze popołudnie, czy wieczór.

Trzymała się blisko ziemi. Czołgała się po trawie, odpychając się łokciami. Potem trawa ustąpiła miejsca twardej skale, która podrapała jej skórę do krwi.

W miejscu, gdzie półka skalna łączyła się z drugą półką, odkryła wgłębienie. Mogłaby go nie dojrzeć, gdyby nie leżała na brzuchu. Było częściowo ukryte za wątłym krzakiem, który śmiało wystrzelił z pęknięcia w skale. Znalazła tam dość miejsca, by wcisnąć się do środka. Przycisnęła plecy do zimnej, twardej powierzchni, i podciągnęła kolana pod brodę.

Nie minęło wiele czasu, kiedy zaczęło padać, a Susan zatęskniła za ciepłem szopy. Pewnie to głupie. Wpadała w paranoję. A jeśli coś jej się przywidziało? Czy w ogóle widziała to, co jej się

zdawało, że widziała? Może da się jakoś racjonalnie wyjaśnić przerażający fakt, że mężczyzna niósł nieprzytomną kobietę do lasu?

Cokolwiek nim kierowało, już odjechał, i to jakiś czas temu. Co ją powstrzymywało przed zejściem w dół na drogę? To jej jedyna szansa ucieczki. Nie mogła jednak wiedzieć, jak długa jest ta droga ani dokąd prowadzi. Na myśl o tym, że w środku nocy zgubi się w ciemnym lesie, znów dostała dreszczy.

Myślała tylko o tym, by zsunąć się w dół skalistej ściany i skulić na brudnym, starym materacu w szopie. Była spragniona i głodna. Ile godzin spędziła na górze? Czy naprawdę była gotowa spędzić tam noc? Bo w ciemności nie mogła bezpiecznie zejść na dół ani z jednej, ani z drugiej strony, nie upadając i nie łamiąc karku.

Padało coraz mocniej, w jej małej kryjówce tworzyła się kałuża, ale światła wciąż było wystarczająco dużo, by się stamtąd wyczołgać. I tak też postanowiła. Może obserwować szopę i upewnić się, czy mężczyzny tam nie ma. Ze szczytu skały będzie w stanie zobaczyć, czy nie ma go gdzieś w pobliżu. Musi tylko zacząć działać, dopóki jest wystarczająco widno.

W momencie, gdy dotarła do krzewu, którego mogła się chwycić, usłyszała trzask. To nie był grzmot. Cofnęła szybko rękę i przesunęła się do tyłu, aż poczuła, że skała wbija jej się w plecy.

Przez liście wątlęgo krzewu zobaczyła sportowe turystyczne buty.

On tam był. I to niespełna dwa metry od niej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Kiedy opuściła szpital, zapadał wieczór. Burze zatrzymały się na północy, ale i tu niebo wciąż zasnuwały chmury. Maggie chciała zobaczyć zachód słońca, gwiazdy... cokolwiek, byle nie chmury. Na zewnątrz powietrze było ciepłe i pachniało mieszanką zapachu gardenii i nieuchronnie zbliżającego się deszczu, w przeciwieństwie do szpitalnego pokoju matki, który cuchnął środkami dezynfekującymi i egoistyczną desperacją.

- Myślę, że to mogło być wołanie o pomoc - oznajmił młody doktor Lawrence, zanim pozwolił jej wejść do pokoju matki. Powiedział to w taki sposób, jakby jego diagnoza była oryginalna i wyjątkowa, jakby Maggie nigdy dotąd nie słyszała nic podobnego w odniesieniu do kilku prób samobójczych matki. Natomiast ona uważała, że słyszała już wszystko.

Za to matka, odpływając w sen z wyczerpania, powiedziała coś, co utkwiło jej w głowie. Maggie nie mogła zapomnieć tych słów. Matka podniosła na nią wzrok, siłą woli nie opuszczając powiek, i wymamrotała:

- Ciemność zaczyna mnie dusić.

- Co masz na myśli? - spytała, ale powieki matki już opadły, a zaraz potem jej oddech zwolnił.

Zwykle matka zaprzeczała, że w jakikolwiek sposób próbowała zakończyć swoje życie. Przedawkowanie leków wytłumaczyła jako pomyłkę. Że niby pomyliła się, licząc tabletki. Że nie pamiętała zaleceń lekarzy. Owszem, być może za dużo wypijała. Odpowiadała nonszalancko, a czasami, gdy się ją naciskało, agresywnie.

W pewnym momencie matka zaczęła podnosić fałszywe alarmy, a Maggie, dla własnego zdrowia psychicznego, zaczęła wszystkie kolejne alarmy traktować jak fałszywe. Ale to - „ciemność zaczyna mnie dusić” - to było nowe. I niepokojące w sposób, którego Maggie nie potrafiła wyjaśnić. Słyszając to, usiadła i wzięła matkę za rękę.

Wiedziała, że nieszczęśliwy los matki skłonił ją do studiowania psychologii. Z początku szukała dla niej jakiegoś wytłumaczenia. Czegoś, czegokolwiek, co tłumaczyłoby jej postępującą autodestrukcję. I te rozważania, to poszukiwanie prawdy być może przyniosło Maggie trochę ulgi. Uwolniło ją z podejrzeń wobec samej siebie, ponieważ czuła się winna. Tak, obwiniła się, bo wychodziło na to, że jej osoba nie jest dostatecznie silnym argumentem, by matka z tym skończyła. Nie była wystarczającym powodem, dla którego chciałyby żyć.

Będąc dzieckiem, nie rozumiała, czemu czuła się odpowiedzialna za jej zachowanie. Zamieniły się rolami. Maggie opiekowała się matką, gdy jej pijackie stupory całe weekendy zamieniały w nicość.

Ojciec zostawił je obie. Nie tylko jej matkę. Wciąż za nim tęskniła. To był fizyczny ból, tak realny i tak dokuczliwy, że w dzieciństwie każdej nocy przyciskała kolana do piersi i kołysała się do snu. Matka zdawała się nie rozumieć, że mężczyzna, którego straciła, był nie tylko mężem, ale i ojcem. Maggie straciła ojca... i matkę.

Zamiast do Quantico, postanowiła pojechać do domu. To było pół godziny drogi. Do Quantico musiałaby jechać półtorej godziny. O dziwo, była rozczarowana, kiedy zobaczyła puste i ciemne mieszkanie. Greg zostawił jej kolejny liścik - od jakiegoś

czasu ich standardowy sposób komunikowania się.

Poszedłem na drinka z Lesem i Sophie.

Dołącz do nas, jeśli zechcesz. Będziemy w Hannigan's.

Les i Sophie wprowadzili się do mieszkania na tym samym piętrze mniej więcej przed rokiem. Byli bardzo sympatyczni. Sophie zawsze grzecznie pytała ją, jak minął dzień, chociaż Maggie wiedziała, że ani ona, ani Les nie mają ochoty usłyszeć żadnych koszmarnych detali. Kiedy ostatnio wybrali się razem na drinka, para stanęła po stronie Grega, gdy powiedział im o „znakomitej szansie” w jego firmie prawniczej dla śledczego zajmującego się roszczeniami.

- Och, czy to nie cudownie? Moglibyście razem pracować. - Sophie złożyła ręce. - I pewnie nie musiałabyś nosić przy sobie broni.

Teraz stała przed otwartą lodówką, żałując, że nie kupiła nic na kolację, kiedy zadzwonił jej telefon.

- Maggie O'Dell, słucham?

- Dziewucho, gdzieś ty się ciągała?

To był Turner. Uśmiechnęła się, słysząc jego nieudolną próbę mówienia slangiem.

- Właśnie wróciłam do domu.

- Och, wybacz. Przeszkodziłem ci w czymś?

- Tylko w uzalaniu się, że nie zamówiłam pizzy.

Zaśmiał się. Jego niski śmiech zaczynał sprawiać jej przyjemność.

- Mieszkasz może gdzieś w pobliżu Fredericksburga?

- Jakieś dwadzieścia minut drogi.

- Masz może ochotę spotkać się ze mną w Vinny's Italian Grill?

Najlepsza pizza w mieście. Ja stawiam, pizzę i piwo.

Zawahala się. Czasami nie była pewna, czy Turner z nią nie

flirtuje. Wiedział, że była mężatką. Ale też nieraz była świadkiem, jak bezwstydnie – i jednocześnie niewinnie – flirtował z wieloma kobietami. Jej milczenie musiało trwać zbyt długo.

– Obiecuję, że nie pożałujesz, O'Dell. Mam dużo ciekawych wiadomości. Nasz chłopak, Kolekcjoner, jest bardzo zajęty.

Chodziło o pracę. Oczywiście, że chodziło o pracę. Nie mogła się zdecydować, czy jej ulżyło, czy była zawiedziona. Czuła się wyżęta, złachana. Kontakt z matką zawsze ją wyczerpywał, nawet gdy to nie ona sprzątała wymiociny i dzwoniła na dziewięćset jedenaście.

– Już jadę.

Zostawiła Gregowi liścik.

Zatłoczone ulice i restauracje uświadomiły jej, że jest sobotni wieczór. Vinny's ją zaskoczyła. Knajpa była w starym włoskim stylu, ze stolikami nakrytymi kraciastymi obrusami i wiszącymi lampami od Tiffany'ego. Wyobrażała sobie, że Turner woli modne knajpy w rodzaju Ollie's, gdzie jedli poprzedniego wieczoru.

Siedział przy narożnym stoliku z tyłu sali. Pomachał do niej. Maggie z radością ujrzała też Delaneya. Była tam również Gwen. Okej, więc to spotkanie grupy do zadań specjalnych. Ucieszyła się i z radością pomyślała, że zaraz pozna nowe szczegóły, które nie dotyczą jej dzieciństwa ani matki. Czy to źle, że wolała spędzić sobotni wieczór z tymi ludźmi, zamiast z mężem i przemiłymi sąsiadami?

Idąc przez zatłoczoną restaurację, obejrzała się przez ramię, ciekawa, czy zobaczy też Cunninghama.

– Nasza imprezka rozkręciła się, odkąd rozmawialiśmy – powiedział do niej Turner, jakby był jej winien wyjaśnienie.

Delaney wstał i wysunął dla niej krzesło. Zwykle nie chciała być

traktowana inaczej niż koledzy, ale tego wieczoru po prostu mu podziękowała.

Turner nalał piwo z dzbanka do szklanki, którą postawił przed nią. Zanim przysunęła się do stolika, już się do niej pochylił.

- Spędziłem cały dzień w Richmond - oznajmił.

Z jakiegoś powodu to wyznanie sprawiło, że poczuła ucisk w dołku, i zdecydowała, że im nie zdradzi, że ona również spędziła tam popołudnie.

Turner rozejrzał się po sali i jeszcze bardziej zbliżył się do Maggie.

- Stan Wenhoff przekazał mi mnóstwo wiadomości. Po pierwsze mam nazwisko ofiary, do której należał palec.

Delaney przewrócił oczami i wyglądał na trochę zażenowanego.

- Daj spokój, Preston. Gdzie twoje maniery?

- Stwierdzam tylko fakty. Jakie to ma znaczenie, czy pogadamy o tym przed, czy po jedzeniu?

- Kim była denatka? - spytała Maggie.

- Paige Barnett, dwadzieścia siedem lat, singielka. - Wyjął notes z kieszeni kurtki wiszącej na oparciu krzesła. - Z Gainesville. Pracowała w firmie, która nazywa się The Runner's Shop. O ile się nie mylę, mieści się w centrum handlowym Gateway Mall. W poniedziałek nie pojawiła się w pracy.

- Poniedziałek? To znaczy w miniony poniedziałek? Stan mówił, że mogła spędzić w lesie jakiś tydzień. Kiedy ostatnio ktoś ją widział?

- Hej, mówię ci tylko, co stwierdzili dobrzy policjanci w hrabstwie Prince William. Nie miałem jeszcze okazji rozmawiać w tymi wszystkimi ludźmi.

- Czy w raporcie jest napisane, gdzie albo jak została porwana?

- Znaleźli jej samochód w Lesie Państwowym Conway

Robinson. Tam, gdzie zaczyna się szlak turystyczny, znajduje się niewielki parking.

- Gdzie to jest?

- Przy drodze numer dwadzieścia dziewięć, mniej więcej w środku Gainesville.

- Czyli jakąś godzinę drogi od Devil's Backbone.

- Jej siostra, Lydia Barnett, zgłosiła zaginięcie. Widziałem kopię zgłoszenia. Wspomniała, że Paige lubi biegać w lesie. Ale siostra mieszka w Fort Lauderdale i zgłosiła zaginięcie dopiero w ostatni weekend. Domyślałam się, że Paige Barnett była jak tysiące singli, którzy mieszkają sami - ciągnął Turner. - Kontaktują się z przyjaciółmi i rodziną, ale tylko co jakiś czas, więc może minąć parę dni, a nawet tydzień, zanim ktoś zda sobie sprawę, że samotny przyjaciel czy krewny nie olewa go, tylko naprawdę mógł zaginać.

Wiedziała, że to prawda. Gdyby ona i Greg nie zostawiali sobie liścików, jedno z nich mogłoby zniknąć na parę dni, a drugie nawet by sobie tego nie uświadomiło.

- Stan dopiero tego popołudnia potwierdził jej tożsamość - mówił Turner. - To nie wszystko. Nasz dobry kumpel Stan dostał kolejne ciało do identyfikacji. Właśnie je znaleziono w okolicy Richmond. Płytki grób gdzieś w lesie. Pamiętasz tę zaginioną radną?

- Z Bostonu?

- Taa, właśnie tę.

- To ją spotkał ten los? - spytała Maggie.

- Ale to jeszcze nie jest najbardziej zaskakująca część tej historii - odparł Turner.

Było jasne, że Delaney i Gwen już to słyszeli, ponieważ Turner mówił cicho i zwracał się wprost do Maggie, podczas gdy tamci

dwoje, wygodnie usadowieni, popijali piwo.

- Stan wykonał autopsję - kontynuował Turner. - I wiesz co?
- Znalazł w ciele strzałę? - spytała.
- Nie, nie miała strzały, za to czegoś jej brakowało. Morderca wyciął jej śledzionę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Fredericksburg, Wirginia

- Gdzie jest ten las? - dopytywała się Maggie.

Gdy podano pizzę, dosłownie odepchnęła Turnera łokciem i chwyciła kawałek. Umierała z głodu.

- Mówię ci, że znaleźliśmy ciało, z którego być może wyjęto śledzionę *à la mode*, a ty pytasz o wskazówki dojazdu? - Turner pokręcił głową.

- O czym myślisz, Maggie? - spytał Delaney.

- Ile godzin jedzie się z Richmond do Bostonu?

- Kiedyś jeździłam z Nowego Jorku do Waszyngtonu - wtrąciła Gwen. - To jakieś cztery godziny. Do Bostonu jedzie się jeszcze cztery godziny, może cztery i pół.

- A z Waszyngtonu do Richmond prawie dwie godziny - dodał Turner. - Czyli dziewięć czy dziesięć godzin. To długa podróż z ciałem w bagażniku.

- Co nam mówi, że nasz gość nie ma nic przeciw temu, żeby znaleźć sobie ofiarę w jednym miejscu i przenieść się z nią kompletnie gdzie indziej - podsumował Delaney.

- Z Bostonu do Richmond jedzie się międzystanową numer dziewięćdziesiąt pięć - powiedziała Maggie. - Dzisiaj rano wróciłam do przyczepy Tannerów. To tuż przy międzystanowej sześćdziesiąt sześć.

- Czyli lubi też trzymać się dróg międzystanowych. - Turner gestem przywołał kelnera. Udało mu się zwrócić na siebie uwagę

ponad zatłoczonymi stolikami. Wskazał dzbanek piwa i uniósł dwa palce, na co kelner kiwnął głową. - Chcesz powiedzieć, że Kolekcjoner mógł przypadkiem natknąć się na Tannerów, kiedy stała się ta masakra?

- Nie mam pewności, ale znalazłam ślady opon na gruntowej drodze, która biegnie równolegle do posesji. Znalazłam też ślady stóp prowadzące do miejsca, skąd doskonale widać przyczepę.

Turner gwizdnął, a potem spytał Delaneyę:

- Mówiłeś, że Lucille Tanner miała całkiem sporo do powiedzenia?

Delaney pociągnął za kołnierzyk. Dziewiąta wieczór w sobotę, a on wciąż pod krawatem.

- Gwen i ja rozmawialiśmy z nią po tym, jak pokazaliśmy Katie zdjęcia.

- Zidentyfikowała Steele'a? - spytała Maggie.

Delaney zerknął na Gwen.

- Wskazała na Steele'a, ale nie była pewna, czy pamięta go ze szpitala, czy z miejsca zbrodni. - Gwen przeczesła włosy palcami i westchnęła. - Być może nie przypomni sobie szczegółów tamtego dnia, a nam czekanie nic nie pomoże, zwłaszcza jeśli nie widziała Kolekcjonera.

- Lucille Tanner powiedziała, że jej synowa miała romans - oznajmił Delaney.

- No! Tego się nie spodziewałem - odparł Turner.

- Jej syn Louis był przekonany, że facet jest z policji - ciągnął Delaney. - Lucille stwierdziła, że Louis postawił Beth przed wyborem, a ona wybrała Louisa. Potem zaczął być nękanym przez tego glinę. Mandaty za przekroczenie prędkości. Mandaty za parkowanie. Kiedyś został zatrzymany za to, że nie miał tylnego czerwonego światła. Powiedziała, że wyglądało to tak, jakby ktoś

je stłukł kopniakiem.

- Ale nigdy nie zdradził matce nazwiska tego policjanta - dodała Gwen.

- To ma sens - rzekła Maggie. - Zważywszy na stan, w jakim znajdowało się ciało Louisa Tannera. A co z Danielem i Katie?

- Wypróbowywali nową łódź - powiedziała Gwen.

- Mogli być na łodzi, kiedy nadjechał Steele - zasugerował Delaney. - Kiedy wracali do przyczepy, Daniel musiał podejrzewać, że wydarzyło się coś złego. Katie mi powiedziała, że tata kazał jej ukryć się w piwnicy i siedzieć tam do czasu, gdy po nią przyjdzie.

Nikt nie powiedział tego, co było oczywiste. Daniel Tanner nigdy nie wrócił po córkę.

- Widzę to tak. Steele wychodzi z przyczepy - podjął Delaney. - Jest zaskoczony obecnością kogoś na zewnątrz. Daniel zaczyna uciekać. Steele może go zatrzymać tylko w jeden sposób: strzelając do niego.

- Myślę, że Kolekcjoner właśnie to mógł widzieć - stwierdziła Maggie.

Wszyscy zamilkli, gdy pojawił się kelner z dwoma dzbankami piwa i powiedział:

- Druga pizza powinna być za parę minut. Pójdę po nią. - Oddalił się.

- Nadal nie rozumiem, jak znalazł się tam Kolekcjoner - powiedział Turner, gdy już napełnił szklanki. - Tak. Wiem, że to tuż przy międzystanowej sześćdziesiąt sześć, ale zjazd prowadzi donikąd. Gdyby chciał się wysikać, wcześniej jest zjazd ze stacją benzynową i barem. Och, przepraszam, doktor Patterson.

Maggie miała ochotę się uśmiechnąć, zadowolona, że jej nie przeprosił.

Jeżeli zaginiona radna z Bostonu była jedną z ofiar Kolekcjonera, to znaczy, że teren jego działania jest o wiele większy. Ale jeśli chodzi o Tannerów, nie usłyszała nic nowego, czego by już nie podejrzewała. Spytała Turnera, czy nie będzie miał nic przeciw, jeśli porozmawia z pracodawcą Paige Barnett, a także z jej siostrą z Florydy. On miał zająć się samochodem Paige i obejrzyć jej mieszkanie.

Maggie wyszła z restauracji zadowolona, że dołączyła do kolegów. Pizza była wyśmienita, a skupienie się na sprawie, a nie na matce, było tym, czego bardzo potrzebowała.

Kiedy wdrapała się do łóżka, minęła północ. Myślała, że Greg mocno śpi. Leżał odwrócony do niej plecami.

- Przykro mi z powodu twojej mamy - powiedział zaspanym głosem, nie zmieniając pozycji.

Napisała mu na kartce o popołudniu spędzonym w Richmond.

- Mnie też.

- Wiesz, że to nie twoja wina - powiedział.

- Wiem.

Kiedy się odwróciła, żeby spojrzeć przez okno na ciemną noc, znów przypomniała sobie słowa matki: „Ciemność zaczyna mnie dusić”.

Niezależnie od swoich studiów, tytułów naukowych i doświadczenia, Maggie wciąż czuła się jak tamta dwunastoletnia dziewczynka, która nie potrafiła wypełnić sobą pustki powstałej w życiu matki. Nawet teraz nie miała pojęcia, jak jej pomóc. Tylko skąd miałyby to wiedzieć, jeśli nie nauczyła się, jak wypełnić swoją pustkę?

Jedno, czego się nauczyła, to budowanie murów, żeby nikt nie miał szansy jej opuścić, porzucić. Robiła wszystko, żeby nikt nie znaczył dla niej aż tak wiele, by ją zranić. Już nigdy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Niedziela

Przestała się łudzić, że zaśnie. W snach była znów z powrotem w Green Bay w stanie Wisconsin i pomagała matce pakować ich rzeczy. Tyle że nie była małą dziewczynką. Była dorosła, a dom w niczym nie przypominał domu, w którym wówczas mieszkały. Był mały i ciemny, a w środku cuchnęło. Otaczały ich pudła. Pakując rzeczy, nie rozmawiały ze sobą. A zamiast pudeł, matka raz za razem podawała jej pojemniki na jedzenie na wynos.

Wreszcie koło trzeciej w nocy wypełzła z łóżka i w ciemności, po cichu, żeby nie budzić Grega, wzięła strój do biegania. Do piątej nad ranem przebiegła interwałowo ponad trzy kilometry i wykonała mnóstwo ćwiczeń w świetle ulicznych latarni, z bronią schowaną pod szeroką bluzą. O wpół do siódmej, kiedy już wzięła prysznic i przebrała się w dzinsy i T-shirt, siedziała w samochodzie. Kabura z bronią była znów na miejscu, przylegała do jej ciała, tym razem ukryta pod wiatrówką FBI. Zostawiła Gregowi kolejny liścik, pisząc ogólnikowo, że większość dnia zapewne spędzi z matką. Tymczasem jechała w przeciwnym kierunku, do Quantico.

Strażnik w budce pokręcił głową. Pete przywykł do widoku Maggie w weekendy, i to wczesnym rankiem.

- Zaczyna pani niestety przypominać swojego szefa - stwierdził na powitanie.

- On tu jest?

- Był lepszy. - Zerknął na zegarek. - Wyprzedził panią o dwadzieścia dwie minuty.

Podawała mu gorącą kawę bez cukru i ze śmietanką oraz świeżego lukrowanego pączka. Jego pomarszczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu, i zamiast zwyczajnie podziękować, pokiwał głową i powiedział:

- Jest pani dla mnie za dobra.

Kiedy wysiadła z windy, pomyślała, żeby zajrzeć do gabinetu Cunninghama. A jednak ruszyła w przeciwną stronę do swojego pokoju. Chciała poszukać czegoś w internecie, między innymi w bazie danych ViCAP gromadzącej informacje o brutalnych zbrodniach. Kilka dni wcześniej na coś tam trafiła, ale uznała, że to nie pasuje, ponieważ zdarzyło się zbyt daleko. W Massachusetts, a nie w Wirginii. Obok toalet na postoju czy parkingu dla ciężarówek przy międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć ktoś zostawił brązową papierową torbę. Uznano to za głupi wybryk. Maggie upewniła się wówczas, że żadna organizacja dawców organów nie zgłosiła niewyjaśnionych braków ani kradzieży. Teraz chciała poznać szczegóły tej sprawy.

Wybrała plik zawierający dwa zdjęcia. Na brązowej papierowej torbie nie było żadnego logo ani innych oznaczeń, mogła więc pochodzić z każdego sklepu spożywczego. Wewnątrz znajdował się plastikowy woreczek z roztopiającym się lodem, a na nim drugi woreczek z jakąś krwawą masą, zidentyfikowaną później jako ludzkie płuco.

Ściągnęła informacje oraz zdjęcia.

Czy to była robota Kolekcjonera? Czy zamienił zwykłą brązową papierową torbę na pojemnik na jedzenie na wynos? Jakiś czas temu, kiedy pierwszy raz widziała te dane, odrzuciła tę ewentualność. Ale radna Brenda Carson i jej brakująca śledzona

sprawiły, że zmieniła zdanie.

Sprawdziła datę na raporcie. Brązowa papierowa torba została znaleziona trzy miesiące wcześniej. Jeśli to Kolekcjoner, w tamtym czasie mógł mieszkać w okolicy Bostonu. Seryjni mordercy często trzymają się blisko domu, znajdując komfort w znanym otoczeniu.

A jednak coś kazało mu się przenieść.

Co mogło go skłonić do opuszczenia miejsca, w którym już się zakorzenił, i porzucenia swojego terenu łowieckiego? Czy mógł to być ogólnokrajowy szum po zaginięciu radnej? Nagle znajome otoczenie znalazło się pod mikroskopem, rojąc się od śledczych.

Przeniósł się na południe, ale wciąż trzymał się międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć. Maggie zastanawiała się, ile jeszcze kobiet zginęło w okolicy Bostonu, gdzieś przy międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć. Znow wróciła do internetu. Tym razem szukała zaginionych osób, zawężając poszukiwanie do okolicy w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Bostonu. Tę listę też ściągnęła.

Potem zaczęła drukować kopie wszystkiego, co znalazła na temat Paige Barnett, kobiety, w której autopsji uczestniczyła w minionym tygodniu. Kobiety ze złamaną strzałą w nodze, która wedle Stana Wenhoffa została porzucona i zdana na własne siły w Devil's Backbone. Kolekcjoner odciął jej palec, trzymał go w lodzie, a potem włożył do pojemnika na jedzenie na wynos i zostawił w strategicznym miejscu, na masce radiowozu zastępcy Steele'a.

Poza zgłoszeniem zaginięcia przez siostrę Paige, Lydię Barnett z Fort Lauderdale w stanie Floryda, Maggie znalazła dużo więcej informacji. Skopiowała prawo jazdy Paige wydane przez stan Floryda, z tym samym adresem co adres Lydii. Więc Paige

przeprowadziła się niedawno. Miała dwadzieścia siedem lat. Była atrakcyjną ciemną szatynką z długimi włosami i zaraźliwym uśmiechem – uśmiechała się promiennie, pozując do zdjęcia dla Departamentu Pojazdów Mechanicznych. Podczas autopsji te jej cechy były niewidoczne. Maggie pamiętała posiniaczoną twarz, skołtunione i brudne włosy. Nawet siostra miałaby problem z identyfikacją.

Turner powiedział ostatniego wieczoru, że sprawdzi mieszkanie Paige, z czego wniosek, że udało mu się zdobyć jej najnowszy adres. Maggie poszukała lokalizacji The Runner's Shop w Gateway Mall, eleganckim centrum handlowym w Gainesville. Choć nigdy wcześniej tam nie zaglądała, oceniła, że to jakieś trzy kwadransy drogi, a potem dla pewności wyświetliła mapę.

No proszę, pomyślała. Gateway Mall znajdowało się przy międzystanowej numer sześćdziesiąt sześć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Gainesville, Wirginia

Rita słyszała, że w niedzielę w porze lunchu w restauracji panuje istne szaleństwo, ale pierwszy raz przypadła jej taka zmiana. Zwykle pracowała wieczorem. Też tłoczno, za to napiwki większe. Rita lubiła nazywać restaurację zorganizowanym chaosem. Teraz mogła dodać, że niedzielni goście, którzy przychodzą na lunch, są wymagający i marudni.

- Kompletnie nie tego się spodziewałam - oznajmiła starsza kobieta, kiedy Rita podała jej sałatkę z kurczaka.

Chciała jej powiedzieć, że sałatka wygląda identycznie jak na zdjęciu w menu, ale zamiast tego spytała:

- Może podać coś jeszcze? Chciałaby pani raz jeszcze spojrzeć na menu?

Niedziela oznaczała też rodziny z dziećmi. Kapryśnymi, hałaśliwymi, zakłócającymi spokój i grymaśnymi dziećmi. Jedno z nich już wylało pełną szklanekę wody sodowej, a J.P. Morgan nie wyglądał na szczęśliwego, że musi to sprzątnąć. Rita prosiła, by przydzielono jej stoliki na patio, które były mniejsze i mieściły się przy nich tylko dwie lub trzy osoby, co eliminowało konieczność kontaktu z małymi potworami. Ale jej klienci i tak byli uparci i marudni.

Pewien dżentelmen dał jej znak, że potrzebuje widelca do sałatki. Miał już widelec, obiadowy widelec, ale koniecznie chciał mieć dodatkowy do sałatki. No i ta dobrze ubrana para przy

stoliku w odległym końcu patio. Prosilili o ten stół, bo zależało im na prywatności. Choć jeszcze nie złożyli zamówienia, jedli już drugi koszyk pieczywa. Rita starała się ignorować ich prośby o trzeci.

Tęskniła za paroma wolnymi minutami, by zaspokoić swoje uzależnienie od wiadomości. W drodze do kuchni i z powrotem zerkała na napisy przesuwające się na dole ekranu telewizora. Wcześniej tego ranka dowiedziała się, że dziewczynka – jedyna, która przeżyła brutalny mord w hrabstwie Warren – została przeniesiona ze szpitala w jakieś inne miejsce o „nieujawnionej lokalizacji”.

Nieujawniona lokalizacja. To zabrzmiało złowieszczo.

Rita zastanawiała się, co to może znaczyć. Czy uważali, że dziewczynce wciąż zagraża człowiek, który zamordował jej rodzinę?

Jednak najważniejszą wiadomością tego ranka było ciało znalezione w płytkim grobie na obrzeżach Richmond. Zidentyfikowano je jako radną z Bostonu, Brendę Carson. Jej zdjęcie pojawiało się wcześniej we wszystkich wiadomościach, ponieważ była uznana za zaginioną. Miała zaledwie trzydzieści cztery lata, tylko dwa lata mniej niż Rita. Skończyła życie z dala od domu, i według Rity to była najsmutniejsza część tej historii. Ale cała ta sprawa była intrygująca.

Może to i dobrze, że Rita pracowała w porze lunchu, inaczej całą niedzielę przesiedziałyby przyklejona do ekranu telewizora.

Największy żal z powodu przedpołudniowej zmiany wywoływała w niej świadomość, że tego wieczoru nie będzie pracowała z Drew. Jej córka, Carly, miała swój pierwszy wernisaż. Prawdę mówiąc, nie był to w pełnym tego słowa znaczeniu wernisaż Carly. Cztery z jej rzeźb zostały wystawiane razem z pracami

pięciu innych artystów. Ale wszyscy pozostali to osoby dorosłe, Carly była jedyną nastolatką. Oczywiście córka złościła się, kiedy Rita robiła z tego powodu dużo szumu. A Rita, co łatwo zrozumieć, po prostu była strasznie dumna i oczywiście nie straciłaby tego wydarzenia dla wszystkich Drew Nilsenów na świecie.

Mimo to wciąż zastanawiała się, czy nie wspomnieć o tym Drew, czy nie zaprosić go do galerii. To było ledwie przecznicę dalej, po drugiej stronie dziedzińca Gateway Mall. Będzie wino i przekąski. Wernisaż zaczynał się przed rozpoczęciem jego zmiany, więc może udałoby mu się wpaść choć na chwilę. Od wielu dni zamierzała go zaprosić i nauczyła się już na pamięć, co mu powie. Chciała mieć pewność, że słowa, które wybierze, zabrzmiały zwyczajnie i niezobowiązująco:

- Nic wielkiego. Wpadnij, jeśli chcesz.

Słyszała je w swojej głowie.

Wspomni też, że jedzenie przygotowuje podobno Luigi, szef kuchni z Aperto's. W końcu Drew chodził do szkoły gastronomicznej i na pewno chętnie spróbuje specjałów innego szefa kuchni, prawda? Jej córka Carly uwielbiała chodzić na inne wystawy, oglądać prace innych artystów. W przypadku Drew zapewne jest podobnie.

A jednak poprzedniego wieczoru Rita stchórzyła. Pomyślała, że ma jeszcze jedną szansę. Wiedziała, że w niektóre niedziele Drew wpadał do restauracji wcześniej, żeby wziąć czek. Zatem pomiędzy stłoczonymi klientami, którzy ją wzywali głosem i gestami, wypatrywała Drew.

I właśnie w tym momencie usłyszała gdzieś obok dźwięk tłuczonego szkła. Podobnie jak wszyscy na patio.

W kącie przy drzwiach jeden z pomocników kelnera postawił

chwiejący się stos brudnych naczyń na stoliku i zaczął go sprzątać, a jedna ze szklanek zsunęła się i spadła na ceglana podłogę. Oczywiście pomocnik kelnera zniknął. Wszyscy przenosili wzrok z rozbitego szkła na Ritę i z powrotem.

- W porządku - powiedziała, niosąc tace w obu rękach. - Zaraz posprzątam.

Po raz pierwszy w życiu Rita poczuła ulgę i ucieszyła się na widok J.P. Morgana z jego szczotką, śmietniczką i ręcznym odkurzaczem. Posłała mu uśmiech, a kiedy ich oczy się spotkały, natychmiast pomyślała: „Jeszcze kiedyś pożałuję tego uśmiechu”.

Zaniosła klientom talerze i ruszyła między stolikami z powrotem do kuchni. Wtedy właśnie zauważyła, że po zjedzeniu dwóch koszyków pieczywa młoda para zniknęła. Zdawało się jednak, że pod szklanką wody zostawili jej napiwek.

A jednak na stoliku obok pustego koszyka na pieczywo znajdowało się całkiem coś innego. Był to biały styropianowy pojemnik na jedzenie na wynos.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Gainesville, Wirginia

Była tak zamyślona, że omal nie minęła wejścia do Lasu Państwowego Conway Robinson. Przed wyjazdem z Quantico zadzwoniła do szpitalnego pokoju matki i ledwie rozpoznała radosny głos, który odezwał się w telefonie. Matka „miała się świetnie”, ale podziękowała Maggie, że pyta o jej samopoczucie, jakby to była zwyczajna grzecznościowa rozmowa. Potem powiedziała, żeby zadzwoniła później, ponieważ właśnie przynieśli jej „wspaniały lunch”. Brzmiało to tak, jakby córka zakłóciła jej pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu. Słyszając, że matka znów doszła do siebie, Maggie nie poczuła ulgi.

Jechała półkolistym podjazdem na skraju parku. Był to wąski pas spękanego asfaltu po obu stronach otoczony wysokimi sosnami i drzewami liściastymi. Parking na końcu półokręgu mógł zmieścić jakieś dziesięć samochodów. Małe drewniane tabliczki zaznaczały początek szlaków.

Zaparkowała w pewnej odległości od stojących tam dwu samochodów. Kiedy wysiadła z auta, ze zdziwieniem stwierdziła, że szum z dość ruchliwej drogi numer dwadzieścia dziewięć, którą właśnie opuściła, był ledwie słyszalny. Poza dwoma samochodami było tu pusto. Stawała po kolei na początku wszystkich szlaków, by się przekonać, jak daleko sięgnie wzrokiem. Ale szlaki były kręte, nie dostrzegła żadnej prostej drogi.

Czy zabójca czekał, aż Paige wróci z joggingu? Czy zaatakował, zanim wyruszyła? Kolekcjoner nie mógłby jej zaskoczyć na jednym ze szlaków. Zbyt trudno byłoby przytargać nieprzytomną kobietę z powrotem na parking. Z pewnością też nie ryzykował, by ktoś mógł go zobaczyć.

Pamiętała pomarańczowe odblaskowe buty do biegania Paige. Pewnie kupiła je, ponieważ w lesie wyróżniały się nienaturalnym kolorem. Wiele lasów w Wirginii było otwartych dla myśliwych, a jaskrawy błysk mógł ochronić biegacza przed uznaniem go za uciekającego jelenia. O ironio, to dzięki pomarańczowym butom Paige była łatwym celem dla Kolekcjonera.

Zabrał ją z tego miejsca. Ale czy była przypadkową ofiarą? Czy po prostu zaparkował tu i czekał? Coś jej mówiło, że w działaniu Kolekcjonera nie ma nic przypadkowego.

Wyjęła z kieszeni plastikowy woreczek na dowody i wrzuciła do niego garść kamyczków ze ścieżki między parkingiem a szlakami. Potem odjechała.

Po drodze do Gateway Mall zanotowała, ile kilometrów dzieli centrum od lasu. Tym razem zabrało jej chwilę, nim znalazła wolne miejsce postojowe, ale w końcu udało jej się zdobyć miejsce na skaju parkingu.

The Runner's Shop, gdzie pracowała Paige, znajdował się parę przecznic w innym kierunku, ale Maggie chciała trochę pochodzić i poznać to miejsce. W przeciwieństwie do lasu, alejki były pełne kupujących. Tłumy ludzi wylewały się na patia, żeby zjeść lunch.

Centrum handlowe robiło wrażenie małego miasteczka. Fronty budynku były ceglane z dużą liczbą oszklonych witryn, żeby przechodnie mogli zajrzeć do środka. Były też brukowane chodniki. Z latarni zwieszały się barwne banery. Dziedziniec dekorowały rośliny w donicach i unosząca się w powietrzu rzeźba

w kształcie kuli. Okna wystawowe reklamowały oferty specjalne. Maggie czuła wspaniałe zapachy płynące z restauracyjnych grilli.

Minęła piekarnię, wciągając woń świeżo pieczonego chleba. Przeszła niemal pół przecznicy dalej, zanim zawróciła. Na wystawie The Dessert Shop widniał neon z logo sklepu. Radosne litery otaczały lukrowanego pączka obsypanego pastelową posypką. Gdzieś ostatnio widziała to logo, ale gdzie?

Nagle przestraszył ją krzyk kobiety, który zatrzymał w pół kroku wszystkich kupujących. Drugi krzyk kazał wszystkim uciekać w przeciwną stronę.

Maggie pobiegła w kierunku, skąd dobiegł krzyk.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

- FBI! Proszę tego nie dotykać! - krzyknęła do kelnerki stojącej nad styropianowym pojemnikiem. W wyciągniętej ręce uniosła odznakę, drugą rękę trzymała pod kurtką na rękojeści rewolweru. Dojrzała jednak, że ktoś już uniósł pokrywę.

Kobieta w szmaragdowym fartuszkowi cofnęła się. Maggie widziała, że to nie ona krzyczała. To młoda kobieta, która siedziała obok, na tyle blisko, by zobaczyć krwawą masę w pojemniku. Teraz ją cucono.

- Naprawdę jest pani z FBI? - spytał starszy mężczyzna siedzący przy pobliskim stoliku. - Kręcicie film czy co?

Maggie przeczytała imię kelnerki na identyfikatorze, a potem spojrzała jej w oczy.

- Rito, może pani dopilnować, żeby nikt tego nie dotykał?

Gdy kelnerka skinęła głową, pośpieszyła z powrotem na zewnątrz, a potem skręciła za pierwszy róg, skąd widziała najbliższy parking. Ludzie wciąż oddalali się w panice. Potem zawróciła. Dokładnie przyglądała się twarzom, także tym na ulicy i w sklepach, osobom wyglądającym na zewnątrz i stojącym w drzwiach.

On tu jest. Musi tu być. On lubi patrzeć.

Czy zdziwił się na jej widok? Nie mógł przecież zgadnąć, że Maggie tu się zjawi.

Szukała przeciętnego mężczyzny. Takiego, który się nie wyróżnia, który ginie w tłumie, w żadnym razie nie sprawia wrażenia, że jest tu nie na miejscu. Mógł się ubierać w taki

sposób, żeby wszyscy go mijali, nie zwracając na niego uwagi.

Przystanęła i raz jeszcze spojrzała na starszego mężczyznę z laską, który szedł dosyć szybko, ale potem dołączyła do niego młoda dziewczyna i wzięła go za rękę.

Gdzie jesteś?

Kiedy wróciła na patio, umundurowany policjant sprzeczał się z kelnerką o imieniu Rita.

- Kto, do diabła, pani tak powiedział? - dopytywał się stanowczym tonem.

- Ja - odparła Maggie, pragnąc, by jej tętno zwolniło.

Wyciągnęła odznakę i pokazała ją policjantowi, jednocześnie lustrując gości i personel restauracji. Większość gości wyszła albo przeniosła się na dziedziniec przed lokalem. Niektórzy zostali, żeby zobaczyć, co się dzieje. Starszy mężczyzna, który pytał Maggie, czy kręcą jakiś film, uśmiechnął się do niej, kiedy ich oczy się spotkały. Zupełnie jakby znał jej tajemnicę.

- Co, do diabła, FBI ma z tym wspólnego?

Zerknęła na jego identyfikator z nazwiskiem, po czym odparła:

- Maggie O'Dell, jestem agentką specjalną FBI. Przypadkiem znalazłam się w tej okolicy. - Sądząc z tego, jak na nią spojrzał, nie byłaby zaskoczona, gdyby on także spytał, czy należy do ekipy filmowej. - Proszę, żeby pan zabezpieczył ten teren jak miejsce zbrodni - dodała, wyciągając telefon komórkowy. - Musi pan wezwać posiłki. Chcemy porozmawiać z ludźmi, zanim stąd wyjdą.

- Co? Nie może pani...

- Owszem, mogę. - Zgromiła go wzrokiem, aż się poddał i sięgnął po radio przypięte na ramieniu, a Maggie odwróciła się i spytała: - Rito, mogę panią o coś spytać?

- Oczywiście.

- To był dziś pani rewir? - Wskazała patio.

- Tak, mój, jasne.

- To pani otworzyła pojemnik?

Kelnerka odwróciła się zażenowana, a potem skinęła głową ze słowami:

- Myślałam, że zapomniał go ktoś z gości, chociaż wiem, że nie pakowałam niczego na wynos.

- W porządku - zapewniła ją Maggie. - Będziemy musieli wziąć od pani odciski palców, żeby panią wykluczyć, sprawdzając odciski, które mogą być na pojemniku.

- Okej.

- Muszę zadzwonić, a potem chciałabym z panią porozmawiać.

Promenadą śpieszyli kolejni dwaj policjanci. Wcześniej ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, ale teraz wokół restauracji zaczął się gromadzić tłum.

Ganza odebrał po trzecim sygnale.

- Mówi Maggie - powiedziała. - Mam kolejny styropianowy pojemnik do zabrania. - Podała adres i wskazówki, jak dojechać.

Milczał tak długo, że obawiała się, iż straciła sygnał.

- Uważaj na siebie, Maggie. On może wciąż tam być.

Słyszając, jak Ganza, czyli Pan Luzak mówi jej, żeby na siebie uważała, zdenerwowała się. Zaczęła wokół rzucać wzrokiem, patrząc na twarze w tłumie. I wtedy na narożniku budynku dostrzegła kamerę skierowaną dokładnie na patio restauracji. Jej tętno znów przyspieszyło.

Nie patrz na nią, powiedziała sobie. Udawaj, że jej nie widziałas.

Nie chciała, by Kolekcjoner zorientował się, że zauważyła kamerę. A jednocześnie miała ochotę krzyknąć:

- Mam cię!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Z bliska była ładniejsza, niż Stucky się spodziewał. Stał jakieś sześć metrów od niej. Wcześniej, gdy po raz pierwszy wpadła do restauracji i na patio, dosłownie się o niego otarła. Była tak blisko, że poczuł jej zapach. Coś cytrusowego w połączeniu z kokosem. W przebłysku ujrzał jej oczy. Miały odcień karmelu.

Tak się skupił na pojemniku, na reakcjach, jakie wywoła, że nie od razu dostrzegł kobietę przepychającą się przez tłum. Oczywiście poznał agentkę Maggie, zanim wyciągnęła odznakę. Od tamtej chwili z wielkim trudem powściągał podniecenie.

Kiedy w poszukiwaniu sprawcy wybiegła z restauracji, musiał bardzo się pilnować, by za nią nie zawołać:

- Tu jestem!

Umundurowany policjant kazał im wszystkim się odsunąć. Dołączyło do niego jeszcze dwóch kolegów. Stucky chciał zobaczyć, jak Maggie będzie przypatrywać się jego dziełu, ale jak dotąd ledwie na nie zerknęła, jakby świetnie wiedziała, czego się spodziewać. A przecież to było co innego. Chciał jej coś przekazać. Gdyby tylko przeczytała jego list, wiedziałyby, jak bardzo różni się to od jego dotychczasowych prac. Bardzo chciał zobaczyć jej minę, kiedy się dowie, że to właśnie dla niej dokonał tego ostatniego morderstwa.

Podobał mu się sposób, w jaki się poruszała i w jaki działała. Błyskawicznie zapanowała nad sytuacją, nawet policjanci słuchali jej poleceń. W jej słowach i gestach były pewność siebie i autorytet. Aż trudno uwierzyć, że to ta sama kobieta, która

przed niespełna tygodniem na czworakach wymiotowała lunch, a on to obserwował.

Stucky był przekonany, że miał swój udział w tej przemianie. Ale czekał na podziękowanie. Stopniowo stawała się godnym przeciwnikiem. Jeszcze kilka polowań i będzie gotowa.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Ganza przyjechał z Turnerem. Maggie zobaczyła ich, jak przepychali się przez zatłoczoną promenadę. Nie mogła się pozbyć myśli, że wyglądali jak starzejąca się gwiazda rocka ze swoim ochroniarzem. Tego dnia Ganza miał wolne, więc nie był jak zwykle w laboratoryjnym fartuchu, tylko ubrał się w ukochane czarne dżinsy i czarny T-shirt z białą czaszką na piersi. Agent Turner torował mu drogę, co tym bardziej sprawiało wrażenie, że robi przejście dla jakiegoś celebryty.

Ganza postawił torbę na krześle przy stoliku z pojemnikiem i bez słowa zabrał się do pracy.

- Dziewczyno, ty to masz szczęście do makabry - skomentował Turner, patrząc na Maggie.

Odwróciła się plecami do ludzi i szepnęła:

- Myślę, że tym razem go mamy.

- O czym ty mówisz?

- Nie patrz tam i zachowuj się normalnie - wciąż mówiła cicho.

- Na rogu budynku jest zainstalowana kamera, tuż za tobą. Właściciel restauracji sprawdza nagranie.

- Wiesz, że te kamery są zwykle beznadziejne.

- Jest skierowana w dół, niemal dokładnie na ten stolik.

- Kolekcjoner nie jest taki głupi. Musiał wiedzieć o tej kamerze.

- Może nie. Chodźmy. - Pociągnęła go za łokieć. - Powinien już wszystko przygotować. Ma monitor w biurze.

Poprowadziła Turnera między stolikami. Tłum wewnątrz restauracji zrobił im przejście. Turner szedł za nią przez kuchnię

i dalej korytarzem. Maggie zapukała do drzwi biura, ale nie czekała na odpowiedź. Henry Gibson wyglądał raczej jak prawnik z firmy Grega niż właściciel baru i restauracji. Krótko ostrzyżone włosy siwiały mu na skroniach. Był przystojny, wysoki i szczupły, nosił koszulkę polo i chinosy.

- Już to dla pani mam, agentko O'Dell - oznajmił, wstając zza biurka. Był uprzejmy i niemal zbyt chętny do współpracy.

- Pan Gibson, agent Turner - przedstawiła.

Gibson obszedł biurko, żeby uścisnąć dłoń Turnera. Potem znów wskazał monitor.

- Działa bardzo prosto. Przyciski są na dole. Play, cofnij i zatrzymaj. Przepraszam, ale nie można zrobić zbliżenia. Nie ma też dźwięku, ale ustawiłem początek pięć minut przed tym, zanim ta biedna kobieta zaczęła krzyczeć. Widać ją w górnej lewej części ekranu. Zobaczycie ją państwo, jak zasłania usta. Niestety kamera pokazała tylko róg stolika.

- To pana jedyna kamera?

- Tak. Kazałem ją zainstalować, ponieważ mieliśmy na patio paru klientów, którzy wyszli, nie płacąc rachunku.

- Przecież wokół patio jest ogrodzenie z kutego żelaza.

- Zrobiłem je w tym samym czasie, kiedy instalowałem kamerę. Czy mogę państwu zaproponować coś do picia? Może coś do jedzenia?

Maggie zobaczyła, że twarz Turnera pojaśniała, i miała ochotę przewrócić oczami.

- Nie, dziękuję. - Usiadła na krześle Gibsona i nacisnęła „play”.

- Tylko pod warunkiem, że to dla pana nie kłopot - odparł Turner.

- Personel będzie miał zajęcie. Jakiego burgera pan sobie życzy?

- Wszystko jedno, cokolwiek pan przyniesie, będzie świetnie.

Dziękuję.

Gdy tylko drzwi biura się zamknęły, Maggie powiedziała:

- Naprawdę jesteś głodny?

- Nie jadłem lunchu. - Obszedł biurko i przyklęknął obok niej. Zwalistą posturą wypełnił niewielką przestrzeń. Nawet gdy klęknął, jego oczy znajdowały się na poziomie jej oczu. - Co to jest? - spytał, wciągając powietrze. - Kokos?

- Słucham?

- Szampon?

Tym razem przewróciła oczami.

- Co? Mężczyzna nie może komplementować kobiety, która ładnie pachnie? - Odwrócił się do ekranu monitora i stwierdził: - Nagrania z tych kamer są zwykle strasznie ziarniste, ale to ma nie najgorszą jakość.

Maggie wcisnęła szybkie przewijanie, aż zobaczyła kobietę, która unosi ręce i zasłania nimi usta. Zatrzymała obraz i nacisnęła „cofnij”. Potem wcisnęła znów „play”. Narożnik stolika był pusty. Choć widziała, że po jego drugiej stronie znajdowały się rozmaite rzeczy - talerze, brzeg szklanki i coś, co, jak wiedziała, było dnem koszyka. Wcześniej starała się zapamiętać, co znajdowało się na stoliku i odległość tych rzeczy od pojemnika na jedzenie na wynos.

Pomyślała, że za bardzo przewinęła taśmę, kiedy zobaczyła nagłe poruszenie, klienci wstawali i przechodzili między kamerą a stolikiem. Kiedy zeszli z obrazu, na stoliku pojawił się styropianowy pojemnik.

- Jest - wskazał Turner, a Maggie zatrzymała taśmę. - To się dzieje strasznie szybko. Całkiem jakby dokładnie wiedział, gdzie znajduje się kamera.

Raz jeszcze nacisnęła „cofnij”, a potem „play”. Gdy na ekranie pojawił się pierwszy człowiek, nacisnęła „stop”. Znalazła przycisk, który mógł im to pokazać klatka po klatce, czyli nieznośnie powoli. Pojawiło się mnóstwo rąk i łokci, jakaś duża torebka. Potem w wąskiej przestrzeni, małym trójkącie między ludźmi, Maggie dojrzała pojemnik. Nacisnęła „stop”.

- Szkoda, że nie da się zrobić powiększenia - powiedziała.

Turner nachylił się tak blisko, że naciskał jej rękę, którą kontrolowała przyciski.

- Widzę jego palce. - Wskazał ekran. - Trzyma pojemnik kciukiem i palcem wskazującym. O tu.

- Mamy jego odciski palców. - Maggie starała się zbyt nie ekscytować. Odciski palców na pojemniku nic im nie dadzą, jeżeli Kolekcjonerowi nigdy nie pobierano odcisków palców.

- Ale widać tylko jego palce, nic więcej nie zobaczymy - oznajmił Turner, jakby już skończyli.

Maggie chciała sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Puściła znów nagranie, klatka po klatce. Zniknął trójkąt wolnej przestrzeni i już nie widzieli pojemnika, za to coś innego zajęło jego miejsce. Dojrzała w przebłysku strój mężczyzny, i chociaż widziała ledwie maleńki fragment, na ciemnym materiale rozpoznała logo restauracji.

- On miał na sobie fartuch.

- Co takiego?

- Personel nosi fartuchy z logo restauracji - odparła, palcem wskazując na ekranie. - Szmaragdowe fartuchy z wydrukowanym białym logo. Fartuchy, które na czarno-białym zdjęciu właśnie tak wyglądają.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Quantico

Zastępca dyrektora Cunningham stał przy oknie bufetu, patrząc na las. Bufet był pusty. W niedzielę kuchnia nie pracowała, ale on nie mógł już znieść ani minuty dłużej na dole w Wydziale Badań Behawioralnych, sześć pięter pod poziomem ziemi.

Nigdy nikomu nie zdradził, jak bardzo nie znosił gabinetu bez okna. Jak bardzo pragnął – nie, jak bardzo potrzebował – widzieć świat na zewnątrz. Nie przeszkadzało mu niebo zaciągnięte szarymi chmurami. Jego agenci, a nawet asystentka Anita, wszyscy przywykli do tego, że jada lunch w gabinecie po codziennym joggingu. Sądziło, że biega dla zdrowia, ale prawdę mówiąc, bardziej chodziło o zdrowie psychiczne. Jak mógłby współdziałać z agentami i służyć im pomocą, gdyby nie był w stanie kontrolować własnych dziwactw?

Cunningham martwił się, że być może naraził agentkę O'Dell na niebezpieczeństwo, nie odsuwając jej od sprawy, gdy tylko Kolekcjoner ją wyróżnił, i to w taki sposób.

Keith Ganza powiedział mu, że agentka O'Dell znalazła coś, co jej zdaniem było kolejnym styropianowym pojemnikiem podrzuconym przez tego szaleńca. Wybrała się do centrum handlowego, gdzie pracowała Paige Barnett, i usłyszała krzyk dochodzący z patio jednej z tamtejszych restauracji.

Pojawienie się pojemnika w tym samym miejscu, gdzie pracowała jedna z ofiar, znaczyło, że O'Dell natknęła się

przypadkiem na teren działania Kolekcjonera. Ale Cunningham był zły, że to O'Dell dokonała tego odkrycia. Nie mógł uciec od pytania, czy Kolekcjoner tego nie zaplanował. I tak go to zdenerwowało, że chodził po barze w tę i z powrotem, a potem krążył korytarzami.

Zastanawiał się, czy nie przebrać się w strój do biegania i nie ruszyć na szlak, żeby spalić choć trochę rozsadzającej go złości, ale musiał pozostać w kontakcie z Ganzą, a w lesie nie wszędzie był zasięg.

Wcześniej w gabinecie zrobił sobie dzbanek kawy, a teraz jednym haustem z kubka termicznego łąpczywie wypił jej mętną resztkę razem z fusami. Mdliło go już od zbyt dużej ilości kofeiny na prawie pusty żołądek. Rozglądał się, co jest do wyboru w automatach sprzedających słodczy i przekąski, kiedy zadzwonił telefon.

- Cunningham, słucham?

- To zdecydowanie sprawka naszego chłopaka - oznajmił Ganza.

Cunningham poczuł ucisk w żołądku.

- Co podrzucił tym razem?

- Wygląda na nerkę.

- I list? - dopytał Cunningham, zaciskając zęby.

- Taa. Był tak miły, że schował go do foliowego woreczka, żeby nie zamókł.

- Nie zamókł? Co ma pan na myśli?

- To kawał krwawego mięcha - odparł Ganza, zniżając głos.

Cunningham odgadł, że Ganza wciąż był na miejscu i nie chciał, by go słyszano.

- Czy O'Dell jest z panem? Widziała to?

- Jest z Turnerem, przeglądają materiał z kamery, żeby

sprawdzić, czy nie nagrała drania.

- Może mi pan to przeczytać?

- Jasne, moment.

Cunningham słyszał, jak Ganza odkłada telefon, a potem szeleści papierem. Po chwili się odezwał tak samo cicho, niemal szeptem:

- Droga agentko Maggie. Mam nadzieję, że docenisz finezję i świeżość.

Cunningham się skrzywił. Kolekcjoner znał jej imię.

Rozmowa Maggie z dziennikarzami przed szpitalem znalazła się w wiadomościach wszystkich stacji kablowych. Nie posiadali żadnych informacji, więc w kółko powtarzali ten durny fragment. Ale było jeszcze coś gorszego. Poprzednie pojemniki zawierały części ciała należące do wcześniejszych ofiar Kolekcjonera, ofiar sprzed kilku dni, a może nawet tygodni. Palec Paige Barnett przechowywał przecież w lodzie. Jeśli ten list znaczył to, co Cunningham podejrzewał, Kolekcjoner dokonał kolejnego morderstwa specjalnie dla agentki O'Dell.

- Nawet zna słowo „finezja” i poprawnie napisał „świeżość” - dodał Ganza. - I muszę powiedzieć, chociaż wygląda to jak kawał krwawego mięsa, że wykonał precyzyjne cięcie. Stan jest ekspertem, więc nie chcę się wymądrzać, ale domyślam się, że użył skalpela, i jest w tym naprawdę cholernie dobry.

- Jak szybko może pan dostarczyć pojemnik Stanowi?

- Właśnie się pakuję. Turner i Maggie chcą porozmawiać z właścicielem i personelem restauracji, jak skończą oglądać wideo.

- Jest jakaś szansa, że tym razem zdobędziemy odciski palców?

- Przy poprzednich dwóch pojemnikach był wyjątkowo ostrożny.

A ten otworzyła kelnerka.

- Żartuje pan? - spytał Cunningham.

- Maggie już wzięła od niej odciski palców, więc możemy je zignorować. Mogła przy okazji zamazać inne odciski palców, ale będę to wiedział jeszcze dzisiaj.

Ledwie zakończyli rozmowę, kiedy telefon Cunninghama znów zaczął dzwonić. Myślał, że Ganza ma jeszcze jakiś problem, o którym zapomniał.

- Cunningham, słucham?

- Dyrektor Kyle Cunningham?

Nie rozpoznał tego barytonu.

- Tak, zgadza się.

- Nazywam się Fred Olson. Szeryf Olson. Dzwonię z hrabstwa Shenandoah. Wiem, że Stan Wenhoff pracuje z wami przy sprawie tej kobiety, którą znaleźliśmy w Devil's Backbone.

- Tak, zgadza się.

- No więc mamy następną.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Gateway Mall

Przyglądała się Turnerowi, który wykorzystując swój czar i urok, rozmawiał z personelem restauracji Gibsona. Zwykle to Delaney występował w roli negocjatora i przyjaznego agenta-rozmówcy, ale Turner świetnie sobie radził. Wyciągnął od pracowników restauracji detale i informacje, które sami najpewniej uznaliby za nieistotne.

Maggie zamierzała porozmawiać z kelnerką Ritą, która czekała na nią przy stoliku w rogu patio. Policjantom udało się pozbyć tłumu gapiów i otoczyć teren żółtą taśmą. Na miejscu pozostał tylko Keith Ganza, ale wyglądało na to, że szykował się do odjazdu. Dała znak Ricie, że zaraz do niej podejdzie, i zatrzymała się na moment obok Ganzy, żeby zamienić kilka słów.

- Obejrzeliśmy z Turnerem materiał z kamery. Widzieliśmy, jak ten człowiek dotykał rogu pudełka - oznajmiła. - Wyglądało na to, że to lewy przedni róg.

- Okej. - Ganza skinął głową, a jego koński ogon się zakołysał. Okulary miał zsunięte na czubek nosa, więc przesunął je wyżej i dalej się pakował.

Maggie zauważyła, że na nią nie patrzył. A nawet chyba starał się unikać jej wzroku. Potem nagle coś sobie uświadomiła, a wtedy nogi trochę jej zmiękły. Powiedziała do Ganzy:

- Zostawił kolejny list.

- No. - W końcu podniósł wzrok, wpychając torebki z dowodami

do worka marynarskiego. - Nie daj się temu draniowi, Maggie. On potrzebuje uwagi. Nie pozwól, żeby pomyślał, że jest dla ciebie ważny. Jeżeli znajdziemy odciski palców, być może do końca dnia dowiemy się, kim on jest.

Chciała poprosić Ganzę o pokazanie listu, ale już go spakował. I słusznie. Akurat w tej chwili nie powinna nabijać sobie głowy Kolekcjonerem, tą całą chorą grą. Ma inne zadanie. Musi się dowiedzieć, kto to, do diabła, jest. Poza tym Rita na nią czekała.

Maggie oceniła, że Rita Burke jest tuż po trzydziestce. Atrakcyjna, z krótkimi brązowymi włosami, ciemnymi oczami i przyjazną twarzą.

- To wyglądało jak kawał krwawego surowego mięsa - powiedziała. - Czy to jest mięso?

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie otrzymamy wyników badań z laboratorium kryminalistycznego i nie przeprowadzimy różnych testów. - Maggie nie chciała się z nią dzielić podejrzeniem, że to ludzka nerka.

- Zaraz, zaraz... - Rita przyjrzała się jej uważnie. - Cały czas mnie męczyło, gdzie panią widziałam, ale już wiem. Była pani w wiadomościach. - Gdy Maggie powstrzymała grymas niezadowolenia, Rita dodała: - Zajmuje się pani sprawą tej dziewczynki, której rodzina została zamordowana. Czy to ma związek z tą sprawą?

- Nie wiem.

- Jasne, rozumiem. Jak się domyślam, nie wolno pani o tym mówić.

- Czy w porze lunchu była pani jedyną kelnerką obsługującą stoliki na patio? - Maggie nie chciała zbaczać z tematu.

- Tak.

- Więc nie było tam żadnych innych pracowników restauracji? -

Uzgodnili z Turnerem, w jaki sposób będą zadawać pytania. Chodziło o to, by w miarę możliwości personel nie zorientował się, że podejrzewają jednego z nich.

- W niedziele w porze lunchu jest tłoczno. Mamy pomocników kelnera.

- Pomocników?

- Kogoś, kto zanieśnie jedzenie z kuchni do stolika, kiedy ja jestem spóźniona. Pan Gibson nie lubi, gdy gorący talerz czeka na kuchennej taśmie.

- Więc na patio nie była pani jedynym pracownikiem?

- Nie. - Rita rozejrzała się z zakłopotaną miną. - Na pewno coś pani widziała na tych nagraniach z kamery i myśli pani, że to jeden z nas zostawił ten pojemnik?

Ładna i inteligentna. Maggie zrozumiała, że nie zajdzie z Ritą za daleko, jeśli nie będzie z nią szczerą. A przecież któryś z członków personelu musiał widzieć Kolekcjonera.

- Prawdę mówiąc, na materiale z kamery trudno coś zobaczyć. Kamera niewiele nagrała. - Uznała, że tyle może zdradzić. - Zdawało mi się, że dojrzałam fartuch. Czy to możliwe, żeby ktoś obcy wszedł do restauracji, włożył fartuch, położył na stoliku pojemnik, a potem wyszedł?

Rita zastanowiła się przez kilka sekund, po czym pokręciła głową.

- Ktoś z nas zwróciłby uwagę na obcego w naszym fartuchu.

- A gdyby to był były pracownik?

- I tak jeden z nas by go zauważył. Jesteśmy zgraną paczką. Poza... - Urwała gwałtownie.

- Tak?

- No, jest ten nowy facet, który sprząta. Ale to nic takiego. To znaczy nic złego nie zrobił. Tylko... cóż, to takie przeczucie.

Przerwał im dzwonek telefonu Maggie.

- O'Dell, słucham?

- Agentko O'Dell, jest pani nadal w Gainesville? - spytał Cunningham.

- Tak. Właśnie rozmawiamy z pracownikami restauracji.

- Poproszę agenta Turnera, żeby to dokończył. Potrzebuję pani gdzie indziej. W Devil's Backbone znaleziono kobietę.

Wstała, odeszła od stolika i odwróciła się plecami do Rity. Nie powinna być zdziwiona, a jednak ogarnęły ją złe przeczucia.

- Niech zgadnę - powiedziała. - Brakuje jej jednej nerki.

- Nie, o ile wiem, niczego jej nie brakuje. Ona żyje.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Szpital Warren Memorial

Gwen patrzyła na Cunninghama, który pokazał odznakę pielęgniarki na oddziale ratunkowym. Potem wskazał Gwen, a mimo to pielęgniarka - przysadzista, siwowłosa weteranka - wcale nie była pod wrażeniem. Gwen pomyślała, że musiała mieć do czynienia z całym mnóstwem oficjeli, którzy czegoś od niej żądali czy o coś prosili. Geller, szeryf hrabstwa Warren, i Olson, szeryf hrabstwa Shenandoah, sztywnym krokiem krążyli po niewielkiej poczekalni oddziału ratunkowego.

- Na pewno pani rozumie...

Do Gwen docierały tylko fragmenty rozmowy. Cunningham potrafił być uprzejmy, nawet jeśli brzmiał autorytatywnie. Ale tym razem trafił swój na swego. Było jasne, że pielęgniarka rządzi oddziałem, a przynajmniej rządziła w ten niedzielny wieczór.

- Na pewno rozumie pan, że pacjentka ma prawo do tego, by została przebadana w spokoju i ciszy.

- Oczywiście - zgodził się Cunningham. - Ale doktor Patterson jest psychiatrą i może uda jej się...

- Proszę wybaczyć, ale nawet gdyby była Matką Teresą, też by mnie to nie obchodziło. Nikomu nie wolno przeszkadzać pacjentce, dopóki nie zostanie przebadana i nie otrzyma leków. Jak rozumiem, nie jest podejrzana o popełnienie żadnej zbrodni.

- Przeciwnie, naszym zdaniem jest ofiarą. Moją jedyną troską jest chronić ją i przyszłe ofiary. Nie będę w stanie tego zrobić,

dopóki z nią nie porozmawiam i nie dowiem się...

Kobieta machnęła ręką, żeby przestał mówić, więc Cunningham przerwał w połowie zdania. Potem wskazała poczekalnię i bez słowa zniknęła za stalowymi drzwiami prowadzącymi do gabinetów. Gwen widziała ją przez małe okienko. Pielęgniarka zawahała się, odczekała, aż zamek w drzwiach kliknie.

Gwen usiadła na jednym z plastikowych krzeseł. Mężczyźni wciąż krążyli. Cunningham spotkał się z nią wzrokiem. Patrzył przepaszająco, a ona z uśmiechem wzruszyła ramionami. Pozwoliła mu porozmawiać z szeryfami, a sama udawała, że zainteresowały ją lokalne wiadomości, które właśnie zaczęły się na ekranie małego telewizora wiszącego na ścianie.

Kiedy Cunningham do niej zadzwonił, akurat wróciła z niedzielnego lunchu z przyjaciółką. Przynajmniej tym razem pokusą była nie tylko długa wspólna podróż samochodem, choć i to brzmiało ekscytująco. Chciała poznać kobietę porwaną przez Kolekcjonera, której udało się ujść z życiem.

Podwójne drzwi wejściowe rozsunęły się z sykiem i do środka wbiegła Maggie O'Dell, po czym zatrzymała się w pół kroku na widok Cunninghama i dwóch szeryfów. Miała na sobie dzinsy i wiatrówkę FBI. Gwen patrzyła na ekran telewizora, a mężczyźni na zmianę relacjonowali Maggie przebieg wydarzeń, z tym że szeryf Olson nie tyle opowiadał, co grzmiał, nawet gdy starał się mówić ciszej.

- Śmiertelnie przeraziła pracownika parku. Powiedział, że kiedy zataczając się, wyszła z lasu, wyglądała jak duch.

Nagle zamilkli, bo wróciła pielęgniarka. Nie zwracając na nich uwagi, usiadła za biurkiem przed ekranem komputera.

O'Dell powiedziała coś do Cunninghama, po czym ruszyła do pielęgniarki. W lokalnych wiadomościach mówili o festiwalu we

Front Royal i starali się przewidzieć, kiedy wreszcie przestanie padać. Gwen zerknęła na Maggie O'Dell, która mówiła coś pielęgniarce, a potem z kieszeni kurtki wyjęła zdjęcie zrobione polaroidem. Ku zdumieniu Gwen, pielęgniarka szybko wstała, obeszła biurko i gestem dała Maggie znać, żeby za nią poszła.

- Tylko kobiety - oświadczyła i kartą magnetyczną otworzyła stalowe drzwi.

Maggie przytrzymała je, czekając na Gwen, a pielęgniarka już maszerowała naprzód sterylnym korytarzem.

Gwen nachyliła się i zapytała Maggie:

- Co pani jej pokazała, na Boga?

Maggie podała jej kwadratowe zdjęcie z polaroidu. To musiał być ostatni pojemnik na jedzenie na wynos z krwawą masą w środku.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Szpital Warren Memorial

Susan chciała, żeby wypuścili ją do domu. Powtarzała lekarzom i pielęgniarkom, że czuje się świetnie. Nie, nie była ofiarą napaści na tle seksualnym. I nie, nie jest w stanie im odpowiedzieć, jaki jest dzień.

Wiedziała, że wygląda koszmarnie. Dostrzegła swoje odbicie w oszklonych drzwiach, kiedy ją tam przywieźli, i ledwie rozpoznała kobietę o dzikim spojrzeniu, splątanych włosach i uwalanym w błocie ubraniu.

Ale skąd miała te wszystkie siniaki?

Tak, wiedziała, że większą część ciała ma posiniaczoną. Tak, bolało ją skaleczone kolano. Ale poza tym czuła się dobrze. Wydostała się z tego zapomnianego przez Boga i ludzi lasu. I nie, nie płakała z bólu. Płakała, ponieważ nareszcie była wolna.

Czy mogłaby już wrócić do domu?

Lekarz wyszedł, a Susan szukała wzrokiem swoich ubrań. Może udałoby się jej stąd uciec. Czy to takie trudne? Skoro wydostała się z lasu, to co stoi na przeszkodzie, by wymknęła się z oddziału ratunkowego? Przecież nawet nie był zamknięty na klucz. Przyjrzała się kroplówce i monitorowi pokazującemu pracę serca, przewodom i rurkom, do których ją podłączono. Na pewno łatwo wyjąć tę igłę. Potem przypomniała sobie zastrzyki, które robił jej w ramię porywacz.

Wyrzuciła to z myśli.

To już przeszłość. Musi tylko wrócić do domu.

W tym momencie do pokoju znów zajrzała pielęgniarka o stalowoszarych włosach i wiecznie skrzywionej twarzy.

Susan zamknęła oczy. Pielęgniarka pewnie szukała lekarza. Zamknie drzwi i odejdzie, skoro go tu nie zobaczy. A jednak nie, stała w drzwiach i powiedziała do Susan:

- Są tu dwie panie z FBI, chcą zadać kilka pytań. Zgadza się pani?

Susan poderwała się nerwowo i usiadła.

- Szukają tej drugiej kobiety?

- Jakiej drugiej kobiety? - spytała pielęgniarka, szeroko otwierając oczy.

Susan zdała sobie sprawę, że o niczym nie wspomniała personelowi szpitala. Tyko jak mogłaby to zrobić, skoro nie dali jej na to szansy? Ale mówiła o tym pracownikowi parku i szeryfowi. Była pewna, że mu powiedziała.

- Tak, porozmawiam z nimi.

Niższa z dwu kobiet była starsza, miała sięgające brody włosy o barwie truskawkowy blond. Była ubrana w spodnie i bluzkę, która wyglądała na drogą. Młodsza kobieta miała krótkie kasztanowe włosy i bardziej wyglądała na agentkę FBI. Zresztą nosiła firmową wiatrówkę.

- Dziękujemy, że zgodziła się pani z nami porozmawiać, Susan. Jestem Maggie O'Dell, a to Gwen Patterson.

Pokój był nieduży, nie miały więc wyboru i musiały stać obok łóżka.

- Nie wiem nawet, czy ona jeszcze żyła - powiedziała Susan.

- Słucham? - spytała wyraźnie zbита z tropu agentka FBI.

- Czy nie w tej sprawie przyszłyście? Powiedziałam szeryfowi, że widziałam tamtego mężczyznę, jak wyciągał z bagażnika

kobietę. To było na tej drodze, którą szłam, niedaleko szopy.

Wymieniły spojrzenia, po czym ta, która przedstawiła się jako Maggie O'Dell, poprosiła:

- Najlepiej będzie, jak zacznie pani od początku, dobrze?

A zatem Susan opowiedziała, jak wcześnie rano jechała do pracy. Już nie pamiętała, w jaki dzień to się działo. Była cukiernikiem, niedawno awansowała na głównego cukiernika w The Dessert Shop w Gainesville.

- W Gateway Mall? - spytała Maggie.

- Tak. Jedyne, czego nie lubię w tej pracy, to tego, że przychodzę tam, kiedy jest jeszcze ciemno.

Dalej opowiedziała, jak zobaczyła mężczyznę, który nie dawał sobie rady z torbami pełnymi zakupów. Pomyślała, że mieszka na pobliskim osiedlu.

- Przedstawił się pani? - spytała Maggie.

- Nie - odparła Susan. Była trochę zawstydzona tym, jak łatwo dała się oszukać.

Powiedziała, że otworzyła bagażnik swojego samochodu, żeby schować zakupy nieznajomego, i nagle poczuła ukłucie w ramię. Miała wrażenie, że ją sparaliżowało. Zdziwiła się, że mężczyzna, który wyglądał na słabego i bezradnego, nagle okazał się bardzo silny.

Susan urwała. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Maggie.

- Zrobił to jeszcze wielu innym kobietom, nie tylko dwóm, tak?

- Tak, to prawda. Ale dzięki pani pomocy możemy go zatrzymać, a wtedy nie skrzywdzi już żadnej kobiety.

Susan skinęła głową i skrzyżowała ramiona na piersi, bo nagle ogarnął ją chłód. Druga z kobiet z FBI o imieniu Gwen podciągnęła wyżej jej koc i spytała:

- Możemy coś dla pani zrobić, Susan?

Wiedziała, że Gwen pyta, czy mogą coś dla niej zrobić w tym momencie, na przykład żeby było jej wygodniej albo przynieść coś do picia czy jedzenia. Mimo to Susan powiedziała:

- Możecie mnie zawieźć do domu, kiedy skończymy? Dałabym wszystko, żeby dzisiejszą noc przespać we własnym łóżku.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Front Royal, Wirginia

- Myśli pan, że ta druga kobieta wciąż żyje? - spytała Maggie, patrząc na Cunninghama.

Usiedli w narożnym boksie w małej jadłodajni niedaleko szpitala. Na drzwiach wisiała tabliczka z godzinami otwarcia, z której wynikało, że w niedzielę zamykają o ósmej wieczorem, ale kelnerka już im powiedziała, że jeśli w ciągu kwadransa przekaże kuchni zamówienie, mogą zostać dłużej.

- Ludzie szeryfa Olsona przeczesywali las przez kilka godzin. - Cunningham przesunął wyżej okulary i przetarł oczy. - Jutro rano sprowadzi ludzi z psami poszukującymi. Mówi, że jest tam mnóstwo jarów i stromych urwisk, więc łatwo spaść i zrobić sobie krzywdę. Udało się od niej wydobyć rysopis porywacza?

Maggie czekała, aż kelnerka postawi przed nią dietetyczną pepsi, a kawę przed Gwen i Cunninghame.

- Susan powiedziała, że mężczyzna w lesie, który wyciągał ciało z bagażnika, wyglądał inaczej niż ten, który ją porwał. Był wysoki, szczupły i młody. Mężczyzna, któremu chciała pomóc, był starszy, z lekką nadwagą, przygarbiony. Z trudem niósł dwie torby z zakupami. Zrobiło jej się go żal.

Cunningham uniósł brwi i przeniósł wzrok z Maggie na Gwen.

- Wracamy do pomysłu, że może być dwóch morderców?

Maggie pokręciła głową i zauważyła, że Gwen zrobiła to samo.

- Wstrzyknął jej coś, co ją sparaliżowało - podjęła Maggie. -

Okazał się silniejszy, niż się spodziewała. Moim zdaniem różne opisy mężczyzny raczej potwierdzają teorię, że zmienia swój wygląd. Dzisiaj na pewno był w restauracji albo gdzieś na dziedzińcu. Musiałam się spóźnić parę minut, minąć go. A jednak go nie widziałam. No właśnie. - Oparła łokcie na stoliku. - Nie zauważył go nikt z personelu restauracji. Z nagrania kamery, a widzieliśmy na nim tylko maleńki fragment tego kogoś, wynika, że miał na sobie fartuch z logo restauracji, kiedy kładł na stoliku pojemnik.

Cunningham usiadł prosto.

- Pani zdaniem jest możliwe, że tam pracuje?

- Kelnerka, która otworzyła pojemnik, powiedziała, że w restauracji pracuje nowy mężczyzna. Nazwała go gościem od sprzątanania. Przyznała, że to tylko przeczucie, ale sprawia na niej dziwne wrażenie.

- Coś mi się tu nie zgadza - wtrąciła Gwen. - Jeśli Kolekcjoner potrafi tak świetnie wtapiać się w tło, że nie rzucił się pani w oczy, to znaczy, że w kolejnych wcieleniach dba o to, by ubiorem i sposobem bycia nie odbiegać od szarej przeciętności, nie wyglądać dziwnie czy oryginalnie, prawda?

- Rita powiedziała, że to tylko jej wrażenie. Innym mógł wydawać się całkiem zwyczajny. Woźny czy ktoś, kto sprząta, nie rzuca się w oczy. Nikt nie zwraca na niego uwagi, więc wybranie takiego przebrania pasowałoby do Kolekcjonera. Turner sprawdził tego mężczyznę z restauracji. Nazywa się J.P. Morgan.

- Teraz to ma sens - stwierdził Cunningham. - Wyobrażam sobie, że taki gość używa nazwisk, które brzmią jak kryptonim czy żart. Żeby utrzyć nosa władzom.

Zadzwoił telefon Cunninghama.

- Muszę odebrać. To pewnie transport. - Wstał z boku i zanim

odebrał, przeszedł do przedniej części jadłodajni.

- Cieszę się, że go pani przekonała, żeby pozwolił jej wrócić do domu - powiedziała Maggie do Gwen.

W szpitalu Gwen obiecała Susan, że znajdzie jakiś sposób, by wróciła do domu i spędziła tę noc we własnym łóżku. Początkowo Cunninghamowi nie przypadł do gustu ten pomysł, dopóki Gwen nie przypomniała, jak trudno było zapewnić bezpieczeństwo Katie Tanner w szpitalnym pokoju. Teraz dziewczynka przebywała w zamkniętym ośrodku, gdzie mogła jej towarzyszyć babcia i gdzie Kolekcjoner jej nie zagrażał.

Maggie słyszała argument, który wykorzystała Gwen. Wreszcie Cunningham ustąpił, ale pod warunkiem, że Susan zgodzi się na całodobową ochronę przynajmniej przez kolejny tydzień. Jeśli Kolekcjoner zda sobie sprawę, że Susan wydostała się z lasu, może wrócić w okolice jej domu i zaczekać na okazję, żeby z nią skończyć. Jednocześnie Cunningham rozumiał, że to szansa na schwytanie drania.

Kelnerka przyniosła zamówione dania, a Cunningham nadal krążył po chodniku na zewnątrz z telefonem przyciśniętym do ucha. Maggie spojrzała na niego przez okno, starała się odgadnąć nastrój szefa. Wydawał się spięty, napięcie było widoczne w zaciśniętych zębach i szybkim kroku w tę i z powrotem.

- On się o panią martwi - powiedziała Gwen, trzymając widelec z sałatką.

- O mnie? - Maggie była kompletnie zaskoczona. Myślała, że się przesłyszała.

- Te listy. Kiedy tu jechaliśmy, powiedział mi o ostatnim.

Zdała sobie sprawę, że wciąż nie zna jego treści.

- Wie pani równie dobrze jak ja na podstawie spraw, nad którymi pani dotąd pracowała - podjęła Gwen - że to nigdy nie

jest dobry znak, kiedy morderca decyduje się na osobisty kontakt z jednym z przedstawicieli prawa.

Maggie nie chciała przypominać Gwen, że jeśli chodzi o większość pozostałych spraw, pracowała nad nimi wyłącznie za biurkiem. Może dlatego nie czuła się zagrożona przez listy Kolekcjonera. Zniesmaczona? Tak. I trochę zaniepokojona. Wielu seryjnych morderców lubi zwracać na siebie uwagę. O ile zależało mu właśnie na uwadze, najprawdopodobniej nie zrobi jej krzywdy.

Poza tym nie miała ochoty poddawać się psychoanalizie przeprowadzanej przez niezależną konsultantkę szefa. Ciekawe, czy Cunningham poprosił Gwen, żeby z nią porozmawiała. Poczwała złość.

Zerknęła przez okno. Szef wciąż chodził w tę i z powrotem z telefonem przy uchu.

- Więc jak to jest między wami? - spytała całkowicie świadoma, że absolutnie nie ma do tego prawa. - Coś się dzieje?

Gwen nie wydawała się ani trochę speszona. Sięgnęła po pieprz i odparła:

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli pani odgadnie, proszę dać mi znać.

Maggie patrzyła na nią, próbując dociec, czy to miał być sarkastyczny żart, czy złośliwy komentarz, na co Gwen, spoglądając jej w oczy, dodała:

- On jest żonaty, więc nic się nie dzieje. A czy chciałabym, żeby było inaczej? - Zerknęła przez okno, a potem znów popatrzyła na Maggie. - Tak, czasami tak. - Zajęła się sałatką.

Maggie zdała sobie sprawę, co to znaczy dla kogoś takiego jak Gwen przestać się kontrolować i tak się otworzyć, zdradzić coś tak intymnego. Nie wiedziała, jak zareagować.

Uratował ją dzwonek jej telefonu. Tak przynajmniej myślała,

dopóki nie odebrała.

- Pani O'Dell, mówi doktor Lawrence. Jestem gotowy wypisać pani matkę. Powiedziała, że pewnie zechce pani po nią przyjechać.

Zamknęła oczy, a kiedy podniosła powieki, spotkała się wzrokiem z Gwen. W kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki, patrzyła z troską.

- Doktorze Lawrence, prawdę mówiąc, w tej chwili pracuję i jestem dwie godziny drogi od szpitala.

Cisza. Powiedziała sobie, że będzie milczeć. Zaczeka na jego odpowiedź.

- Cóż, fatalnie się składa. Może ktoś inny z rodziny jest teraz wolny?

- Zadzwoń do pana później. - Rozłączyła się.

- Wszystko w porządku? - spytała Gwen. Jej troska była szczerą.

- Moja matka w piątek wieczorem próbowała się zabić.

- O Boże, Maggie, nie wiedziałam.

- Nie pierwszy raz. Ćwiczy to, odkąd miałam dwanaście lat.

- Wszystko z nią dobrze?

- O tak. Jest gotowa wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało. Powiedziała lekarzowi, że ją odbiorę. - Zaczesała włosy za uszy i westchnęła zirytowana.

- Nic pani nie jest? - Gwen położyła rękę na jej dłoni.

- Ona naprawdę wie, jak mnie wyprowadzić z równowagi, jaki guzik przycisnąć.

- Oczywiście, że wie. - Gwen wreszcie się uśmiechnęła. - Sama pomagała je zainstalować.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

*Galeria Sztuki Muza
Gainesville, Wirginia*

Rita nie chciała wierzyć, że to, co widziała w pojemniku na jedzenie na wynos, to ludzki organ. Córce powiedziała tylko, że ktoś podrzucił coś obrzydliwego, żeby zaszokować ludzi.

- Artyści cały czas tak robią - zauważyła Carly.

Rita zdała sobie sprawę, że jej córka nie jest już dzieckiem. Tego wieczoru zdecydowanie wyglądała doroślej i pięknie się prezentowała w podkreślającej figurę sukni tubie z modnym paskiem i w modnych botkach do kostek. Długie jasne włosy były miękkie i jedwabiste. A jednak Ricie się nie podobało, że mężczyźni patrzą pożądliwie na jej szesnastoletnią córkę.

Rzeźby Carly były fascynującymi abstrakcjami, nawet Rita potrafiła docenić delikatne złobienia i miękkie linie. Obserwowała, jak Carly zaczynała pracę z grubym plackiem czegoś, co wyglądem przypominało gęste błoto, i przekształcała ten placek w coś eleganckiego, więc wiedziała, ile pracy pochłonęła każda z rzeźb. Carly tłumaczyła, że pragnie pokazać życie, które tkwi w tej glinie, i uwolnić je. Dziewczyna była pełna pasji, prawie się nie rozstawała ze swoimi narzędziami, jak lekarz, który chodzi na wizyty domowe.

Rita sięgnęła po drugi kieliszek gratisowego wina, ale wciąż nie miała apetytu. Uśmiechnęła się, widząc Drew, który stał przy stoliku z zakąskami i patrzył na nie, jakby oglądał dzieła sztuki.

On sam wyglądał jak dzieło sztuki w czarnych dopasowanych dżinsach i T-shircie. Rita pokręciła głową i wypła łyk wina. Tego wieczoru pozwoliła sobie na niezwalczanie podniecenia, które Drew w niej budził.

Wcześniej, kiedy przedstawiła mu Carly, stwierdził, że wyglądają jak siostry, „piękne siostry”. Tego wieczoru był bardziej rozmowny. Ciekawe, czy był to skutek tego dnia, który obfitował w wydarzenia. Sytuacja kryzysowa może wydobyć z ludzi to, co w nich najlepsze, a także ich ze sobą zbliżyć. Pan Gibson wcześniej zamknął restaurację. Rita cieszyła się, że część kolegów z pracy pojawiła się w galerii. Oczywiście darmowe jedzenie i drinki zawsze przyciągają. Ale widok pana Gibsona ją zaskoczył.

Drew przyniósł jej mały talerzyk zakąsek, a ona mu podziękowała, choć zapach krewetki i widok krwawoczerwonej salsy sprawił, że żołądek podszedł jej do gardła. Żeby tego nie zauważył, próbowała zwrócić jego uwagę na coś innego.

- To miło ze strony pana Gibsona, że wcześniej dzisiaj zamknął - powiedziała.

Drew wzruszył ramionami.

- Pewnie przywykł do takich rzeczy.

- Co masz na myśli?

- Mówię o zarządzaniu kryzysem. Kontrolowaniu PR-u. On jest właścicielem chyba z dwunastu innych restauracji i pubów.

- A jednak dzisiejszy dzień był wyjątkowy.

- Pamiętasz tę radną, która zaginęła?

- Jasne, że pamiętam. Znaleźli jej ciało na obrzeżach Richmond.

- Oczywiście, że Rita pamiętała, była uzależniona od wiadomości. Miała nadzieję, że Drew zdążył to zauważyć. Ale nie była pewna, co tamta kobieta ma wspólnego ze zdarzeniami tego dnia.

- Porwano ją z parkingu w Bostonie - podjął Drew. - Zdaje się, że znaleźli jej samochód zaparkowany przed restauracją.
- Okej, jasne. To też pamiętam.
- Przed restauracją w Bostonie - dodał Drew. - Jedną z knajp Gibsona.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Poniedziałek

Quantico

- Czy mógł celowo zostawić odciski palców? - spytała Maggie i czekała, aż Ganza odpowie.

Przyniosła swoje teczki do laboratorium i zaczęła rozkładać na blacie, gdzie Ganza trzymał drugi komputer. Zignorowała jego ergonomiczny stołek barowy z hydraulicznym podnośnikiem. Tego ranka musiała pracować w ruchu. Minionego wieczoru oświadczyła Gwen Patterson, że nie czuje się zagrożona przez Kolekcjonera, ale gdy Ganza pokazał jej ostatni list, w którym Kolekcjoner zwracał się do niej per agentko Maggie, bardzo się zdumiała, kiedy poczuła dreszcz na plecach.

Napięcia nie zmniejszyła jazda do Richmond wczesnym rankiem po kiepsko przespanej nocy. Doktor Lawrence zgodził się zaczekać do rana z wypisaniem matki, ale pod warunkiem, że córka po nią przyjedzie i podpisze odpowiednie dokumenty.

- To chyba znaczy, że jesteś za mnie odpowiedzialna, Mag-pie - powiedziała matka ze sztuczną radością, adresując też swoje słowa do pielęgniarki, która ją wypisywała.

Mag-pie było przydomkiem, który dla Maggie wymyślił ojciec. Kiedy słyszała go z ust matki, uszy ją bolały, jakby ktoś skrobał paznokciami po tablicy.

Odwiozła matkę do jej mieszkania i pomogła się położyć. To wszystko zajęło tyle czasu, że była spóźniona. To dlatego wzięła

teczki pod pachę i ruszyła na górę do laboratorium Ganzy, choć gdzieś w głębi duszy wiedziała, że tak naprawdę po prostu nie chciała być sama.

Cieszyła się, że wymiana opinii z Ganzą mocno ją absorbuje. Nie chciała myśleć o tym, że znalazła buteleczkę valium w jednym z ulubionych schowków matki, w tylnej części szuflady ze sztućcami. Przed wyjściem schowała ją do kieszeni, ale była niemal pewna, że matka ma więcej takich schowków.

- Ja zajmuję się faktami - powiedział Keith Ganza, a ona już zapomniała, o czym przed chwilą rozmawiali. - Twoim zadaniem jest odgadnięcie jego zamiarów. Wiemy już coś o tych odciskach palców?

No tak, właśnie o nich rozmawiali.

Poza odciskami palców kelnerki Rity, Ganza znalazł na styropianowym pojemniku odcisk kciuka i palca wskazującego. Ważne było też, że Maggie i Turner na taśmie wideo widzieli, jak Kolekcjoner trzymał pojemnik. Minionego wieczoru Ganza dołączył te dwa odciski do Automatycznego Systemu Identyfikacji Daktyloskopijnej (IAFIS).

- Jeszcze nic - odparła Maggie. - Możliwe, że nie ma go w systemie.

- Albo poprosił kogoś innego, żeby położył pojemnik na stoliku.

Gwałtownie oderwała wzrok od ekranu komputera. Akurat takiej hipotezy w ogóle nie brała pod uwagę.

- Masz na myśli kogoś, kto pracuje w restauracji? Przecież ktoś taki od razu by nam powiedział, że odkrył, co jest w pojemniku, prawda?

- Kiedy w restauracji roіło się od glin i FBI? - Ganza pokręcił głową. - Pochodzę z epoki, kiedy skutecznie wbijano nam do głowy, że nigdy niczego nie mówi się glinom.

Nie chciała wierzyć, że Ganza ma rację, bo taka wersja zdarzeń łatwo by tłumaczyła, skąd pojawił się nagrany przez kamerę fartuch. Musi porozmawiać o tym z Turnerem. Przesłuchiwał członków personelu, w tym J.P. Morgana. Turner na pewno by wyłapał niezborne opowieści, ewentualne kłamstwa czy próby tuszowania faktów. Nauczono ich szukać sygnałów i wskazówek w mowie ciała podejrzanych, a także świadków.

- Kazałem przywieźć samochód Susan Fuller - powiedział Ganza.

- Gdzie go znaleźli?

- Na parkingu blisko budynku, w którym mieszka. Stale z niego korzysta. Domyślam się, że wypatrzyła swoje auto, kiedy została wypisana ze szpitala i odwieziono ją do domu.

Maggie nie powinna być zaskoczona. Policja znalazła samochód Paige Barnett na parkingu obok wejścia na szlaki turystyczne w Lesie Państwowym Conway Robinson. Podejrzewała, że Paige właśnie tam zostawiła samochód, wyruszając na szlak.

- Czyli on korzysta z samochodów ofiar - podsumowała, choć nie zamierzała głośno przyznać, że to całkiem pomysłowe. - Krew, włosy, ślina, skrawki materiału, po prostu nic, co ma jakiś związek z ofiarą, nigdy nie pojawi się w jego samochodzie, zwłaszcza jeśli wozi ubranie na zmianę.

- Nie musi wycierać swoich odcisków palców wewnątrz samochodu - dodał Ganza. - Bo i po co? Jeśli śledczy znajdą samochód ofiary w miejscu, gdzie zniknęła, nie będą mieli powodu przypuszczać, że był wykorzystany podczas porwania.

I nigdy o tym by się nie dowiedzieli, gdyby nie Susan Fuller, która przeżyła i znalazła swój samochód na parkingu pod domem.

- Susan powiedziała, że wstrzyknął jej coś, co ją sparaliżowało - dodała Maggie. - Czy łatwo byłoby mu zdobyć narkotyk albo lek

w rodzaju chlorku suksametonowego czy ketaminy?

- Obecnie możesz dostać prawie wszystko, jeśli tylko wiesz, gdzie tego szukać. Ciekawe, że użył czegoś innego niż stary dobry chloroform. Ketamina stała się popularnym narkotykiem wśród tych, którzy biorą narkotyki okazjonalnie. Wierz mi albo nie, ale są ludzie, którzy lubią uczucie, jakby tracili kontakt ze swoim ciałem. Jednak w zbyt dużej dawce bywa niebezpieczna, może nawet spowodować utratę przytomności. Jeśli on chce tylko wepchnąć ofiarę do bagażnika, to po co ją całkiem obezwładnia?

- Instynkt mówi mi, że robi to, bo ma taką możliwość. Kiedy ktoś wpycha cię do bagażnika, jesteś przerażony, ale możesz próbować się bronić. Kiedy wstrzykuje ci coś, co cię paraliżuje, jesteś przerażony, ale nie możesz się ruszyć. Myślę, że on chce wywołać w nich przerażenie, tak jak lubi szokować swoimi pojemnikami.

- Pieprzony z niego drań, co?

- Widziałeś dziś rano memo Cunninghama? - spytała.

- Staram się nie czytać mejli przed lunchem.

- Jutro będziemy mieli świetną okazję złapać Kolekcjonera - oznajmiła Maggie. - Byłoby miło, gdyby ktoś miał pojęcie, jak on wygląda. - Wróciła do komputera i zaczęła wpisywać swoje hasło dostępu do IAFIS.

- Okej, ale tak dokładniej, co jutro ma się zdarzyć? - spytał Ganza.

- Pogrzeb całej trójki Tannerów. Mam nadzieję, że Kolekcjoner nie będzie się mógł powstrzymać i się tam pojawi.

W tym momencie na ekranie komputera zobaczyła, że trafiła w dziesiątkę. System znalazł odciski palców Kolekcjonera.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Ganza przyciągnął stołek obok Maggie, wyjął z lodówki brązową papierową torebkę z lunchem i usiadł przy blacie, jakby szykował się jednocześnie do jedzenia i do spojrzenia na ekran komputera. Bez pytania położył dwie połówki kanapki na papierowych ręcznikach i jedną podsunął Maggie. Przyniósł jej też z lodówki puszkę dietetycznej pepsi.

- Co to jest? - spytała.

- Sałatka z tuńczyka na razowym chlebie.

Wiedziała, że w tej samej lodówce Ganza przechowywał woreczki z dowodami. Wiedziała też, że był bardzo zamkniętym człowiekiem, więc to, że podzielił się z nią lunchem, było dowodem zaufania i przyjaźni.

Maggie otworzyła puszkę pepsi, a potem ugryzła kanapkę. Palcem wskazującym prawej ręki stuknęła w klawiaturę i przesuwała stronę na ekranie komputera.

- Wygląda na to, że nigdy nie został postawiony w stan oskarżenia, a jednak pobrali od niego odciski palców.

- Są jakieś zdjęcia?

- Nie, ale to było dziesięć lat temu. Nie znam tego hrabstwa w Massachusetts. - Ugryzła kolejny kęs kanapki. Była naprawdę smaczna. - Nigdy nie pomyślałam, żeby położyć sałatkę z tuńczyka na razowym chlebie. - Wciąż patrzyła na ekran komputera, ale kątem oka dostrzegła uśmiech Ganzy.

- O co go chcieli oskarżyć?

- Coś związanego z łodzią jego ojca. Niewiele tu informacji, jest

tylko nazwisko. To Albert Stucky. Mamy też jego ówczesny adres. Może uda mi się znaleźć prawo jazdy.

Ściągnęła skąpe informacje dostępne na stronie IAFIS, po czym zaczęła kolejne poszukiwanie.

- Stan Massachusetts wydał mu prawo jazdy przed dziesięciu laty. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat, sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ważył siedemdziesiąt siedem kilogramów. Prawa jazdy nie były wówczas dygitalizowane, więc nie ma zdjęć.

Kontynuowała poszukiwania, lecz nie znalazła świadectwa ślubu ani dowodu własności domu czy innej nieruchomości. Musi pogrzebać głębiej.

- Zapewne nie występuje pod prawdziwym nazwiskiem - stwierdził Ganza. - Do diabła, być może od dziesięciu lat nie używa nazwiska Stucky. Tacy goście jak on lubią kontrolować ryzyko. Założę się, że na jakiś czas zniknął z pola widzenia. Bo wiesz, on nie tylko zabija. Chociaż zawartość ostatniego pojemnika na pierwszy rzut oka to kawał krwawego mięsa, ta nerka została wycięta z pewną precyzją. To samo dotyczy palca Barnett czy palca zastępcy Steele'a. Ten gość od jakiegoś czasu pracuje nad udoskonaleniem swoich metod.

Maggie cofnęła się od komputera i przetarła oczy. Za mało spała. Nadzieja i podniecenie wzbudzone dwoma odciskami palców wyparowały. Nawet znajomość prawdziwego imienia i nazwiska Kolekcjonera nie pomoże jej go złapać. Wciąż nie wiedziała, kim on, do diabła, jest. Ani jak wygląda.

Najprawdopodobniej najbliższym rzeczywistości rysopisem, jakim dysponowali, był ten, który przekazała Susan Fuller, gdy opisywała mężczyznę wyciągającego kobietę z bagażnika w lesie. Wysoki, szczupły, młody. Ale Susan nie była nawet pewna, jakiego koloru miał włosy, bo było zbyt mało światła, a ona

przebywała w ukryciu.

Spojrzała na Ganzę. Skończył lunch i zabrał się znów do pracy.

- Nic nie mam - oznajmiła, starając się nie zabrzmieć jak osoba zdesperowana, choć tak się czuła.

- W tej chwili to on dyktuje warunki - stwierdził Ganza. - Podrzuca nam to, co chce, żebyśmy znaleźli. Wcześniej czy później wpadnie nam w ręce coś, co chciał przed nami ukryć. Jak Susan Fuller.

- To prawda. Może znajdziesz coś w jej samochodzie.

- Może jutro też ci dopisze szczęście - próbował dodać jej otuchy Ganza, a gdy pytająco uniosła brwi, wyjaśnił: - Na pogrzebie. Jak dotąd to on kontrolował boisko, rozumiesz, Gateway Mall, parkingi, samochody ofiar. Ściągnął nawet zastępcę Steele'a do radiowozu, już nie wspominając o Devil's Backbone. Jeśli jutro się tam zjawi, może poczuć się nieswojo i sam się zdradzi.

- Może w ogóle się nie pokazać.

- Oczywiście nie da się tego wykluczyć. - Wzruszył ramionami.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Wtorek

Hrabstwo Warren, Wirginia

Niebo w kolorze indygo było tylko gdzieś tam maźnięte smużką chmury. Maggie nie mogła uciec od myśli, że to okrutna ironia losu. Po tygodniu burego deszczowego nieba słońce pokazało się akurat w dniu pogrzebu rodziny Tannerów.

Zgłosiła się na ochotnika – być może zbyt chętnie – że podaruje sobie uroczystości pogrzebowe w kościele, żeby dokładnie przyjrzeć się cmentarzowi. Pogrzeby za bardzo przypominały jej o ostatnim pożegnaniu ojca.

Wystarczyło, że weszła do kościoła i poczuła woń kadzidła, i od razu cofała się do czasów, gdy miała dwanaście lat. Wszystkie emocje, które próbowała głęboko zakopać, wypływały na powierzchnię. Nie było dnia, by nie myślała o ojcu i za nim nie tęskniła, choć nie żył już od ponad piętnastu lat.

Miała nadzieję, że cmentarz tak łatwo nie wywoła tych wszystkich wspomnień. Była na zewnątrz, oddychała świeżym powietrzem. Mogła spacerować i liczyła na to, że słońce oddali od niej ponure myśli. A jednak się myliła. Czekanie trwało zbyt długo i nie była w stanie powstrzymać fali wspomnień.

Widziała ojca, jak leży w ogromnej mahoniowej trumnie ubrany w brązowy garnitur, którego nigdy przedtem nie nosił. Na zawsze zapamiętała szelest plastikowej folii pod jego ubraniem i owinięte folią ręce ułożone wzdłuż ciała. Włosy miał uczesane w sposób,

w jaki nigdy się nie czesał.

Maggie wyciągnęła drobną dłoń i sięgnęła ponad lśniącym drewnem i satynowym posłaniem. Chciała zaczesać włosy ojca na bok, odsunąć je z czoła. Kiedy odsłoniła spaloną zszytą skórę, gwałtownie cofnęła rękę. W zakładzie pogrzebowym próbowali pomalować spalone ciało i uratować tyle skóry, ile się dało. Jednak pomimo lęku, musiała poprawić ojcu fryzurę. Uczesać go tak, jak lubił, żeby wyglądał tak, jak go pamiętała. Chciała, by ten ostatni obraz ojca, który zachowa w pamięci, był rozpoznawalny. To drobiazg, głupstwo, ale dzięki temu poczuła się lepiej.

Widok ojca w trumnie nawiedzał jej sny w dzieciństwie i wciąż do niej powracał, kiedy najmniej się tego spodziewała. Wracały do niej nawet zapachy, przyprawiająca o mdłości woń spalonego ciała połączona z zapachem perfum, których użył właściciel firmy pogrzebowej z nadzieją, że ją zamaskuje.

Nie istnieje nic podobnego ani nic gorszego niż woń spalonego ciała.

A ona poczuła ją teraz, zupełnie jakby unosiła się w rześkim wiejskim powietrzu.

Cmentarz znajdował się prawie pięć kilometrów za granicami małego miasteczka o nazwie Jasper. Maggie dostrzegła, że kiedyś był tu również wiejski kościół, z którego pozostały tylko fundamenty. Znajdował się po drugiej stronie drogi. Na wzniesieniu dojrzała równe rzędy grobów, a wszędzie wokół rozciągały się łąki gdzieniegdzie nakrapiane kępami drzew. Na horyzoncie soczysta zieleń spotykała się z błękitem. Widok był tak piękny, że aż zapierał dech. Maggie nie mogła uciec od myśli, że ten rajski krajobraz nie cieszył żywych, ofiarowany został zmarłym.

Z miejsca, gdzie stała, wreszcie dojrzała długą na półtora

kilometra procesję samochodów, która wiła się jedyną prowadzącą na cmentarz drogą. Asfaltowa dwupasmówka kończyła się przy wejściu na cmentarz, gdzie sznur pojazdów mógł zakręcić i zawrócić na kawałku gruntowej drogi. W tym momencie samochody poruszały się powoli i cierpliwie, zderzak przy zderzaku, żeby zaparkować na poboczu drogi, która już nigdzie dalej nie prowadziła.

W słuchawce w uchu Maggie usłyszała meldującego się Delaneya. Starła się na niego nie patrzeć. Miał na sobie dżinsy, flanelową koszulę i buty turystyczne. Krążył obok furgonetki zaparkowanej na terenie cmentarza. Z logo namalowanego przy użyciu szablonu na drzwiach samochodu wynikało, że jest jednym z pracowników odpowiedzialnych za grób. Czyli kimś, kogo nikt nie zapamięta, a już na pewno nie zwróci na niego szczególnej uwagi.

Żałobnicy zaczęli wysiadać z samochodów i ruszali wąską ścieżką w stronę grobu. Cunningham i Gwen, oboje na czarno, z pochylonymi głowami, nie wyróżniali się z tłumu. Ścieżka stanowiła dość spore wyzwanie, więc Cunningham podał Gwen ramię. Maggie nie mogła nie zauważyć, że tworzyli ładną parę. Jakby byli prawdziwą parą. Po raz pierwszy zrozumiała konfuzję Gwen.

Przenosząc znów wzrok na drogę, dostrzegła Turnera, który z poważną miną otworzył drzwi limuzyny i pomagał wysiąść członkom rodziny zmarłych. Turner i Maggie udawali pracowników domu pogrzebowego. To był sprytny ruch, zwłaszcza że Turner był jedynym czarnoskórym, więc tylko w takiej roli się nie wyróżniał.

Lucille Tanner upierała się przy dwóch rzeczach. Po pierwsze, żeby Katie nie brała w tym udziału. Chciała, by wnuczka

odpoczywała i dochodziła do siebie. Maggie była pod wrażeniem, gdy dowiedziała się, że babcia dziewczynki dostrzegła alternatywny dla tradycyjnego sposób pożegnania i opłakiwania zmarłych, by nie narażać dziewczynki na dodatkowy stres.

Po drugie pani Tanner nalegała, żeby szeryf i jego zastępcy trzymali się z daleka. Cunningham chętnie na to przystał, po części dlatego, że wolał uniknąć rozgłosu. Nie chciał przestraszyć żałobników ani tym bardziej Kolekcjonera. Zaś jego agenci, a nawet Gwen, mogli się wpaasować do grupy żałobników.

Oczywiście Maggie wiedziała, że być może nie zdołają oszukać Kolekcjonera. Ale nawet gdyby podejrzewał, że jest tam FBI, nie musiał wiedzieć, którzy z przyjaciół czy członków rodziny albo też pracowników domu pogrzebowego to tak naprawdę agenci, którzy go obserwują.

Mordercy wcale nie unikają miejsc swoich zbrodni czy pogrzebów ofiar. Berkowitz, lepiej znany jako Syn Sama, w młodości był podpalaczem. Wywołał pięć pożarów w Nowym Jorku, a potem stał wśród gapiów i obserwował pierwsze reakcje. Przyznał nawet, że patrząc na to, masturbował się.

Kolekcjoner też najwyraźniej lubił patrzeć, żeby zobaczyć reakcję na swoją pracę. Maggie nie była pewna, czy na pogrzebie znalazłby dla siebie coś wystarczająco intrygującego. A jednak w minionym tygodniu był wystarczająco mocno zainteresowany, żeby zaparkować na błotnistej wiejskiej drodze, ukryć się między drzewami i zapewne patrzeć, jak zastępca Steele zastrzelił Daniela Tannera.

Poprzedniego dnia Ganza powiedział, że raport balistyczny potwierdził, że najprawdopodobniej z broni, którą Steele miał przypiętą do kostki, strzelono w plecy Daniela Tannera. Co więcej, numer seryjny broni został wykreślony z ewidencji.

Maggie musiała przyznać, że wciąż nie wiedziała, czy istnieje jakiś związek między Steele'em a Kolekcjonerem. Czy byli starymi przyjaciółmi? Znajomymi? Wykluczone, by Kolekcjoner przypadkiem natknął się na tę makabrę w przyczepie. Albo Steele, albo Tannerowie zwrócili na siebie jego uwagę. Czy to wystarczy, żeby pojawił się na pogrzebie? Jeśli tak, to była przekonana, że pojawiłby się raczej na cmentarzu, gdzie nikt tak łatwo nie wskaże na niego palcem, a co ważniejsze, gdzie wpadnięcie w pułapkę było mniej prawdopodobne.

Przyglądając się ostatnim żałobnikom zbierającym się pod namiotem i stojącym nieopodal, Maggie poczuła niepokój i zaczęła się irytować. Wiedziała już, że tak naprawdę ścigają Alberta Stucky'ego, a jednak poznanie imienia i nazwiska nic nie dało. Jeśli Kolekcjoner nie spanikuje i nie popełni błędu, nie mieli szansy go zidentyfikować.

Chyba że rozpoznają go pomimo przebrania.

Kiedy znów stanęła na wyznaczonym miejscu, widziała, że nikt jej nie obserwuje, nikt nie zerka na nią. Gdyby Kolekcjoner pojawił się tylko po to, by popatrzeć na agentkę O'Dell, miała nadzieję, że wypatrzenie jej zajęłoby mu trochę czasu.

Idąc za jego przykładem, włożyła granatową pudełkową marynarkę, podobnie jak pozostali pracownicy domu pogrzebowego. Miała też okulary w czarnych oprawkach, perukę z krótkich jasnych włosów i wypchane body, które na oko dodawało około dziesięciu kilogramów. Wyglądała na bardziej krępa, nawet poruszała się inaczej.

Lustrowała twarze, gesty i postawy. Szukając Kolekcjonera, w duchu kpiała z niego. Do tej gry potrzeba dwojga.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY TRZECI

Stucky uznał, że jedyną częścią garderoby kierowcy firmy kurierskiej, którą będzie mógł włożyć, jest jaskrawopomarańczowa czapka z daszkiem. Facet był zbyt niski i niestety zaplamił krwią pomarańczową koszulkę swojej firmy.

Nie ma sprawy.

Logo na czapce było identyczne jak na T-shircie. Ile osób w ogóle zauważa, co ma na sobie posłaniec, kiedy podaje piękny bukiet kwiatów? Prawdę mówiąc, kto w ogóle zwraca uwagę na kierowcę?

Upchnął ciało kuriera do worka na śmieci i wsadził je na tył białej furgonetki. Pojazd był chłodzony i załadowany kwiatami gotowymi do dostarczenia. Dobrze trafił. W firmie wiedzą, że zlecenia zajmą kierowcy parę godzin, być może nawet całe popołudnie, miał więc mnóstwo czasu. Gdy skończy, wszystko porządnie wyczyści. A zresztą, po diabła zawracać sobie głowę. Zostawi furgonetkę na ulicy w dzielnicy, w której złapał tego gościa, i się oddali. Natomiast jego samochód stał na parkingu apartamentowca, gdzie nikt go nie zauważy.

Stucky pokręcił głową. Jakie to proste. Wpadł na ten pomysł przed dwoma dniami, jadąc samochodem i szukając potencjalnej ofiary. Ta sama kwiaciarnia, ta sama furgonetka, tylko inny kierowca, który dostarczał właśnie kwiaty w środku dnia. Tamten był wyższy, Stucky mógłby włożyć jego T-shirt.

Zwrócił uwagę na to, że kierowca zostawił zapalony silnik i otwarty samochód. Oczywiście, że nie wyłączył silnika, bo to był

samochód chłodziarka. Poza tym stał w spokojnej mieszkalnej dzielnicy, i większość mieszkańców o tej porze była w pracy. Czemu miałby zamykać samochód? Trudno się spodziewać, że ktoś ukradnie kwiaty. A przynajmniej firma nie wierzyła w istnienie takiego ryzyka.

Więc łatwo sobie wyobrazić zdumienie na twarzy kierowcy, kiedy wrócił do samochodu, usiadł znów za kierownicą, zerknął w tylne lusterko i zobaczył, że tylne drzwi są otwarte. Zanim odpiął pas, by wstać i je zamknąć, zimne ostrze podcięło mu gardło.

To był jedyny błąd Stucky'ego. Choć nabrał dużego doświadczenia w posługiwaniu się skalpelem, krew zaplamiła przód T-shirtu kierowcy, przez co logo wyglądało jak abstrakcyjna fantazja na temat polnych kwiatów.

Uśmiechnął się pod nosem. Może nikt by nie zauważył, skoro tak dużo jest kolorów wewnątrz i na zewnątrz. Furgonetka została ozdobiona ogromnymi żółtymi słonecznikami i pomarańczowymi różami z logo w samym środku. To był najbardziej jaskrawy kamuflaż, z jakiego Stucky do tej pory korzystał. Ale był z siebie zadowolony, bo to się świetnie sprawdzi.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY CZWARTY

Kościół św. Jana Chrzciciela

Sala parafialna

Hrabstwo Warren, Wirginia

Delaney włożył granatową marynarkę i dołączył do Turnera oraz Maggie, która właśnie w tym momencie straciła z widoku Turnera.

Cmentarz okazał się klapą. Jeżeli Kolekcjoner w ogóle się pojawił, pewnie dawno już zniknął, śmiejąc się z tego, jak ich wszystkich wykiwał. Ale Maggie coś się nie zgadzało. Bo po co miałyby przyjeżdżać i tylko patrzeć? Takiemu jak on zawsze zależało na tym, żeby się dowiedzieli o jego obecności. Na pewno coś by im zostawił. W końcu to był element jego gry, prawda?

Lustrując wzrokiem salę parafialną, raz za razem sprawdzała jedno wejście i dwa wyjścia, zastanawiając się przy tym, czy to możliwe, żeby Kolekcjoner pojawił się i zniknął przez nich niezauważony. Musiałby się przeciskać przez tłum złożony z krewnych i przyjaciół Tannerów, którzy albo zajmowali miejsca, albo wciąż czekali w kolejce, by napęlić talerze grubymi plasterkami szynki, zapiekаныmi ziemniakami czy domowymi ciastkami.

Dzieci biegały w tę i z powrotem. Maggie widziała dwóch małych chłopców chowających się pod jednym ze stołów, podczas gdy inny wyglądał zza tuzinów bukietów ułożonych przy ścianie.

W jednym końcu sali znajdowała się długa lada, która

oddzielała ją od kuchni. Maggie pamiętała to z dzieciństwa w Green Bay. Ojciec dbał o to, by co niedziela chodzili do kościoła i stanowili część parafialnej społeczności. Kiedy umierał znany ojcu parafianin, brali udział w jego pogrzebie. Nie sądziła, by ojciec był głęboko wierzącym człowiekiem, ale nie tylko szanował, lecz również praktykował tradycję i rytuał. Wątpiła, by wierzył, że medalik, który jej podarował, ochroni ją przed złem, a jednak wykonał ten gest.

A może wierzył? Musi z tym skończyć. Nie chciała znów o nim myśleć ze strachu, że powróci wspomnienie pogrzebu.

Pamiętała, że kobiety z parafii przygotowywały jedzenie na stypę. I choć to rodzina zmarłego kupowała mięso, ziemniaki i chleb, społeczność parafialna zawsze szykowała poczęstunek. Maggie spojrzała na ustawione w szeregu naczynia z sałatkami, talerze z ciastem i ciasteczkami, a także kilka rodzajów placków z owocami. Zdejmowano pokrywki i folię, po czym kładziono jedzenie na ladzie dla długiej kolejki żałobników, żeby mogli coś jeszcze nałożyć na już zbyt pełne talerze.

- Spójrz - cicho powiedział Delaney, wskazując brodą.

W tym momencie Maggie zdała sobie sprawę, że przegrali. Nikt z nich nie wierzył, że Kolekcjoner vel Albert Stucky odważy się wejść w tłum i zaryzykuje, że wpadnie w pułapkę. Dostrzegła Turnera, który z uśmiechem gawędził z jakąś kobietą przez ladę dzielącą ich od kuchni. Na talerzu miał mięso, ziemniaki, sałatki i na dodatek dwa ciasteczka. To był dla niej ostateczny dowód, że ma rację.

Zobaczyła Cunninghama i Gwen. Siedzieli przy stoliku z Lucille Tanner i jej mężem. Dzieci w różnym wieku otaczały dziadków. Nastoletni chłopiec, który wyglądał na oczarowanego Gwen, ściągnął na siebie jej uwagę, a ona z uśmiechem go słuchała.

- Byłam pewna, że on się tu pokaże - powiedziała Maggie. Miała ochotę podrapać się pod peruką, która okazała się jeszcze bardziej niewygodna niż body.

- To nie twoja wina - odparł Delaney.

- Myślisz, że był w kościele?

- Sam nie wiem. - Pokręcił głową. - Cunningham uważa, że nie. On i doktor Patterson przyjechali dość wcześnie. Chociaż... - Urwał i potoczył wzrokiem po stolikach otaczających stół Lucille Tanner. - Zauważył, że jest jakiś ksiądz, którego nikt nie znał. Ale teraz już go nie widzę.

Puls Maggie przyśpieszył. Czemu o tym nie pomyślała? Udawanie księdza było doskonałym pomysłem. Gdyby Kolekcjoner pojawił się w tym przebraniu i oznajmił, że bierze udział w pogrzebie, bo znał jedną ze zmarłych osób, kto by to kwestionował?

- Jak wyglądał? - spytała.

- Wysoki, dobrze zbudowany, ciemne włosy i oczy. Był ubrany na czarno - spodnie, marynarka, koszula i biała koloratka. Wyglądał na księdza.

Stali wciąż w tym samym miejscu i wodzili wokół wzrokiem, obracając głowy. I właśnie wtedy Maggie zobaczyła to na końcu długiego blatu, gdzie stały wszystkie składkowe dania. Wiedziała, że jeszcze dziesięć minut wcześniej tego tam nie było.

- On tu jest.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Wsunęła rękę pod marynarkę i położyła ją na rewolwerze.

- Widzisz go? - Delaney mówił cicho, ale Maggie zauważyła, że też sięgnął po broń.

- Pojemnik na jedzenie na wynos na końcu blatu - powiedziała, nie patrząc w tamtą stronę. Przyglądała się wszystkim, którzy stali albo chodzili po sali. - Jestem pewna, że dziesięć minut temu go tam nie było.

- Cholera. - Delaney przełączył wsadzony w rękaw koszuli mikrofon i pocierając brodę, mówił do mankietu: - Zostawił paczkę. Wschodni koniec blatu.

Maggie zobaczyła, że Cunningham lekko uniósł głowę i zaczął się przyglądać otaczającym go stolikom. Przeprosił swoich towarzyszy, wstał i ruszył w stronę korytarza, gdzie znajdowały się toalety. Patrząc przez salę, Maggie dojrzała, że Turner otworzył jedne z drzwi wyjściowych i wymknął się na zewnątrz.

- Musimy zabrać pojemnik, zanim ktoś po niego sięgnie - powiedział Delaney.

- Ja to zrobię - odparła Maggie.

- Jesteś pewna?

- On chce zobaczyć moją reakcję. Rozglądaj się, szukaj go. Nie sądzę, żeby stąd wyszedł, zanim to otworzę.

Była zdumiona, że nogi lekko jej drżą. Parę chwil wcześniej zapach słonej szynki i ziemniaków pieczonych z serem sprawiły, że ślinka napłynęła jej do ust, ale teraz od tego samego zapachu robiło jej się niedobrze. Kiedy dotarła do blatu, zobaczyła, że na

styropianowym pojemniku są jakieś słowa. Długopis wycisnął ślady na powierzchni. Czyżby tym razem Kolekcjoner w takiej formie przekazał jej wiadomość? Ale kiedy przyjrzała się bliżej, zobaczyła słowa LUCILLE TANNER napisane drukowanymi literami, tak samo jak poprzednie listy.

Żołądek podszedł Maggie do gardła.

Jaką makabryczną część ciała Kolekcjoner zostawił dla tej nieszczęsnej kobiety? Czy nie przeszła już wystarczająco wiele? Na Boga, właśnie pochowała dwóch synów i synową.

- To dla Lucille - z drugiej strony lady powiedziała jakaś kobieta do Maggie. Była drobna i przygarbiona, kuchenny fartuch sięgał jej do kolan. - Zostawiliśmy dla niej kawałek placka.

- Placka? - Maggie miała nadzieję, że na jej twarzy nie widać paniki.

- Z kwaśną śmietaną i rodzynkami. To ulubione ciasto Lucille. Biedactwo od tamtego dnia prawie nic nie je, więc odkroiłyśmy jej kawałek, żeby zabrała do domu.

- Mogę jej to zanieść? - Maggie starała się mówić jak uprzejma pracownica domu pogrzebowego, a nie oszalała z paniki agentka FBI. - Pakuję dla niej jeszcze parę rzeczy.

- No jasne - odparła niczego niepodważająca kobieta. - Dam pani drugie pudełko na wypadek, gdyby zaczęło przeciekać.

Szczęśliwie nie miała pojęcia, że w uszach agentki FBI te słowa były nasycone makabryczną ironią.

Maggie wzięła pojemnik, trzymając go obiema dłońmi z dwu stron. Kobieta spojrzała na nią, jakby była przesadnie ostrożna, ale postawiła na ladzie pudełko. Maggie włożyła do niego pojemnik i podziękowała, po czym ruszyła do drugiego wyjścia.

Kiedy Turner ją zobaczył i dostrzegł pojemnik, powiedział:

- Chodźmy na tył suwa. - Ruszył pierwszy.

Na mniejszym parkingu za kościołem nikogo nie było. Duży parking znajdował się po drugiej stronie naprzeciwko głównego wejścia.

Turner otworzył tylne drzwi i sięgnął po plastikowy woreczek na dowody. Podał Maggie parę lateksowych rękawiczek, wciąż bacznie się rozglądając.

- Chcesz, żebym tutaj otworzyła? - spytała.

Uniósł mankiet do warg i powiedział:

- Parking na tyłach. Mamy to w suwie. Możemy otworzyć?

W swojej słuchawce Maggie usłyszała stanowczą krótką odpowiedź Cunninghama:

- Tak.

Wiedziała, że razem z Delaneyem szef nadal szuka Kolekcjonera. Czy Stucky przeniósł się gdzieś, gdzie nie mogli go widzieć, za to on mógł ich obserwować? Czy to możliwe, że siedział już na zewnątrz w jednym z samochodów?

Ta myśl była dla niej wprost nie do wytrzymania. Ręce jej się trzęsły, kiedy otwierała pojemnik. Pokrywka aż odskoczyła.

- Co to jest? - spytał Turner.

- Placek z kwaśną śmietaną i rodzynkami.

To była cała zawartość pojemnika. Tylko kawałek ciasta.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Stucky czekał w kolejce przy bramce ochrony. Obserwował, jak to działa. Ochroniarz prosił o prawo jazdy i pytał o nazwisko osoby, z którą gość chce się zobaczyć. Potem porównywał z listą uprawnionych do wejścia. Jeśli wszystko się zgadzało, podnosił szlaban. Ale samochody firm usługowych puszczał bez sprawdzania.

Cóż, taki system aż się prosi, żeby go złamać.

Stucky naciągnął czapkę z daszkiem na czoło, jakby naprawdę się śpieszył, żeby dostarczyć towar i wrócić na trasę. Jeszcze dwa samochody.

Myślał o agentce Maggie. Udało mu się ściągnąć ją na tereny, po których grasował. Już samo to go podniecało. Wiedział jednak, że coraz bardziej ryzykuje. Najlepiej będzie zapiąć wszystko na ostatni guzik, nawet trochę docisnąć, dopracować do perfekcji.

Po przeprowadzce do Wirginii działał w okolicach Richmond. Miał za sobą godzinę drogi w złym kierunku. Podróż do Devil's Backbone zabierze mu ponad dwie godziny, a on nie lubił spędzać zbyt wiele czasu w drodze. Ale może się to okazać konieczne, jeżeli chce pozostać nieprzewidywalny. A taki powinien być, bo inaczej nie złapie ładnej agentki w pułapkę.

Wyobrażał sobie, jak by to było porzucić ją gdzieś w środku lasu. Założyłby się, że stanowiłaby dla niego nie lada wyzwanie, jak żadna inna do tej pory. Równocześnie przypominał sobie, że podczas ostatniej wyprawy nie był w stanie odnaleźć Susan Fuller. Szybko pozbył się studentki, dzięki czemu miał dodatkową

godzinę na polowanie, ale nie mógł znaleźć Susan. Dałby głowę, że będzie się trzymała blisko szopy. Zwykle tak robiły, bo czuły się tam bezpiecznie.

Zapasy jedzenia zniknęły, woda w butelkach się kończyła, Susan Fuller wyciągnęła nawet wiadro, które zostawił pod dachem, żeby nałapać deszczówki. Ale nigdzie nie mógł jej znaleźć. Pewnie wpadła w jedną ze skalnych szczelin, których tu tak wiele, albo do jaru i złamała kark.

Tak się stało z tą durną dziewczyną w spandeksie, którą porwał z parkingu centrum fitnessu. Wyglądała na bardzo sprawną i wysportowaną, miała długie nogi i świetną figurę, nad którą z pewnością długo i ciężko pracowała. Ale wystarczyło, że wypuścił ją w lesie na odludziu, i wpadła w szal. Ledwie zdołał wypuścić jedną strzałę, kiedy spanikowała i pognęła przed siebie, oglądając się na niego przez ramię. Kręciła głową we wszystkie strony, tylko nie patrzyła pod nogi.

Głupia suka. I co za strata czasu i wysiłku.

Nadeszła jego kolej. Podjechał do ochroniarza, ale nim się zatrzymał, dostał sygnał, że ma jechać dalej.

Jakie to proste. Musiał powściągnąć uśmiech.

Dalej były zamknięte na klucz frontowe drzwi, ale już wiedział, jak to działa.

Zaparkował i wziął do rąk jeden duży bukiet i dwa mniejsze. Musiał użyć łokcia, żeby nacisnąć guzik domofonu, a gdy to zrobił, podniósł wzrok na kamerę ochrony. Zamek kliknął bez słowa, młoda kobieta otworzyła mu drzwi.

- O rety! Są naprawdę śliczne. - Odsunęła się na bok, otwierając drzwi tak szeroko, aż uderzyły w ścianę. - Był pan tu już?

- Nie, jeszcze nie.

- Mogę wziąć te mniejsze.

Oddał jej mniejsze bukiety, przenosząc duży do drugiej ręki. Udawał, że jest niewiarygodnie ciężki.

- Pamięta pan nazwisko? - spytała, starając się odszukać wizytówki w bukietach, ale nie była zdziwiona, że nic nie znalazła.

- Wszystkie są dla Tanner.

- No jasne. - Prowadziła go korytarzem. - Biedactwo. Dzisiaj jest pogrzeb jej ojca. Pewnie stąd te kwiaty.

- Zapewne - odparł grzecznie, nie okazując zainteresowania.

- Jesteśmy na miejscu. - Zapukała do drzwi, a potem je otworzyła.

- Cześć, Katie, mamy dla ciebie piękne kwiaty.

I znów przytrzymała drzwi dla Stucky'ego. Znalazł miejsce, gdzie mógł postawić duży wazon, dwa mniejsze bukiety postawiła sama na stoliku. Pomieszczenie go zaskoczyło. Poza łóżkiem był tam kącik wypoczynkowy i dwoje drzwi. Jedne, otwarte, prowadziły do drugiej sypialni. Za drugimi zapewne mieściła się łazienka.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego i klasnęła w ręce, zadowolona z prezentów, jakby pochodziły od niego.

- Bardzo dziękuję - powiedziała.

Stucky tylko skinął głową.

Kiedy kobieta wyprowadziła go z pokoju Katie, spytał, czy jest tu łazienka, z której mógłby skorzystać, zanim znów wyruszy w drogę. Wskazała drzwi na końcu korytarza, gdzie mieścił się pokój Katie. Siłą woli powstrzymał się przed potrząśnięciem głową, wymacując strzykawkę w kieszeni kurtki. Dziewczynka była bardzo drobna, sporo mniejsza, niż się spodziewał. Podwójna dawka, którą przygotował, mogłaby okazać się dla niej nawet zabójcza.

Zbył łatwo mu to szło.

Co więcej, zauważył, że kiedy skorzysta z łazienki, nikt się nie zorientuje, gdy wróci do pokoju Katie Tanner.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Quantico

Nigdy nie widziała Cunninghama w tak złym humorze, tak poirytowanego. Ona zaś była więcej niż zdeterminowana, żeby dowiedzieć się na temat Alberta Stucky'ego tego wszystkiego, co tylko możliwe.

Od powrotu z pogrzebu przebywała w swoim pokoju i w ciągu paru godzin w ciasnym pomieszczeniu zrobiła niezły bałagan. Sterty teczek zalegały na blacie biurka, przebranie, w którym była na cmentarzu, leżało rzucone na krzesło, a ponieważ na samym wierzchu położyła perukę i okulary, wyglądało to jak jej dziwaczny sobowtór, który zaczyna się rozpuszczać. Maggie włożyła dżinsy i T-shirt z logo Uniwersytetu Wirginia. Drukowała i sortowała wszystkie znalezione przez siebie informacje, choćby najdrobniejsze. Robiła nawet notatki na tablicy suchościeralnej.

Kiedy zadzwonił jej telefon, chwyciła go po pierwszym dzwonku.

- Maggie O'Dell, słucham?

- Witam, agentko O'Dell. Mówi Michael Hogan.

W pierwszej chwili nie skojarzyła nazwiska. Potem, gdy sobie uświadomiła, z kim rozmawia, poczuła wyrzuty sumienia i powiedziała ze skruchą:

- Przepraszam, że się do pana nie odezwałam.

- Cieszę się, że panią złapałem. Wiem, już po siedemnastej, ale chciałem się upewnić, czy dostała pani moją przesyłkę.

- Tak, dostałam. - Próbowała policzyć, kiedy to było. Wydawało jej się, że to już parę miesięcy, a w rzeczywistości minął ledwie tydzień. Mimo wszystko dla policjantów, którzy zajmują się tą sprawą, tydzień z mordercą na wolności może znaczyć całe życie. Sama już to wiedziała aż nazbyt dobrze.

- Przepraszam, detektywie Hogan - powtórzyła. - Niestety tu też mamy mordercę, który zajmuje mi za dużo czasu.

- Świetnie to rozumiem. Miałem tylko nadzieję, że świeżym okiem dostrzeże pani coś, co nam umknęło.

- Oczywiście. Obejrzałam zdjęcia i przeczytałam raport koronera. Pojawiło się coś nowego od tamtej pory?

- Nie, co bardzo mnie niepokoi. Niby wygląda to tak, jakby się spakował i przeprowadził do innej części kraju, a przecież wiem, że seryjni mordercy trzymają się znanych terytoriów. Czyli co? Przyczaił się i czeka na właściwy moment?

- Prawdę mówiąc, nie wszyscy trzymają się jednego miejsca - odparła, a w głowie już miała całą listę. - Richard Ramirez, zwany Nocnym Prześladowcą, przeniósł się z Los Angeles do San Francisco, kiedy zdał sobie sprawę, że media i policja w Los Angeles dysponują jego rysopisem uzyskanym od paru osób, którym udało się przeżyć. Ted Bundy mordował w kilku stanach, chyba sześciu, o ile mnie pamięć nie myli. Mamy też Donalda Henry'ego Gaskinsa. Jechał wybrzeżem na południe, przemieszczał się. Gaskins przestał mordować na krótki okres, ale tylko dlatego, że był w więzieniu.

Hogan milczał, a Maggie zdała sobie sprawę, że czasami przesadza z czymś, co dla innych jest nieistotne.

- W każdym razie - przerwała ciszę - wiemy już, że mordercy głęboko zaburzeni osobowościowo i o wysokim IQ bywają bardziej mobilni. Są lepiej zorganizowani. Planowanie i przewidywanie

sprawia im swoistą satysfakcję i jest czymś w rodzaju nagrody. Zwykle też desperacko pragną powiadomić innych, jacy to są zorganizowani i sprytni.

- Więc co mam robić?

- Prześlę panu informację, jak uzyskać dostęp do Programu Ścigania Brutalnych Przestępców ViCAP. Wiem, że to irytujące, ale FBI pracuje nad tym, żeby takie jednostki porządku publicznego jak pańska miały dostęp do systemu przez internet. Sama też poszukam, ale pan może trafić na coś, co pan rozpozna, a co mnie nic nie powie.

- Co na przykład?

- Typ ofiary. Charakterystyczny rodzaj działania sprawcy.

- Sądzi pani, że już to robił?

- To tylko przeczucie, ale tak. Niestety ViCAP raczej nie odnotowuje zgonów, które uznano za przypadkowe utonięcia, chyba że jest w nich coś podejrzanego. Wtedy zostają włączone do systemu.

- To już coś na początek. Dziękuję.

Nie była z siebie dumna. Podzieliła się z nim przeczuciem, intuicją, ale niczym więcej. Gdy zakończyła rozmowę, od razu zaczęła szukać przesyłki od Hogana. Położyła ją na widoku, na zabałaganionym biurku, i przysięgła sobie, że schowa te dokumenty do teczki i zabierze do domu.

Sprawa Hogana kazała jej wrócić myślą do Kolekcjonera. Czemu wcześniej tego nie skojarzyła? Stwierdzili przecież z Ganzą, że już wcześniej zabijał. Ciało radnej znaleziono na obrzeżach Richmond, ale została porwana z Bostonu. Odciski palców pobrano w jednym z hrabstw w Massachusetts. No i brązowa papierowa torba pozostawiona na parkingu przy międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć w pobliżu Bostonu.

Może odpowiedzi na pytanie, kim jest Albert Stucky, należy szukać nie w jego obecnej działalności, ale w tym, gdzie już zaznaczył swoją obecność.

Usiadła przed komputerem i znów zaczęła poszukiwania. Tym razem zacznie od początku, tak sobie postanowiła. Ale ledwie zdążyła wpisać kilka słów, gdy przerwało jej stukanie do drzwi.

- Proszę.

Podniosła wzrok i niemal nie uwierzyła, że to Cunningham, bo było już późno. Rękawy koszuli miał porządnie zrolowane, kołnierzyk zapięty, krawat idealnie prosty.

- Miałem nadzieję, że jeszcze panią zastanę.

Powiódł wzrokiem po jej bałaganie. Zdała sobie sprawę, że jest zbyt zmęczona, żeby czuć się z tego powodu zażenowana. Zobaczyła, że zerknął na jej tablicę - dużo mniejszą wersję jego tablicy - i Maggie odniosła wrażenie, że leciutko uniósł kącik warg.

- Psy szeryfa Olsona coś znalazły.

Devil's Backbone. Zapomniała, że szeryf z Shenandoah wciąż szukał kobiety, którą widziała Susan Fuller. Tego bezwładnego ciała, które Kolekcjoner wyciągnął z bagażnika. Z miny Cunninghama zgadywała, że ta kobieta nie miała tyle szczęścia co Susan.

- Znaleźli ciało tej kobiety?

- Tak. Ale jest gorzej, niż się spodziewaliśmy. - Podrapał się w brodę. - Wygląda na to, że znaleźli masowy grób.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Ojciec nazwałby go mięczakiem. Ale co to za wyzwanie skrzywdzić dziecko?

Stucky powoli jechał przez dzielnicę mieszkaniową, aż wreszcie zaparkował furgonetkę kwiaciarni dwie przecznice od miejsca, gdzie zostawił swój samochód. Wiedziony nawykiem, jak zawsze wytarł wszystkie powierzchnie wewnątrz samochodu, których mógł dotknąć. Choć nie było to konieczne, bo od wielu lat wiedział, że odciski jego palców najwyżej mogą doprowadzić do jego dawno już minionego życia, które nie miało żadnego związku z ani jednym z jego nowych wcieleń. Nie posiadał żadnych rachunków bankowych, żadnych nieruchomości ani kart kredytowych, w ogóle nic w tym rodzaju. A jednak bardzo nie chciał łączyć porażki, której zaznał tego dnia, z Albertem Stuckym. Bo właśnie tak to postrzegał, jako porażkę.

Zapukał do drzwi pokoju Katie Tanner i wszedł znów do środka. Spytał, czy go poznaje.

- To pan przyniósł mi te wszystkie piękne kwiaty.

- Tak, zgadza się. Ale czy pamiętasz mnie jeszcze skądś?

Patrzył jej w oczy, zaciskając palce na strzykawce w kieszeni kurtki. Cholerna strzykawka pulsowała przy jego kciuku, jakby miała własne bijące serce. Dziewczynka bacznie mu się przyglądała. Jej spojrzenie mówiło mu, że nigdy wcześniej go nie widziała.

Potem go zapytała:

- Jest pan kolegą mojego taty?

Wtedy Stucky nagle zrozumiał, co się musiało wydarzyć w domu Tannerów. Ojciec Katie uciekał nie dlatego, że sądził, że zdoła uciec. Zrobił to, by chronić córkę. Kierowała nim bezwarunkowa ojcowska miłość. Coś, czego Stucky nigdy nie doświadczył.

Powiedział dziewczynce, że nie znał jej taty zbyt dobrze, ale że to był dzielny człowiek.

Potem Albert Stucky wyszedł z pokoju Katie.

Przeszedł przez zamknięte na klucz drzwi antywłamaniowe. Zaczekał, aż strażnik podniesie szlaban, a potem odjechał.

Mówił sobie, że zrobił tak, ponieważ dziewczynka go nie rozpoznała, więc nie stanowiła żadnego zagrożenia. A jednak gdzieś tam w głębi coś natrętnie mu podpowiadało, że to nie był prawdziwy powód.

Kiedy wrócił do swojego niewielkiego mieszkania, miał bardzo mało czasu na prysznic i przebranie się, żeby zdążyć do pracy. Coś w nim wzbierało. Złość, którą nieustannie tłumił, znów zaczynała się tlić. Przepychała się na zewnątrz. Zazwyczaj udane łowy – takie, które stanowiły dla niego wyzwanie – trzymały ją z daleka.

Tego właśnie potrzebował.

Koniec z przyglądaniem się, obserwowaniem.

Szok, jaki przeżywali ci, którzy odkrywali dzieło jego rąk, zaczynał go już nudzić. Nadeszła pora, by stopniowo podnosić poziom, pójść dalej. Musi stworzyć plan i przygotować się do kolejnego wielkiego polowania. Od razu poczuł, że ucisk w piersi maleje.

Tak, musi zacząć kłaść podwaliny. Potem wymyśli, jak zwabić agentkę Maggie w swoje sidła.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Las Państwowy Devil's Backbone

Sądziła, że do zachodu słońca zostały im dwie godziny, może nawet tylko godzina, zanim w lesie zapadnie ciemność. Ale Keith Ganza chciał się zorientować w terenie, żeby dobrze przygotować zespół do pracy na następny dzień. Dzień, który pod względem fizycznego wysiłku i emocjonalnego napięcia zapowiadał się na wyjątkowo ciężki.

Maggie brakowało już tchu, a ledwie opuścili drogę dojazdową, zapewne jedyną, która prowadziła w głąb lasu. Do celu muszą dotrzeć na piechotę. Kiedy mozolnie maszerowali po skałach, brnęli przez błoto i przeciskali się między drzewami - czasami było tak ciasno, że niemal nie do przebycia - zdała sobie sprawę, że jeśli chodzi o sprzęt potrzebny do wykonania zadania na miejscu, to muszą zredukować go do absolutnie niezbędnego minimum. Zarazem nie bardzo mogła sobie wyobrazić, jakim sposobem zdołają wynieść stamtąd ciała.

Szeryf Olson przydzielił im jako przewodnika jednego ze swoich młodych zastępców. Wysoki i chudy mężczyzna, którego długie nogi niosły bez wysiłku, wciąż wyprzedzał Maggie i Ganzę, więc co chwila musiał przystawać. Zastępcy Ryanowi to nie przeszkadzało. Wydawał się podekscytowany tym, że go wybrano. Poważnie traktował obowiązki, cały czas wspomagał się GPS-em, upewniając się, że nie zboczyli z kursu.

Maggie nie mogła uwierzyć, że Kolekcjoner korzystał z tej

ścieżki, żeby pozbyć się ofiar. Musiało być jakieś inne dojście.

- Już niedaleko - zawołał do nich zastępca Ryan, czekając na przedzie.

Maggie dziwiła się, że Ganza szedł tuż za nią. Był w lepszej formie, niż się spodziewała, choć nazajutrz z ciężkimi plecakami będzie o wiele trudniej.

- Od tego miejsca musimy zachować ostrożność - powiedział zastępca Ryan. - Trzeba uważać na nagłe spadki terenu i strome jary. Do tego zaczyna się szarówka, więc trudno je dostrzec, dopóki się nad nimi nie stanie.

- To jedyna droga? - spytał Ganza, kiedy dogonili zastępcę szeryfa i na chwilę się zatrzymali. - Nie wyobrażam sobie, że ciągnął tędy ciało.

- Tą drogą prowadził pies.

Ryan wskazał kolejną odblaskową pomarańczową taśmę przymocowaną do gałęzi na wysokości oczu. Wspomnił o tych taśmach, kiedy wyruszali. Maggie widziała ich wiele po drodze, ale tylko dlatego, że szukała ich wzrokiem. Nie była pewna, czy inaczej by je zobaczyła.

- Przewodnik psa powiedział, że to mógł być skrót tego gościa. Prawdopodobnie tędy szedł, kiedy był tu po raz ostatni.

- Więc może być inne dojście?

- Jasne. Po prostu nie chcemy się zgubić. - Ryan wskazał ręką, jakby mówił: Rozejrzyjcie się tylko.

- Znaleźliście szopę? - spytała Maggie.

- Pamięta pani, gdzie zaparkowaliśmy? Trzeba iść dalej tą drogą, a potem wspiąć się po skalistej ścianie. Pies znalazł też szopę. - Przystanął i uśmiechnął się. - Oczywiście pies nie wspiął się po ścianie, ale tak w nią drapał, że przewodnik się wspiął.

Maggie miała wrażenie, jakby cały czas się wspinali, jakby szli

niekończącym się wzniesieniem, miejscami tak stromym, że musiała się chwycić korzeni czy czegokolwiek, co wystawało ze skał lub ziemi. Ale teraz schodzili w dół i już się przekonała, o czym mówił zastępca Ryan. Cienie połykały ostatnie promienie słońca, które przefiltrowane przez drzewa wpadały na poszycie.

W końcu znaleźli się na bardziej płaskim terenie obok kępy skąpych krzewów, gdzie zastępca szeryfa zatrzymał się i wyciągnął rękę, żeby i oni przystanęli. Wyglądało to tak, jakby po drugiej stronie krzewów ziemia się otworzyła. Jar miał jakieś trzy metry szerokości i dziewięć długości, zwężając się na obu końcach, co przypominało otwarte usta. Ale zaglądając w głąb, Maggie nie zobaczyła dna.

Ryan odpiął od paska latarkę i powiedział:

- Szeryf Olson stara się zdobyć generator. Trudno zobaczyć coś w tym dole. Nawet w środku dnia jest zacieniony.

Włączył latarkę i zaczął przesuwając promień światła po skalnych ścianach. Zatrzymał się, gdy latarka oświetliła bladą nabrzmiałą twarz ze splątanymi włosami i szeroko otwartymi oczami, które patrzyły prosto na nich, do góry.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Strasburg, Wirginia

Usiłowała wyjaśnić Gregowi, czemu tej nocy nie będzie jej w domu. Spodziewała się, że nagra wiadomość, więc była rozczarowana, kiedy odebrał telefon.

- Brzmi jak impreza - skomentował.

Restauracja obok Fairfield Inn dla mnóstwa ludzi była ulubionym lokalem nawet o dziesiątej w weekendowy wieczór. Oba lokale mieściły się blisko skrzyżowania międzystanowej numer osiemdziesiąt jeden z międzystanową sześćdziesiąt sześć. Wśród gości byli kierowcy ciężarówek i turyści, a także miejscowi. Gdyby wiedziała, że Greg odbierze telefon, znalazłaby spokojniejsze miejsce.

- To jest przy międzystanowej - odparła. - Zresztą nie mamy dużego wyboru.

Nie chciała mu mówić o Kolekcjonerze, a już na pewno nie chciała zdradzać żadnych szczegółów dotyczących sprawy. Wiedziała, że z miejsca by wygłosił wykład. Ale wyglądało na to, że wcale się nie przejął. Prawdę mówiąc, nie zadał żadnych pytań związanych ze sprawą, nie chciał wiedzieć, z jakiego powodu spędzi noc poza domem. Zamiast tego usłyszała całkiem inną reprimendę:

- Dzwoniła twoja matka.

Poczuła ucisk w żołądku.

- Wszystko w porządku?

- Wiedziałaabyś, gdybyś się do niej odezwała i spytała, jak się czuje. - W jego głosie nie było współczucia, nic w jego tonie nie przypominało rozmowy z poprzedniego wieczoru, kiedy powiedział, że to nie jej wina.

Nie dyskutowała z nim, powiedziała tylko:

- Masz rację. Zadzwonię do niej rano.

To go uciszyło. Myślała nawet, że straciła zasięg. Ale potem, całkiem jakby musiał mieć ostatnie słowo, dodał:

- Cóż, no to okej. Na razie.

Kiedy odłożyła telefon, zauważyła, że Turner na nią patrzy. W jego ciepłych brązowych oczach dostrzegła szczere współczucie, aż musiała odwrócić wzrok.

Turner i Cunningham przyjechali przed zapadnięciem nocy. Spotkali się z Ganzą i Maggie w restauracji kilka kroków od hotelu. Cunningham już zarezerwował im pokoje. Ganza zadzwonił do współpracowników i podał im długą listę rzeczy, które mieli przywieźć ze sobą rano.

Zaraz po przyjeździe Cunningham i Turner chcieli usłyszeć relację Ganzy i Maggie, która marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do pokoju, wziąć gorący prysznic i skulić się pod kołdrą. Chciała zablokować wspomnienie oczu tamtej kobiety, które na nią patrzyły. To w niczym nie przypominało oglądania zdjęć z miejsca zbrodni. I w niczym nie przypominało znajdowania części ludzkiego ciała w pojemnikach na jedzenie na wynos. Ta kobieta pewnie jeszcze żyła kilka dni wcześniej, a teraz leżała połamana, pokaleczona i wrzucona do jaru jak worek śmieci.

Czy została poświęcona po to, by Kolekcjoner mógł podarować Maggie kolejny prezent?

Aż do tej chwili nie przyszło jej to do głowy. Nagle w restauracji

zrobiło się za gorąco. Miała wrażenie, że podłoga się przechyla, przyłapała się na tym, że chwyta się blatu stolika. Potem podniosła wzrok, by sprawdzić, czy ktoś to zauważył.

Dzięki Bogu, nie.

Cunningham i Turner z uwagą słuchali Ganzy. Wiedziała, że coś mówi, bo poruszał wargami, ale szum w uszach tłumił wszelkie inne dźwięki. Sięgnęła po wodę z obawą, że szklanka ześlizgnie się ze stolika, zanim ją chwyci. Łapczywie wypila spory łyk, a potem już spokojniej popijała.

Oddychaj. Wdech, wydech. Po prostu oddychaj.

W końcu usłyszała ich głosy. Przysunęła się z krzesłem, żeby oprzeć się o stolik. Sala ledwie wróciła do równowagi, kiedy mężczyźni spojrzeli na Maggie.

Zauważyli jej dziwne zachowanie?

Nie, nie wyglądali na zaniepokojonych. Czekali, aż odpowie na pytanie. Tyle że go nie usłyszała.

Wtedy właśnie podeszła do nich kelnerka, przyciągając ich uwagę. Przyjęła od nich zamówienie. Pozwoliła, żeby Turner ją czarował, coś im poleciła z karty. I uratowała Maggie przez wyznaniem, że może jednak nie czuje się najlepiej.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Gainesville, Wirginia

Zaginęła kolejna kobieta. Rita postawiła na blacie tacę z pustymi szklankami, nie zdejmując wzroku z ekranu telewizora umieszczonego w rogu. Tym razem padło na studentkę college'u, na Jessicę Todd, lat dwadzieścia jeden, pochodzącą z Manassas. Ostatnim razem widziano ją w piątek wieczorem, jadła kolację i piła drinki z przyjaciółmi w Ollie's Bar. Jej samochód znaleziono na parkingu.

Ollie's był dosłownie parę kroków dalej. O wiele za blisko. Ritę przeszedł dreszcz.

Na zdjęciu, które pokazano w telewizji, Jessica wyglądała na mniej niż dwadzieścia jeden lat. Rita nie mogła uciec od myśli, że nie była dużo starsza od jej córki Carly.

- Wszystko w porządku?

Podskoczyła przestraszona, bo nie usłyszała, jak Drew się do niej zbliżał.

- Biedna dziewczyna. - Wskazała ekran. - Jak myślisz, co się z nią stało?

Podniósł wzrok i wzruszył ramionami, jakby nie miał pojęcia, o kim ona mówi, chociaż zdjęcie dziewczyny pojawiało się we wszystkich kanałach informacyjnych. Wziął kartkę z zamówieniem z tacy Rity i sięgnął po butelki i kieliszki.

- Myślisz, że to ten sam gość, który porwał tę radną?

- Ona była chyba z Bostonu? - Nie podniósł wzroku, wrzucając

lód do szklanek.

- Pamiętam, że porwano ją w Bostonie. Mówiłeś, że z parkingu restauracji. Jednej z tych, które należą do pana Gibsona.

- No tak. - Nie sprawiał wrażenia zainteresowanego.

- Ale jej ciało znaleziono w okolicy Richmond.

Czy była jedyną osobą, która zapamiętała te wszystkie detale?

Drew zajął się nalewaniem alkoholu. Lubiła na niego patrzeć. Jego ręce poruszały się tak sprawnie i pewnie. W sposobie, w jaki przygotowywał drinki, były dyscyplina i organizacja, nie tylko pamięć o tym, w jakiej kolejności nalewać na przykład składniki Tequila Sunrise. Widziała, dlaczego chciał zostać szefem kuchni. Posługiwał się dłońmi tak samo jak Carly, oboje poświęcali się swojej pasji i za każdym razem chcieli stworzyć arcydzieło.

Drew przyłapał ją na tym, jak go obserwowała, i uniósł ręce, udając, że się poddaje.

- Co? - spytał. - Nie jestem dość szybki?

Ale potem się uśmiechnął. Do niej, tylko do niej.

Uśmiech Drew był taką rzadkością, że nie zdołała powstrzymać rumieńca. Na szczęście już wrócił do pracy, więc Rita próbowała skupić się na czymś innym, na czymkolwiek poza niepokojącym i miłym ciepłem, które rozchodziło się po jej ciele. W tym właśnie momencie dostrzegła niewysokiego łysego mężczyznę z mopem i wiadrem, który szedł korytarzem, żeby posprzątać w toalecie.

Odwróciła się znów do Drew i spytała:

- Co się stało z Morganem?

Drew wzruszył ramionami, jakby nie wiedział i nic go to nie obchodziło.

Prawdę mówiąc, Rita nie znała godzin pracy Morgana. Od chwili, gdy wspomniała o nim FBI, była trochę podenerwowana.

Drew stawiał gotowe drinki na tacy, po dwa jednocześnie.

Przesunął tacę w stronę Rity, żeby łatwiej jej było po nią sięgnąć. Był taki troskliwy.

Tymczasem Rita usiłowała sobie przypomnieć, co takiego powiedziała agentce Maggie O'Dell. Wciąż miała jej wizytówkę, schowała ją do portmonetki. Czy to możliwe, że FBI przesłuchiwało Morgana, bo nabrało wobec niego podejrzeń tylko dlatego, że ona coś złego o nim powiedziała? Ale o ile dobrze pamiętała, podczas rozmowy z agentką O'Dell zastrzegła, że to tylko takie jej wrażenie. Chociaż nie mogła sobie dokładnie przypomnieć swoich słów.

Wzięła tacę. Miała nadzieję, że nie wystraszyła Morgana. Jeszcze bardziej liczyła na to, że Morgan nie miał pojęcia, co powiedziała FBI. Kto wie, do czego był zdolny ten dziwak?

Znów wróciła myślą do Jessiki Todd i do tego, jak blisko ich restauracji znajdował się bar Ollie's. Bez trudu można by po zakończeniu u nich ostatniej zmiany czekać na parkingu Ollie's na niczego niespodziewającą się i podchmieloną studentkę college'u.

Ritą wstrząsnął dreszcz, pokręciła głową. Musi przestać oglądać wiadomości.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Środa

Las Państwowy Devil's Backbone

Po raz pierwszy wykorzystwała podręczną torbę. Dotąd leżała w kącie za drzwiami w jej pokoju w biurze. Co dwa czy trzy miesiące odświeżała jej zawartość. Teraz cieszyła się, że tak rozsądnie ją zaopatrzyła, mimo że dotąd jej nie używała. Przeniosła część artykułów do małego plecaka: batoniki proteinowe, balsam ChapStick, maść Vicks VapoRub (którą dodała do torby po wizycie w przyczepie Tannerów), butelki z wodą, lateksowe rękawiczki, profesjonalną latarkę i lekką kurtkę przeciwdeszczową, którą porządnie zrolowała.

Miała na sobie T-shirt, buty turystyczne, dżinsy i koszulę z długimi rękawami, którą zostawiła rozpiętą, i podwinęła rękawy. Lato było dość zimne i deszczowe, i choć wyszło słońce, nie byłaby zdziwiona, gdyby w górach dopadła ich burza.

Zastępca Ryan, który okazał się doświadczonym traperem, dał im chustki. Powiedział, że zostały nasączone naturalnymi olejkami i jeśli zawiążą je na ramieniu albo na szyi, ochronią przed komarami i innymi insektami.

Maggie naszykowała się na deszcz, wilgoć, zmiany temperatury, insekty i smród rozkładającego się ciała. Nie mogła jednak przygotować się na to, jak zareaguje na widok znaleziska w jarze. Piekło, w którym Kolekcjoner urządził grób dla swoich ofiar.

Choć była wyedukowana medycznie i potrafiła wyłączyć emocje podczas autopsji, przekonała się podczas oględzin w przyczepie, że istnieje ogromna różnica między obserwowaniem pracy koronera a odkryciem rozkładającego się ciała.

Szeryf Olson znalazł drogę, którą jego ludzie zaciągnęli do lasu przenośny generator, paliwo, latarki oraz sprzęt niezbędny do zainstalowania wciągarki. Jak poprzedniego wieczoru zasugerował Ganza, w lesie była lepsza, bardziej ubita droga, która prowadziła do jaru. Co prawda była też o wiele dłuższa i kręta, i doprowadziła ich na miejsce z przeciwległej strony.

Wszyscy – Ganza, jego dwóch techników, Turner, Cunningham i Maggie – nieśli plecaki z dodatkowym sprzętem. Maggie była zaskoczona, że dołączył do nich zastępca dyrektora. Przypuszczała, że w ten sposób radził sobie z frustracją. Kolekcjoner ich ograł. Ale nie przewidział, że znajdą tę skarbnicę informacji.

Natychmiast zabrali się do pracy, czyli rozłożyli wodoodporne brezentowe plandeki i postawili namiot. Z tej strony jaru teren był bardziej płaski i porośnięty trawą oraz koniczyną, a nie cały skalisty. W baldachimie drzew nad ich głowami była też otwarta przestrzeń, więc przedostawało się więcej słońca.

Ludzie szeryfa Olsona uznali, że jest zbyt stromo, żeby po ścianie zejść na dno jaru. Stojąc na skraju i patrząc w dół, Maggie zdała sobie sprawę, że jar nie był aż tak głęboki, jak się obawiała. Miał ze trzy metry. I tylko jedna boczna ściana była skalista. Pozostałe to była ziemia. Zastępcy szeryfa opuścili w dół teleskopową drabinę, zabezpieczając ją na dnie i na górze i ustawiając pod odpowiednim kątem, żeby spełniała funkcję rampy, a Ganza i jego ludzie mogli ze sprzętem schodzić na dół i wracać na górę bez konieczności trzymania się szczebli.

Wprawdzie gdy stali na górze, docierały do nich promienie słońca, jednak Maggie wiedziała, że nie sięgną dna jaru. Zobaczyła, że Ganza i technicy przymocowali latarki na głowach, choć ludzie szeryfa świecili w dół latarkami. Mieli też maski, które na razie wisiały im na szyjach. Gotowy do zejścia po drabinie Ganza podał Maggie maskę i latarkę czołową. Przyłapała się na tym, że głośno przełknęła. W ustach i gardle miała kompletnie sucho.

To było to.

Czy jest lepszy sposób, by zrozumieć szaleńca, niż zobaczyć jego dzieła? Tak robią profilerzy. Tyle że ona do tej pory – i zbyt już długo – robiła to w wygodnym i bezpiecznym, choć zagraconym pokoju w biurze. Teraz to było całkiem coś innego niż oglądanie zawartości pojemników na jedzenie na wynos, które podrzucał Stucky. Nie mając ciała, nie widząc szeroko otwartych oczu, które zdawały się na nią patrzeć – jak oczy tej kobiety w dole – o wiele łatwiej mogła zdystansować się emocjonalnie od palca, nerki czy śledziony.

– Jesteś gotowa? – spytał Ganza.

Włożyła rękę do plecaka w poszukiwaniu Vicks VapoRub. Miała nadzieję, że ręce jej się nie trzęsą, ale nie mogła być tego pewna. Kiedy zauważyła, że Ganza jej się przygląda, podała mu mały pojemnik.

Ganza posmarował się i pokręcił głową.

– Na zawsze zostanie mi na wąsach. Nienawidzę tego.

Ale czekał na nią bez cienia zniecierpliwienia. Doceniła to, że widział jej niepokój, a jednak nie starał się tego podkreślić, pytając, jak się czuje.

W końcu powiedziała:

– No to do dzieła.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Przypomniała sobie swoje szkolenie z medycyny sądowej. Starła się skoncentrować uwagę na szczegółach. Obserwuj i dokładnie wszystko badaj. Jej oczy przywykły już do półmroku. W tym dole było tak naprawdę więcej miejsca, niż się spodziewała. Ale były też sterty śmieci i ziemi.

Zaczęli od wyniesienia ciała kobiety. Maggie już wiedziała, jak bardzo nie znosi czerwi. Teraz z bliska patrzyła na nie, jak przyczepione do miękkich tkanek robią swoje, nawet kiedy technicy starali się je strzepnąć. Niektóre odpadły, kiedy podnieśli ciało i umieścili w specjalnym koszu dostarczonym przez biuro szeryfa. Przymocowali je linami, a potem czekali, aż Cunningham i Turner uruchomią wciągarkę.

Na widoku znajdowało się tylko jedno ciało, chociaż Maggie nie musiała zbytnio wysilać oczu, by wiedzieć, że było ich tam więcej. Ale pozostałe niestety wymagały częściowego odkopania. Widziała już kilka kości, biel połyskującą się na tle czarnej ziemi, kontrastującą z nią. Technicy Ganzy zaczęli przekopywać ziemię i napełniali nią wiadra. Wychodzili z nimi na górę, by przesiać zawartość przez specjalne siatki.

Zbiorą materiał dowodowy i fragmenty szczątków. Maggie wiedziała, że zabiorą też próbki ziemi i roślin. Chociaż ciała zostały wrzucone do jaru, prawdopodobnie to nie tam ofiary zostały zamordowane. Pyłki na ubraniach i błoto na butach mogły doprowadzić śledczych do prawdziwego miejsca zbrodni.

Ganza nie oczekiwał od Maggie niczego poza tym, żeby się

przyglądała i zadawała pytania. Przywykli do wspólnego rozwiązywania rozmaitych zagadek. Mimo to pomogła mu usunąć gałęzie i mokre liście. Pod spodem zobaczyli but do biegania i stertę porzuconych ubrań. Wyglądało na to, że ktoś zasypał je śmieciami.

- Po co się fatygować i zasypywać coś w tym dole? - zastanowiła się głośno, nie oczekując odpowiedzi.

Już wcześniej próbowała pojąć, po co Kolekcjoner wrzucał ciała do jaru w środku lasu, do którego nikt nie miał wstępu. Ten sam Kolekcjoner, który chwalił się organami wyciętymi z ciał swoich ofiar.

- W innej sytuacji sugerowałbym skruczę czy żal - odparł Ganza. - Ale oboje wiemy, że seryjni mordercy nie znają takich uczuć.

- On jest ostrożny - powiedziała Maggie. - Wie, że ciało ofiary, jej tożsamość, miejsce, gdzie zaginęła, w ogóle najróżniejsze informacje mogą nas do niego doprowadzić. O jego przezorności świadczy także fakt, że wykorzystuje ich samochody, a potem odstawia je na miejsce. Do tej pory nie spotkałam takiego mordercy.

- Bundy i Edmund Kemper mieli wysokie IQ. Zwykle wpadają przez arogancję albo wściekłość. Może szczęście nam dopisze i z tym będzie tak samo.

Maggie odsunęła ostatnią gałąź, wlepiła wzrok w stertę ubrań i po raz pierwszy, od kiedy zeszła w głąb jaru, poczuła chłód, lepkość i nudności.

- To nie jest tylko sterta ubrań - stwierdziła. - Tam jest coś więcej.

Ganza pochylił się i rękami w rękawiczkach usiłował podnieść kawałek spandeksu wciąż przyczepiony do tkanki i kości. Ubranie

nasiąkło rozkładającym się ciałem, tworząc twardą i zmiętą masę. Ganza bezskutecznie podważał kawałek podartego materiału. Potem sięgnął do plecaka i wyjął woreczek na dowody, położył go obok i kontynuował pracę.

Maggie dojrzała coś, co wyglądało na tylną kieszeń z zamkiem błyskawicznym, w której znajdował się jakiś płaski przedmiot wielkości prawa jazdy. Ganza też to zobaczył i ostrożnie się do tego zabrał.

Kolekcjoner poświęcił tyle czasu i wysiłku na ukrycie swoich ofiar, przekonany, że nigdy nie zostaną odnalezione. Był tak pewny siebie, że w kieszeni kobiety zostawił jej prawo jazdy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Stucky był niespokojny i podekscytowany. Czuł, że wreszcie powrócił na szlak. Jakby zrzucił z siebie ciężar ostatniej porażki i był gotowy do kolejnego polowania.

Spakował swoje torby, do których włożył więcej niż zazwyczaj podstawowych produktów o dłuższej dacie ważności, które szybko się nie zepsują, oraz kilka jabłek i pomarańczy. Tym razem zamiast małych butelek wody kupił duże butle. Był dumny ze swojej błyskotliwości. Duże butle trudniej ze sobą nosić, więc agentka Maggie będzie musiała wrócić do szopy, gdy poczuje pragnienie.

Na kolejny dzień, a nawet dwa znów zapowiadano burze. Nie lubił polować w deszczu, ale zdawał sobie sprawę, że grzmoty i błyskawice rodzą lęk, z którym nawet on nie mógł konkurować. Przywiezie ją tam w samą porę, żeby burza trochę ją zmiękczyła.

W minionym tygodniu odkrył, gdzie Maggie mieszka z mężem, Gregiem Stewartem, prawnikiem. Musiał przyznać, że był zaskoczony. Wiedział też, gdzie mieszka jej matka. Wiedział, gdzie Maggie lubi biegać rano, o której wychodzi do pracy, i że nie zauważa, kiedy ktoś ją śledzi.

Jeszcze nie zdecydował, jak ani gdzie porwie agentkę O'Dell. Musi ją zwabić w miejsce, gdzie on czuje się komfortowo. Takie, które zna, a jednocześnie takie, gdzie ona poczuje się nieswojo. Las Państwowy Conway Robinson to nie był taki zły pomysł. Złapał tę ładną Paige w jej odblaskowych butach na samym początku szlaku. Było tam cicho i pusto.

Myślał - a tak naprawdę marzył - o tym, jak to zrobi, kiedy usłyszał jakieś buczenie, zupełnie nie na miejscu w tym lesie. Właśnie podrzucił zakupy do szopy i jednym ze skrótów wybrał się na skarpe, skąd widać było potok. Miał zamiar poćwiczyć strzelanie do celu.

Ale zaniepokoił go ten dźwięk dochodzący od strony jaru. Niski i ciągły szum, zupełnie jakby silnik. Tyle że to przecież niemożliwe. Nie było tam żadnych ogólnodostępnych dróg, wytyczono tylko dojazdówkę dla pracowników parku. Ale przebiegała po drugiej stronie skalnej ściany, absolutnie nie tam, skąd dochodził dźwięk.

Stucky zmienił kierunek i wspinał się po lekkim wzniesieniu, doskonale wiedząc, czego się chwycić i gdzie stawiać stopy. Sam wydeptał połowę tych szlaków, mógł je pokonywać z zamkniętymi oczami. Poprawił ciężar na plecach i wspinał się dalej. Pod stopami miał już nie ziemię, ale skałę. Sosny zastąpiły rosnące niżej dęby i kasztany.

Gdy poczuł woń benzyny, serce zaczęło mu walić, oddech przyspieszył, złość i panika na zmianę ścisnęły mu pierś.

Co się tam, do diabła, dzieje?

Jeszcze tylko parę metrów. Zmuszał nogi do wysiłku i poruszał ramionami, starając się ignorować ból. Kiedy dotarł do półki skalnej, ukrył się za krzewami sterczącymi ze skalnej szczeliny.

Nie wierzył własnym oczom. Serce go zabolowało, jakby został zdradzony.

To było jego specjalne miejsce. Teren jego polowań. Jego sekretna kryjówka. Jedyne miejsce, dokąd mógł się udać, kiedy chciał rozładować wściekłość.

Właśnie je stracił.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Stała z boku, nie wchodząc w drogę Ganzie, który badał rozczłonkowane ciało ofiary w spandeksie. Unikała dotykania ścian po tym, jak jeden z techników znalazł kolejną kość wystającą ze ściany. Na pierwszy rzut oka biała kość bardzo przypominała kamień.

Podawała Ganzie narzędzia - rydel, kilof, łopatkę - jak asystentka chirurga. Starła się być pomocna, a jednocześnie starała się nie patrzeć na Ganzę. Odgłosy miażdżenia i zgniatania, kiedy Ganza odrywał zlepione z tkaniną kawałki tkanki i kości, brzmiały niepokojąco.

Kiedy przypadkiem upuściła rydel i schyliła się po niego, ujrzała rękę. Obcas jej buta dzieliły od niej ledwie centymetry. Kiedy sobie uświadomiła, na co patrzy - że to ludzka dłoń wystaje z dna jaru - znów upuściła rydel.

Stała na kolejnym cieple zakopanym pod cienką warstwą ziemi, tuż pod nią.

Ganza też to zauważył i zaproponował, żeby zrobili przerwę na lunch. Pracowali bez przerwy cały ranek.

Maggie nie dyskutowała. Z ulgą wyszła na słońce i świeże powietrze. Nie mogła jednak uciec od tego zapachu. Zapach śmierci przeniknął jej ubranie, włosy, skórę, przesączył się przez maskę. Ogarnęło ją zmęczenie. Tak bardzo starała się zablokować emocje, lecz okazało się to strasznie wyczerpujące, jeśli nie niemożliwe. W takiej sytuacji trudno o dystans. Jak mogła go zachować wobec tego wszystkiego, co znaleźli?

Zmęczenie psychiczne sprawiło, że czuła, jakby ktoś przywiązał jej ciężary do nóg. Jej umysł pracował nad stworzeniem profilu ofiar. Kolekcjoner porywał kobiety podczas ich codziennych rutynowych zajęć. Susan Fuller powiedziała, że była w drodze do pracy. Paige Barnett właśnie zaczynała albo kończyła jogging. Ofiara w spandeksie mogła zostać porwana z innego szlaku, być może stało się to wiele miesięcy wcześniej.

Dopiero kiedy wyszła z jaru i zobaczyła zasypaną kośćmi brezentową płachtę, zdała sobie sprawę, że Kolekcjoner korzystał z tego miejsca pochówku o wiele dłużej, niż sobie wyobrażała. Ten widok kazał jej się zatrzymać, o mały włos nie straciła równowagi. Nogi i tak już bolały ją od stania, marzyła o tym, by gdzieś usiąść. Znalazła kamień na słońcu i opadła na niego z nadzieją, że mężczyźni tego nie zauważą. Wyciągnęła z plecaka butelkę z wodą i zaczęła popijać małymi łykami, usiłując uciszyć spanikowany głos w swojej głowie.

On zabija już od wielu lat. Jakim cudem nic o tym nie wiedzieliśmy?

Zastępcy szeryfa na razie ich opuścili, mieli się znów pojawić, kiedy ekipa FBI skończy pracę. Cunningham i Turner robili zdjęcia, pakowali materiał dowodowy i opisywali każdą rzecz, którą przynosili technicy. Na jednej płachcie leżały kości razem z fragmentami czegoś, co technicy uznali za kości, na drugiej zaś złamane strzały, strzepy materiału, buty i biżuteria. Wszystko to czekało na zbadanie i opracowanie.

Teraz, gdy Ganza i jego technicy zrobili sobie przerwę, Cunningham i Turner poszli za ich przykładem.

- Jak myślisz, ile ciał jest tu pogrzebanych, Keith? - spytał Cunningham, zdejmując okulary i wycierając pot z twarzy.

- Trudno powiedzieć. Zadzwońię do Wagnera, to jego

specjalność. Poproszę, żeby użył swoich czarów i poskładał, co się da. – Ganza zerknął na brezentowe płachty. – Jedno jest pewne, chłopak się nie lenił.

Cunningham zwrócił się do Maggie:

– Czy to jest tylko wygodny sposób na pozbycie się ciała, kiedy już skończył swoje gierki? Czy coś mi umknęło?

– Moim zdaniem on się nie spodziewał, że kiedykolwiek ktoś znajdzie to miejsce. Być może na początku wybrał je, bo było dogodne. Myślę, że kobieta przysypana ziemią i śmieciami to ta sama, którą Susan Fuller zobaczyła, gdy wyciągał ją z bagażnika. Jeśli to prawda, to przywiózł jej ciało, żeby je tu porzucić. Domyślam się, że Stan Wenhoff stwierdzi u niej brak jednej nerki.

– Więc pani zdaniem zawiózł ją w jakieś inne miejsce, żeby wyciąć nerkę?

Spojrzała na Ganzę, jakby szukała u niego potwierdzenia, więc odparł za nią:

– Nerka została wycięta z najwyższą precyzją. Nie wyobrażam sobie, żeby zrobił to tutaj. Ale też nie wyobrażałem sobie nawet w połowie tego, co tu znaleźliśmy.

– Myślę, że on je tu przywozi – stwierdziła Maggie – żeby na nie polować, ustrzelić, tak jak w przypadku Paige Barnett. I jak zamierzał zrobić z Susan. Zostawia je w szopie i liczy na to, że gdy się ockną, zaczną szukać drogi ucieczki. Obserwuje je z jakiejś kryjówki.

– Ale Susan Fuller spędziła tu wiele dni i nigdy go nie widziała, oczywiście poza tym jednym razem, kiedy wynosił ciało z samochodu.

– Widziała go później – przypomniała Maggie. – Ukryła się na skalnej ścianie w pobliżu drogi dojazdowej. Powiedziała, że przechodził niedaleko kilka razy, jakby jej szukał. Spędziła tamtą

noc w ukryciu wciśnięta w szczelinę.

- Tam jest zakopane co najmniej jeszcze jedno ciało - oznajmił Ganza. - Zanim wyszedłem na górę, odgarnąłem z niego trochę ziemi. Ma złamaną strzałę w nadgarstku. - Wskazał kilka kawałków innych strzał, które znaleźli. - Myślę, że Maggie ma rację. Przywoził tu kobiety, żeby na nie polować. I zabierał myśliwskie trofea, żeby się nimi chwalić. Podobnie jak myśliwi, którzy zabierają łeb jelenia i wieszają go nad kominkiem.

Cunningham nie wyglądał na zadowolonego. Stał w słońcu. Maggie zauważyła jego ściągnięte brwi. Ręce skrzyżował na piersi, sprawiając wrażenie zatopionego w myślach. Maggie zdawało się, że usłyszała jakiś świst.

Cunningham skrzywił się.

Dopiero kiedy upadł na kolana, zobaczyła strzałę sterczącą z jego lewego uda.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Musieli jak najszybciej przemieścić Cunninghama w bezpieczne miejsce. Maggie i Turner osłaniali go, ciągnąc za skały, bacznie przy tym przyglądali się znajdującej się powyżej skarpie. Niestety musieli patrzeć pod słońce. Mimo to Maggie wychwyciła jakiś ruch.

- Czy on może mieć teleskop? - spytał Turner.

Zaczęła wypatrywać refleksu świetlnego.

- Sukinsyn, ale to boli - jęknął Cunningham.

Maggie czuła, jak wali jej serce. Nigdy nie widziała szefa, jak cierpi i czuje się bezradny. Nigdy nie widziała, by okazał choć cień słabości. Zawsze chłodny, opanowany, skupiony. Taki był Cunningham nawet w irytujących, frustrujących sytuacjach. Jeśli się skarżył, znaczyło to, że naprawdę cierpiał.

Przeniosła wzrok ze skarpy i spojrzała w dół. Cunningham krwawił. Jego palce, którymi zaciskał ranę, były zalane krwią. Za dużo tej krwi.

Znów podniosła wzrok. Turner też zauważył krew i szeroko otworzył oczy. Maggie rozglądała się za Ganzą, który właśnie wyłonił się zza skał, na czworakach ciągnąc zestaw pierwszej pomocy.

- Dajcie tu kosz - powiedział do Turnera. - Maggie, znajdź jakieś liny czy sznur. Odetnij je od wciągarki, jeśli to konieczne.

Wyjął z torby potrzebne rzeczy.

- Frank, Josh, zakryjcie wszystko najlepiej, jak się da, dodatkowymi płachtami brezentu. Zabezpieczcie na brzegach. Jak

tylko go przygotuję, natychmiast go stąd wynosimy.

Nie rozległ się kolejny świst, z góry nie płynął żaden dźwięk, nie było widać żadnego ruchu. Maggie zaczęła się zastanawiać, czy Kolekcjoner ukrył się gdzieś niżej. Niestety widziała jedynie skały i drzewa, które rosły tak gęsto, że mogła liczyć na to, że nie zdoła wypuścić spomiędzy nich strzały.

- Kyle, mów do mnie - nalegał Ganza.

Maggie podczołgała się do sprzętu pozostawionego przez biuro szeryfa. Było tam sporo liny.

- Kyle, słyszysz mnie?

Maggie zamrugła i wzięła kilka głębokich oddechów. Starła się ignorować głos Ganzy. Wiedziała, że robi wszystko, by Cunningham nie stracił przytomności.

Tyle krwi. A jeśli strzała trafiła w tętnicę udową?

- Kyle...

- Słyszę cię. Przestań wrzeszczeć - odparł Cunningham.

Ganza mówił bardzo cicho, tylko nieco głośniejszym szeptem.

Tymczasem Turner cofał się na czworakach, zasłaniając się koszem jak tarczą. Czekał na Maggie, która zarzuciła linę na ramię i wzięła jeszcze kilka rzeczy.

- Wiem, że mocno ściska - powiedział Ganza do Cunninghama, kiedy zawiązał mu opaskę uciskową. Owinął też gazą strzałę, przywiązując ją tak, żeby się nie przemieściła i nie spowodowała więcej szkód podczas transportu.

Kiedy mężczyźni przenieśli Cunninghama do kosza i zabezpieczali go, Maggie usiłowała dodzwonić się do szeryfa Olsona, potem na dziewięćset jedenaście. Zasięg był tylko miejscami. Dopiero po czterech próbach połączenie trwało na tyle długo, że zdołała ich powiadomić, co się stało.

Przyszła pora na karkołomne zadanie, czyli niesienie kosza

wąską ścieżką między drzewami i po skalistym zboczach, co i bez obciążenia stanowiłoby nie lada wyzwanie. Musieli też bardzo uważać, żeby nie wpaść w zasadzkę.

Kolekcjoner z pewnością znał ten las na wylot, więc mógł na nich czyhać wszędzie. Jednak Maggie się tego nie spodziewała. Już osiągnął swój cel. Chciał ich stamtąd przegonić, chciał im dopiec i wpędzić w panikę. Gdyby pragnął ich wszystkich zabić, była pewna, że mógłby to zrobić. Wystrzelałby ich wszystkich, kiedy krążyli dokoła na czworakach.

Chociaż chciała w to wierzyć, bacznie się rozglądała, wypatrując jakiegoś ruchu, szukając Kolekcjonera ukrytego w cieniu. Nadstawiała uszu, ale serce tak jej waliło, że zagłuszało wszelkie inne dźwięki. Robili sporo hałasu, szurając nogami, żeby bezpiecznie się przemieszczać, a spod ich stóp sypała się ziemia i kamyczki. Minuty jakby zamieniały się w godziny, zdawało się, że szli tak całą wieczność, a jednak Maggie wiedziała, że całkiem nieźle się spisywali. Potem zerknęła na spodnie Cunninghama i zobaczyła, że były całe we krwi.

Usłyszeli głosy i szum silników, zanim ujrzeni czekającą na nich na drodze dojazdowej ekipę ratowników medycznych. Był tam również szeryf Olson ze swoimi ludźmi. Tyle że tym razem wszyscy zastępcy mieli policyjne remingtony kaliber dwanaście. Szeryf rozłożył mapę na masce swojego suwa i właśnie dawał podwładnym wskazówki, kiedy usłyszał, że Maggie i reszta już się zbliżają.

Maggie chciała powiedzieć Olsonowi, że jest za późno. Że jego ludzie tracą całe popołudnie na poszukiwanie Kolekcjonera, który znał zbyt wiele skrótów, zbyt wiele kryjówek i dróg ucieczki, by go dopaść. Zespół z psem już wcześniej pokazał im

najczęściej, w tym i ostatnio wykorzystywaną przez Kolekcjonera ścieżkę, ale czyż sam przewodnik psa nie przyznał, że jest ich tam więcej?

Kolekcjoner musiał też znać inny dojazd do lasu, mógł więc unikać tej drogi dojazdowej. Może jechał gruntówką przez jedno z pastwisk, które przylegały do lasu. Potrafił dostrzec to, co inni zlekceważyli lub przeoczyli.

Ratownicy medyczni przejęli od nich Cunninghama i w ciągu kilku sekund umieścili go w karetkce, podłączając kroplówkę i stabilizując nogę. Tymczasowa ekipa ratunkowa – Ganza i jego dwóch techników, Turner i Maggie – stali z boku i przyglądali się temu. Byli wyczerpani, złani potem, ledwie łapali oddech.

- Wyjdzie z tego? - spytał Olson.

Nikt mu nie odpowiedział.

Wreszcie Ganza powiedział:

- Myślę, że on z tego wyjdzie. Nie wiem, co z jego nogą.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Stucky jechał Back Road aż do autostrady numer czterdzieści osiem. Kiedy wjechał na międzystanową, usłyszał syreny. Czuł, że złość w nim kipi. Nie mógł nic zrobić, żeby ją powstrzymać. Od czasu śmierci ojca nigdy tak się nie czuł. Ten człowiek potrafił sprowadzić go na złą drogę jednym prostym, dwuznacznym komplementem:

- Myślałem, że potrafisz walnąć tego byczka między oczy, tak mocno zaciskałeś te swoje drobne paluszki na spuście.

Kiedy Stucky miał czternaście lat, ojciec oczekiwał od niego, że okaże się wystarczająco dorosły, by zamiast przestrzelić jelenia, przeleci dziwkę, którą przyprowadził do domu. I oczywiście padło więcej dwuznacznych uwag, które szybko zamieniły się w wulgarne połajanki, kiedy „mały mężczyzna” nie sprostał ojcowskim oczekiwaniom.

Stucky myślał, że już przed laty okiełznał tę furję, a przynajmniej że zdusił ją wtedy, gdy raz na zawsze zamknął ojcu usta. Wypadek na jachcie. Tak brzmiał oficjalny raport biura szeryfa hrabstwa Bristol. Nie byli w stanie uwierzyć, że ktoś chciałby zamordować doktora Allana Stucky'ego, podporę społeczności New Bedford, a już na pewno nie jego jedyny syn, którego samotnie wychowywał.

Do tej pory Stucky uśmiechał się na myśl, jakie to ironiczne, że ojciec zatonął w Buzzards Bay, zwanej Zatoką Zgredów.

Za pieniądze, które dostał po ojcu, stworzył wartą miliony dolarów firmę komputerową, jedną z pierwszych, które rozwinęły

transakcje giełdowe on-line. Ale prawdziwą miłością Stucky'ego była ta część firmy, która tworzyła gry wideo. Z początku wymyślanie gier dawało mu przyjemność, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. To było po prostu fantastyczne, dopóki nie stało się zwyczajnie nudne.

Później sprzedał firmę i zaczął grać w rozmaite inne gry. Obycie z komputerem ułatwiło mu stworzenie tylu tożsamości, ile chciał, wpłacał swoje miliony na różne rachunki, zdobywał dokumenty - prawa jazdy, karty kredytowe, akty notarialne - na każde z tych nazwisk. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że jest mistrzem przebieranek. Dążąc do prostoty, osiągnął perfekcję. Siedząc w kawiarni czy chodząc alejkami sklepów, przyglądał się i uczył, jak stać się niewidzialnym, wyglądać zwyczajnie, budzić zaufanie.

Był dumny ze swojej metodyczności i konsekwencji. Ciężko pracował, żeby zostać częścią społeczności, zdobyć dobrą pracę, wymyślić swoją historię, jednocześnie dopasowując się do otoczenia i nie rzucając się w oczy. Wszystko planował i przygotowywał. Przewidywał, a potem realizował swoją grę - grę wideo w czasie rzeczywistym, w prawdziwym życiu, w realu.

Gdyby ktoś go spytał, czemu zabija, odpowiedziałby bez wahania. Nie potrzebował psychoanalizy, by znaleźć odpowiedź. Nieważne, jakie było jego dzieciństwo ani jak dotkliwie ojciec kpił z jego męskości. Prawda była taka, że robił to, ponieważ sprawiało mu to przyjemność. Każde kolejne morderstwo stanowiło wyzwanie, musiało być lepsze niż poprzednie.

Teraz dziwił się, że niezależnie od wszystkiego, co kontrolował i stworzył, wciąż była w nim ta złość, która tliła się tuż pod powierzchnią. Nie podobało mu się, że odkryli jego kryjówkę. Nie podobało mu się, że wywrócili jego plany do góry nogami.

Dopiero rozpoczął grę z agentką Maggie, a ona już ją zrujnowała, przywożąc tych wszystkich ludzi do jego sekretnego miejsca.

Będzie musiał zacząć wszystko od nowa. Znaleźć sposób, żeby ją odseparować od tych wszystkich mężczyzn i od miejsc, gdzie może liczyć na ich ochronę. Musi ją zwabić gdzieś, gdzie zostanie pozbawiona ochronnej siatki. Gdzie będą sami, tylko ona i on.

W niespełną godzinę zaczął knuć kolejny plan. Chciał działać szybko. Wiedział, że musi wyjechać. Udać się w takie miejsce, gdzie nie przyjdzie im do głowy go szukać. Natychmiast pomyślał o idealnym miejscu położonym wystarczająco daleko, by nikt się tam nie wybrał. Nigdy dotąd nie korzystał z tej nieruchomości. Prawdę mówiąc, kupił ją przed kilku laty, ponieważ znajdowała się w odludnej dzielnicy opuszczonych magazynów. Budynek był ogromny i pusty, połykał wszystkie dźwięki jak brzuch wieloryba.

Już opracowywał plan. Tym razem to musi być coś, co trafi prosto w serce. Każdy ma takie czułe miejsce, słabe miejsce. Coś, co budzi w nim instynktowny lęk. Obserwował Maggie, jak chroniła mężczyznę, który był jej szefem. Osłaniała go własnym ciałem. Wiele dla niej znaczył. Były też inne osoby, które wiele dla niej znaczyły. Ale była agentką FBI. Jak daleko by się posunęła, kierując się poczuciem obowiązku, żeby chronić obcą niewinną osobę?

Jego obserwacje, to wszystko, czego dowiedział się o niej w minionym tygodniu, doprowadziły Stucky'ego do przekonania, że wie, jak zwabić Maggie O'Dell do brzucha swojego wieloryba.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Zrobiło się już późno, kiedy wyszła ze szpitala Warren Memorial. Cunningham był przytomny, ale wciąż pod wpływem środków uspokajających i znieczulających. I już się irytował poświęcaną mu uwagą i narzuconymi ograniczeniami. Chirurg spodziewał się, że w pełni dojdzie do formy, ale chciał zatrzymać go na noc na obserwację. Gwen wciąż przy nim była. Maggie przyłapała się na myśli, że Cunningham jest szczęściarzem, mając kogoś tak oddanego jak doktor Patterson. Cokolwiek ich łączyło, Gwen była dobrą i zaufaną przyjaciółką.

Zastanawiała się, czy gdyby to jej przytrafiło się w lesie coś złego, Greg w ogóle by zadzwonił? Ich relacje stały się bardzo napięte.

„Widzisz, a nie mówiłem, że to bardzo niebezpieczna praca”.

Już słyszała jego reakcję. Pewnie nie przyjechałby do szpitala, żeby dać jej nauczkę.

Nie, nieprawda. Na pewno by przyjechał, to oczywiste.

I już od progu zaczęłby wygłaszać wykład o zagrożeniach związanych z jej pracą. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy chciałaby widzieć go w szpitalu. Podjęła już decyzję, że nie powie mu o tym, co stało się Cunninghamowi. O szaleńcu z kuszą polującym na ludzi w lesie. Nie powie mu też o ciałach w jarze.

Kiedy Maggie spytała Turnera, czy powinni skontaktować się z żoną Cunninghama, spojrział na nią dziwnie. Potem powiedział, że zostawi tę decyzję Delaneyowi, który miał okazję poznać panią Cunningham. Dodał też, że jest przekonany, iż państwo

Cunninghamowie od jakiegoś czasu są w separacji. Oczywiście Turner przyznał, że szef nikomu o tym nie wspomniał, ale on sam przyłapał go na tym, że całą noc spędził w gabinecie i korzystał z szatni, by wcześniej rano wziąć prysznic.

Maggie natychmiast zastanowiła się, czy Gwen coś o tym wie. Potem szybko uznała, że nie jest właściwą osobą, żeby ją o tym informować.

W tym momencie chciała tylko odetchnąć z ulgą. Do chwili, gdy wynosili Cunninghama z lasu, nie zdawała sobie sprawy, jak wielkim szef jest dla niej autorytetem. Niedawno Greg narzekał, że zaczęła ubierać się po męsku, a ona sobie uświadomiła, że być może ma rację.

Brała przykład z Cunninghama, szukając klasycznych, ale pudełkowatych marynarek i spodni z prostymi nogawkami, które ukrywały figurę, nadając jej profesjonalny wygląd. Wybierała nawet jego ulubione kolory - miedziany, brąz, ciemną szmaragdową zieleń. Podziwiała go i szanowała w równym stopniu. Przez kilka ciężkich godzin, kiedy starała się zrobić wszystko, żeby się nie wykrwawił, przypominała sobie tamten dzień, kiedy jej ojciec nie wrócił do domu.

Turner przekonał ją, by pojechała do domu, odpoczęła, wyspała się we własnym łóżku. Nie miała siły oponować, tym bardziej że Cunningham najgorsze miał za sobą. Od domu dzieliły ją dwie godziny jazdy. Za dużo czasu na myślenie. Cały dzień starała się trzymać emocje na wodzy. Teraz, kiedy przestała się kontrolować, wylały się, jakby ktoś odkręcił kurek.

Najbardziej zaskoczyła ją złość. Była zła na siebie, że nie zdołała zbliżyć się do rozwiązania zagadki, kim, do diabła, jest Kolekcjoner. Znajomość jego imienia i nazwiska w niczym jej nie pomogła. Była też wściekła na Stucky'ego za to, co zrobił tym

wszystkim nieszczęsnym kobietom. Za jego arogancję, która mu pozwoliła bezkarnie postrzelić oficera federalnego. Była zła, że przez niego czuła się, jakby stanowiła element jego głupiej i okrutnej gry.

Dowie się, kim on jest i w jakiej dziurze kryje się każdej nocy. Musi być jakiś sposób, żeby odwrócić role. Musi być jakiś sposób, żeby go powstrzymać.

Oczywiście byłaby bardziej przekonująca, gdyby właśnie nie minęła swojego zjazdu i nie musiała zawracać osiem kilometrów.

Tuż po północy Maggie wrzuciła torbę podręczną do niewielkiej pralni. Stąpała ostrożnie, pamiętając, które deski parkietu skrzypią. Nie chciała obudzić Grega. Zerknęła na koniec holu i zobaczyła, że drzwi sypialni są zamknięte.

Zapaliła lampę w salonie i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła. Umierała z głodu. Ale najpierw wyjęła komórkę, bo podczas dwugodzinnej jazdy do domu nie sprawdzała wiadomości. Od postrzelenia Cunninghama z kuszy minęło dwanaście godzin. Kiedy opuszczała szpital, szef czuł się dobrze.

Mimo to na widok wiadomości od Gwen jej tętno przyspieszyło. Czy coś się stało? Dotknęła ekranu opuszkami palców, żeby odsłuchać ostatnią wiadomość głosową, i przyłożyła telefon do ucha.

- Maggie, mówi Gwen. Wszystko w porządku, Cunningham czuje się dobrze. Pomyślałam, że chciałaby pani to wiedzieć. Chciałam też, żeby znała pani numer mojej komórki. Proszę dzwonić o każdej porze. Wiem, że ma pani problem z mamą i w ogóle. Jeśli kiedykolwiek będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dać mi znać, dobrze? I postarać się trochę odpocząć.

Uśmiechnęła się. Jeśli się nie myliła, zaprzyjaźnią się z Gwen. Nigdy nie miała nikogo, kto by do niej zadzwonił tylko po to, żeby się nie martwiła. Próbowwała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek знаła kogoś, kto przejmował się tym, czy wystarczająco dużo czasu przeznaczają na odpoczynek.

Jakby na zawołanie uaktywniła się kolejna wiadomość głosowa:

- Mag-pie, mówi twoja mama. Myślałam, że może odezwiesz się do mnie dzisiaj, ale chyba jednak nie. Przysięgam, że dziś po południu spędziłam więcej czasu, rozmawiając z konserwatorem, niż z tobą przez cały tydzień. Zadzwoń do mnie.

Zamknęła oczy. Wciąż trzymała telefon przy uchu, ale nie miała więcej wiadomości. Poczula na piersi wielki ciężar. Jak to możliwe, że ta kobieta jedną krótką wiadomością potrafi tak zmienić jej nastrój? Co takiego powiedziała Gwen? Coś o tym, że jej matka wie, które przyciski naciskać, ponieważ pomagała je zainstalować.

Okej, dzięki temu znów się uśmiechnęła.

I nadal była zła.

Ani ona, ani Greg nie potrafili robić zakupów spożywczych. Mimo wszystko Maggie otworzyła lodówkę i patrzyła na skromnie zapełnione półki. Już sięgnęła po pudełko z pizzą na dolną półkę, kiedy na górnej dostrzegła pojemnik na jedzenie na wynos. Biały, czysty, styropianowy. Taki sam jak poprzednie.

Żołądek podszedł jej do gardła, nogi miała jak z waty.

To przecież zwyczajny pojemnik, powiedziała sobie.

Greg mógł zamówić coś do jedzenia. Ostatniego wieczoru nie było jej w domu. Oczywiście, że w pojemniku jest to, czego nie zjadł.

A jednak kiedy sięgnęła po pojemnik i przenosiła go z półki w lodówce na kuchenny blat, robiła to wyjątkowo ostrożnie,

trzymając go w obu dłoniach. Już traktowała go jak materiał dowodowy.

Na zewnątrz nie było żadnych plam. Ani śladu krwi. Będzie zażenowana, kiedy otworzy pojemnik i znajdzie w nim cannoli albo bułeczki cynamonowe z ulubionej cukierni Grega.

Powoli uniosła wieko.

Wewnątrz na kartce papieru z adresem leżał kosmyk jasnych kręconych włosów. Niczego nie dotykając, zdołała przeczytać list:

TYLKO TY MOŻESZ JĄ URATOWAĆ.

NIE MÓW NIKOMU.

PRZYJEDŹ ALBO W NASTĘPNYM POJEMNIKU ZNAJDZIESZ JEJ SERCE.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

DZIEWIĄTY

Wciąż trzęsły jej się ręce, kiedy obudziła Grega.

Zanim go obudziła, schowała jasny lok do foliowego woreczka, a kartkę do drugiego. Potem pomaszerowała do pralni i wyjęła brudne ubrania z torby podręcznej. Na dno torby włożyła oba plastikowe woreczki. Zapamiętała adres. Chciała na nowo spakować torbę, nie okazując paniki przed Gregiem. Żeby to zrobić, musiała się wyciszyć, uspokoić szalejące tętno i serce, które waliło jej o żebra.

- Teraz przyjechałaś? - Czując jej rękę na ramieniu, Greg odwrócił się na łóżku.

- Tak, wezmę tylko coś czystego do ubrania i wracam.

Potarł twarz, a potem uniósł się i oparł na łokciach.

- Poważnie?

- Znaleźliśmy miejsce, gdzie seryjny morderca porzucał swoje ofiary, w Lesie Państwowym Devil's Backbone. - Postanowiła mu to wyjawić, ponieważ w porównaniu z tym, do czego się szykowała, masowy grób wydawał się bułką z masłem.

- Jasna cholera! Devil's co?

- Backbone. To na północny zachód od nas, u stóp Appalachów. Oficjalnie to państwowy las, ale bez dostępu dla ludzi. Morderca mógł już od roku wykorzystywać to miejsce jako cmentarz. Może nawet dłużej.

Musiała zapalić lampę w kącie pokoju, żeby wyjąć potrzebne

rzeczy z szuflad. Greg na nią patrzył, choć nie był zainteresowany, co pakuje. Wciąż usiłował dojść do ładu z tym, co mu powiedziała. Jej instynkt się nie mylił. Podrzucenie jakiejś szokującej informacji do przemyślenia zbijało go z pantafelku... na chwilę

- Hej, ktoś u nas dzisiaj był? - spytała.

Wciąż usiłowała zgadnąć, jak Stucky zdołał umieścić pojemnik w ich lodówce.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Greg. - Więc wracasz tam samochodem w nocy?

- Chcę zacząć pracę z samego rana. Pewnie zostaniemy tam parę dni. - Składała i pakowała swoje rzeczy do torby. - Zastanawiałam się, czy ktoś u nas był, bo czasami, kiedy nas nie ma, przychodzi konserwator. Prosiłam, żeby sprawdzili kostkarkę do lodu. - Kostkarka do lodu w ich lodówce nie działała od ponad pół roku. Maggie liczyła, że Greg jest zbyt zaszpany, żeby o tym pamiętać.

- Nie, nie było nikogo do lodówki. - Poprawił poduszkę i usiadł, opierając się o nią. - Był facet od klimatyzacji, jak przyjechałem do domu o szóstej. Sprawdzał urządzenia w całym budynku. Powiedział, że u nas wszystko gra.

Z trudem przełknęła i zignorowała ściśnięty żołądek. Konserwator. To musiał być Kolekcjoner. Dla kogoś, kto wciąż zmienia wizerunek, taka zmiana to pestka.

Potem nagle przypomniała sobie wiadomość nagraną przez matkę. Powiedziała, że całe popołudnie spędziła z konserwatorem.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY

Czwartek

Międzystanowa numer dziewięćdziesiąt pięć

Floryda

Stucky jechał całą noc. Nakręcony przez adrenalinę czuł się jak na haju. Wszystko świetnie się układało, nawet lepiej, niż się spodziewał.

Nie mógł przestać się uśmiechać, myśląc o mężu agentki Maggie, który wpuścił go do mieszkania. Gość cały czas rozmawiał przez telefon i nie zwracał na niego uwagi. Stał tyłem, niespełna sześć metrów dalej, kiedy Stucky otworzył lodówkę i włożył do środka pojemnik.

Nie mogło mu pójść lepiej.

Nawet mała furgonetka firmy cateringowej jechała gładko bez przeszkód, chociaż w ciągu ostatnich dziewięciu godzin Stucky zrobił sobie kilka przerw, żeby ochłonać. Samochód był nowy i zgrabny, Gibson prawie z niego nie korzystał. Kilka dni temu poprosił Stucky'ego, żeby go zaparkował w magazynie, i nawet nie sprawdzał, czy Stucky włożył z powrotem kluczyki do szuflady. W przeciwieństwie do furgonetki z kwiaciarni, ta nie miała na zewnątrz żadnych ozdób ani logo. Panele były białe. Wprost idealnie na wypadek, gdyby Gibson nagle zauważył zniknięcie furgonetki. Na dodatek Stucky poświęcił czas, żeby na chwilę wpaść na lotnisko Richmond Airport. Na długoterminowym parkingu nie było żywego ducha, kiedy

zamienił tablice rejestracyjne z czarnym suvem.

Słońce wzeszło parę godzin temu, już czuł upał Florydy. Podkreślił klimatyzację i sprawdził tylne lusterko. Żadnego ruchu. Nie będzie potrzebowała dodatkowego zastrzyku przez kilka godzin. Powinna mu dziękować, że postanowił skorzystać z furgonetki, bo inaczej smażyłaby się w bagażniku samochodu osobowego. Biedactwo. Wyglądała na tak bardzo przerażoną, że następnym razem raczej nie będzie musiał podać pełnej dawki.

Co się stało z energią, którą mogą się pochwalić nastolatki? Kiedy ją spotkał w galerii sztuki, wydawała się odbiciem swojej matki – nie tylko zewnątrz, ale także z charakteru. Sprawiała wrażenie żywiołowej i niezależnej. Tak samo ją postrzegał, kiedy zatrzymał się obok niej na ulicy i opuścił szybę w oknie.

– Podwieźć cię? – spytał jakby nigdy nic.

Wiedział, że codziennie chodziła tą drogą, i że od restauracji dzieliło ją jeszcze co najmniej sześć przecznic. Zwykle wpadała do matki, a potem szła do galerii, gdzie pracowała na popołudniową zmianę. Tak, słuchał pilnie, co mówiła Rita, choć wiedział, że nie wierzyła, że z niego taki zaangażowany słuchacz. Pamiętał, jak mu powiedziała, że Carly była ogromnie podekscytowana, kiedy udało jej się znaleźć pracę na wakacje, i jak ta praca doprowadziła do tego, że jej rzeźby znalazły się na wystawie.

– Pracuje pan z mamą – powiedziała, ale wciąż się wahała.

– Zgadza się. Poznaliśmy się na twojej wystawie. Jadę do restauracji, więc mogę cię podrzucić.

Otworzył zamki w drzwiach i przesunął wyżej okulary przeciwsłoneczne, jakby mu było wszystko jedno, jaką decyzję podejmie Carly. Zerknęła na zegarek, a potem obeszła maskę samochodu i wsiadła ze swoim lichym pudełkiem, które wyglądało jak staroświeckie pudełko na lunch. Było nawet metalowe i miało

rączkę.

Kiedy zobaczyła, że zwrócił na nie uwagę, powiedziała:

- Mój przybownik. Jak nie mamy dużo zajęć, pozwalają mi popracować nad moimi projektami na zapleczu.

Stucky kiwnął głową. Nic go to nie obchodziło. Na jego oko Carly w kieszeni luźnej bluzy też nosiła przybory. Wystawał z niej niewielki pędzel. Stucky pamiętał, że dziewczyna jest ładna, ale teraz, z minimalnym makijażem, była zachwycająca. Młodsza wersja Rity. Co najważniejsze, wiedział, jak wiele Carly znaczy dla swojej matki. Wiedział, że Rita zrobi wszystko, żeby ją odzyskać. Na to właśnie liczył.

Czekał, aż Carly zapnie pas. Mijały ich inne samochody, ale on powoli ruszył wzdłuż krawężnika. Celowo wcześniej majstrował coś przy pasie, żeby Carly musiała się odwrócić i poświęcić mu więcej uwagi.

- Nie pamiętam, jak pan się nazywa - powiedziała, patrząc w dół, między siedzenie i drzwi, i sięgając po pas.

Stucky wysunął strzykawkę z kieszeni i zdjął osłonkę.

- Mów mi Drew. - Wbił igłę w jej ramię.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Maggie zadzwoniła do Ganzy, bo chciała komuś powiedzieć, co się dzieje.

- Wracam tam z Wagnerem - oznajmił. - Szeryf Olson i jego gang będą na nas czekać.

Uśmiechnęła się na te słowa. Pamiętała szeryfa i jego uzbrojonych zastępców. Określenie gang wydawało się właściwe.

- A ja zamierzam sprawdzić kilka rzeczy. - I natychmiast zmieniła temat, żeby nie spytał, jakie to rzeczy. - Słyszałeś może, jak się czuje Cunningham?

- Robi wszystko, żeby go wypuścili. Myślę, że każą mu czekać na fizjoterapeutę, żeby mu dał jakieś wskazówki. Wiesz, że to go musi doprowadzać do szału.

Jakoś udało jej się zakończyć rozmowę, nie zdradzając Ganzie szczegółów swoich planów. Tego, dokąd się wybiera. Nie była pewna, jak by wyjaśniła, że znajduje się na parkingu w Karolinie Południowej i szykuje się do przekroczenia granicy z Florydą.

Minionej nocy, kiedy już upewniła się, że z matką wszystko w porządku - co prawda matka była zła, że córka ją obudziła, ale to wszystko - Maggie zdała sobie sprawę, że jeśli Stucky udawał konserwatora, żeby poznać jej matkę, zrobił to tylko po to, żeby ją zdenerwować. Co mu się udało.

Może chciał też zyskać trochę czasu. Od miejsca na Florydzie, którego adres zostawił jej w pojemniku na jedzenie na wynos, dzieliło ją trzynaście do czternastu godzin jazdy. Greg powiedział,

że konserwator był w ich mieszkaniu około szóstej po południu. To by znaczyło, że Stucky miał nad nią jakieś osiem do dziesięciu godzin przewagi. Adrenalina pchała ją naprzód, choć wiedziała, że on będzie na nią czekał. Wymyśliłby taki drobiazgowy plan, a potem by nie czekał?

Teraz, gdy wsiadła z powrotem do samochodu, zadzwonił telefon. Myślała o tym, żeby go wyłączyć. Nie chciała niczego więcej wyjaśniać Ganzie, Turnerowi ani Gwen. Nie rozpoznała wyświetlającego się numeru. Skoro Albert Stucky dostał się do jej mieszkania, to co mogłoby go powstrzymać przed zdobyciem numeru jej telefonu.

- Maggie O'Dell, słucham?

- Agentka O'Dell? - odezwała się jakaś spanikowana kobieta.

- Tak?

- Nie wiem, czy pani mnie pamięta. Jestem kelnerką w restauracji Gibsona. To ja... no wie pani... otworzyłam ten pojemnik.

- Oczywiście, pamiętam. Rita, zgadza się?

- Moja córka zaginęła. - Głos jej się załamał, ledwie wydukała kolejne zdanie: - Szaleję ze strachu. Nie wiem, co robić, do kogo zadzwonić. Myślę, że została porwana.

- Rito, czy pani córka jest blondynką?

- Tak. Skąd pani wie?

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

Stucky zabierał rozmaite rzeczy z samochodów swoich ofiar. Prawdę mówiąc, nie lubił nazywać ich ofiarami. Bardziej odpowiadało mu określenie „zdobycz”. W końcu wszystkie dostały szansę ucieczki. Zanim odstawił którykolwiek z samochodów na jego miejsce postojowe, przeglądał konsolę centralną, przegródkę na rękawiczki, torebki czy worki, które się tam znajdowały. Czasami nawet zaglądał pod siedzenia.

Jeden ze znalezionych skarbów pochodził z samochodu Paige Barnett. Na siedzeniu pasażera leżał stos listów. A w tym stosie list od jej siostry, w którym podała Paige swój nowy numer telefonu. Na kopercie znajdował się też adres Lydii Barnett w Fort Lauderdale na Florydzie. Stucky przechowywał takie rzeczy na wypadek, gdyby musiał zmienić teren. No i proszę, właśnie minął znak drogowy. Do Fort Lauderdale miał jeszcze czterdzieści kilometrów i niespełna godzinę do swojego ostatecznego celu.

Zjechał z międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć, żeby zjeść lunch i napełnić bak. Nie mógł się oprzeć tej okazji. Wyjął z koperty list i wybrał numer.

- Halo?
- Czy mówię z Lydią Barnett?
- Tak?
- Z tej strony zastępca Steele z biura szeryfa hrabstwa Warren w Wirginii.
- O mój Boże. Ma pan jakieś informacje na temat Paige?

- Jestem na Florydzie, przyjechałem w ślad za pewnym tropem.

- Na Florydzie?

- Tak, w okolicy Miami. Jest tu ktoś, kto może wiedzieć, co się stało z pani siostrą. Tak sobie myślę, czy znalazłaby pani czas, żeby się ze mną spotkać i to sprawdzić?

- Oczywiście. Zrobię wszystko, co się da. O mój Boże! Nie mogę uwierzyć, że może wreszcie czegoś się dowiemy.

Podał jej adres i zakończył rozmowę.

Pokręcił głową.

Poszło za łatwo, zdecydowanie za łatwo.

Potem zerknął w tylne lusterko. Oczy Carly wpatrywały się prosto w niego. Jakoś przekręciła się na bok.

Pora na kolejny zastrzyk.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Czwartek późne popołudnie

Miami, Floryda

Podczas długiej jazdy samochodem zrobiła kilka przerw, głównie po to, by uzupełnić benzynę i rozprostować nogi. Raz zatrzymała się, by kupić rzeczy, które wydały jej się potrzebne, w tym turystyczną lodówkę z lodem na dietetyczną pepsi i butelki z wodą. W Wirginii było dużo chłodniej i bardziej mokro niż zwykle o tej porze roku, ale na Florydzie słońce dawało się we znaki. Ilekroć wysiadała z samochodu, czuła na twarzy unoszące się z asfaltu fale gorącego powietrza, które zaparowywały okulary przeciwsłoneczne.

Jadła coś, chociaż nie czuła głodu, musiała jednak zadbać o to, by nie zabrakło jej protein. Tylko nieustający przypływ adrenaliny sprawiał, że była w stanie pokonać uciążliwe zmęczenie. Nawet gdyby mogła, nie pozwoliłaby sobie na sen. W tym momencie niewyspanie działało na jej korzyść. Taką w każdym razie miała nadzieję.

Kiedy dotarła do celu, wiedziała, co musi zrobić.

Na mapie podany przez Stucky'ego adres wskazywał, że jest to typowa dzielnica przeznaczona na magazyny. Teraz Maggie przyglądała się tej okolicy z wiaduktu na autostradzie. Już trzy razy tędy przejeżdżała. Chociaż budynki wyglądały na opustoszałe i zdewastowane, poczuła lekką ulgę, że Stucky nie skierował jej do kolejnego lasu.

Jedyną rzeczą, która nie dawała jej spokoju, był całkowity brak jakichkolwiek śladów życia. Strefy załadunkowe były puste, nie widziała żadnych samochodów ani ludzi. Drogi między magazynami wyglądały na spękane, ze skrawków trawnika wyrastały palmy, linie elektryczne zwisały między słupami. Ogrodzenie z łańcucha otaczało budynki, brama była wyłamana i leżała na ziemi. W magazynach nie pozostało nic, co wymagałoby zabezpieczenia i ochrony.

Wzdłuż bocznej ściany budowli biegły szyny. Po drugiej stronie ulicy znajdował się kolejny opuszczony budynek.

Gdy przejeżdżała tamtędy po raz drugi, zobaczyła białą furgonetkę przed największym z magazynów. Gdy przejeżdżała po raz trzeci, obok furgonetki parkował czarny SUV. Chciała raz jeszcze minąć ten budynek, ale wolała nie ryzykować, bo nie było tam dużego ruchu. Znalazła parking po drugiej stronie autostrady.

Według Susan Fuller – jedynej porwanej kobiety, która przeżyła – Stucky błyskawicznie paraliżował ofiary za pomocą zastrzyku. Maggie i Ganza przypuszczali, że używał ketaminy albo czegoś podobnego.

Ketamina może działać halucynogenie, uspokajająco i dysocjacyjnie. Z uwagi na jej właściwości stosuje się ją do narkozy. Ganza zauważył, że ten środek stał się również popularny jako narkotyk zażywany na imprezach, choć jest zakazany. Wywołuje gwałtowną euforię, a także uczucie unoszenia się w powietrzu czy utraty ciężkości i kontaktu z własnym ciałem. Halucynacje, podobne do wywoływanych przez LSD, też nie należą do rzadkości.

Maggie dowiedziała się, że większe dawki ketaminy mogą powodować bardziej ekstremalne i niebezpieczne skutki, znane

jako K-hole. Oznacza to właśnie niezdolność poruszania się, rodzaj paraliżu. Komunikowanie się jest trudne, a nawet niemożliwe. Silne poczucie oderwania się od własnego ciała i brak kontroli nad nim nie są już euforyczne, a raczej przerażające.

Wierzyła, że Stucky wstrzykuje swoim ofiarom duże dawki ketaminy. Jeśli miała wpaść w jego pułapkę i przeżyć, musiała być przygotowana na ten zastrzyk.

Przed wyjazdem z Richmond przeczytała wszystko, co znalazła na temat ketaminy, i dowiedziała się, jak można zapobiec jej skutkom. Wspomniano tam między innymi o niewyspaniu i dużych dawkach kofeiny. Wymieniono także benzodiazepiny, na przykład diazepam czy valium. Wciąż miała buteleczkę valium, którą zabrała z kryjówki matki.

I wciąż nie była pewna, czy zdecyduje się połknąć te tabletki, choć wiedziała, że to może być dla niej najlepsza ochrona przed pełnym efektem działania ketaminy. Obawiała się, że valium zwolni czas reakcji, a wiedziała, że będzie miała tylko jedną szansę na jeden zabójczy strzał.

Brak kontroli nad sytuacją był niepokojący. Ewentualność, że może stracić kontrolę nad własnym ciałem, po prostu ją przerażała.

Musi przywołać złość, którą poczuła, kiedy Cunningham został postrzelony. Przypomniła sobie widok i zapachy masowego grobu. Stucky wykorzystywał kobiety jak swoją zdobycz. Potem zabierał trofea i wyrzucał to, co pozostało z ich ciał, w głąb jaru, jakby były pojemnikami, których już nie potrzebował.

To samo zamierzał zrobić z Carly. Jeżeli Maggie go nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

Biała furgonetka i czarny SUV gdzieś zniknęły, kiedy Maggie szła wzdłuż szyn za magazynem. Na tylnej ścianie budynku nie było okien. Jedyne, jakie widziała, znajdowały się od frontu. Były to ziejące otwory z potłuczonymi szybami nad ogromną bramą garażową.

Znalazła przerwę w ogrodzeniu z łańcucha. Była już złana potem. Zostawiła kaburę w samochodzie. Nie chciała mieć przy sobie niczego, co by jej przeszkadzało. Wsadziła broń za pasek dzinsów i zakryła ją T-shirtem.

Oddychaj głęboko, powiedziała sobie.

Czuła spokój pomimo skoku adrenaliny. Powstrzyma tego drania. Na tym musi się skoncentrować. Ma jedną szansę. Jedną okazję. Musi celować w sam środek.

Poza bramą garażową od frontu znalazła jeszcze trzy wejścia do budynku. Jedno znajdowało się naprzeciw torów kolejowych w strefie załadunku. Omal go nie minęła, bo zasłaniały go sterty starych skrzyń. Kiedy weszła po betonowych schodkach na platformę, zobaczyła, że drzwi wiszą na jednym zawiasie. Były przekrzywione, na dole widniała dość szeroka szpara. Od bardzo dawna nikt z nich nie korzystał.

Przystanęła i nadstawiła uszu. Z wiaduktu dobiegał szum samochodów. Nad jej głową przeleciały dwie mewy. Gdy zbliżyła się do drzwi, zobaczyła, że może się przez nie precisnąć, nie robiąc zbyt wiele hałasu. Wyciągnęła Smitha & Wesson, ciesząc się, że ręce jej się nie trzęsą. Przykucnęła, wzięła głęboki oddech

i wcisnęła się do środka dołem, gdzie było najwięcej miejsca.

W smugach światła wpadającego przez dziurę w dachu unosiły się drobinki kurzu. Stały tu niezliczone rzędy ułożonych w stosy skrzyń, które nie pozwalały zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Ale Maggie zdała sobie również sprawę, że dzięki temu może się tam zakraść niezauważona.

Kiedy furgonetka i suv zniknęły, zastanawiała się, czy Stucky nie spodziewał się jej tak prędko. Czy to możliwe, że zostawił Carly, a sam po coś pojechał? Czy mogła mieć tyle szczęścia?

Serce tak jej waliło, że musiała pilnie nadstawiać uszu, by cokolwiek usłyszeć. Posuwała się naprzód małymi krokami, ostrożnie, jak najciszej. Potem nagle się zatrzymała i przyłgnęła plecami do znajdujących się za nią skrzyń.

Dobiegł ją jakiś dźwięk. Jakiś jęk. Jakby głos rannego zwierzęcia. Cichy, niski, przeciągły. Czekwała, czy się powtórzy. Minęły sekundy, zanim znów go usłyszała. Teraz zdawało jej się, że dźwięk dochodzi z frontowej części budynku.

Przyśpieszyła kroku, ściskając broń, gotowa wycelować i strzelić. Im bardziej się zbliżała, tym mocniej była przekonana, że ktoś został ranny. Ale niczego nie widziała. Na końcu każdej alejki skrzyń napotykała kolejną alejkę. Zatrzymała się i usiłowała spojrzeć między skrzynie.

I nic.

Wreszcie dotarła do końca następnej alejki i znieruchomiała. Po lewej zobaczyła czarnego suva. Drzwi pasażera były szeroko otwarte, ale z miejsca, gdzie stała, nie widziała wnętrza samochodu. Wyglądało na to, że szyba w tych drzwiach została czymś spryskana.

Maggie zbliżyła się odrobinę. Wciąż nie zlokalizowała źródła

dźwięku, choć była zdecydowanie bliżej. Nie spuszczała wzroku z otwartych drzwi samochodu, spodziewała się, że ktoś stamtąd wyskoczy. Była tak skupiona na tym, co jest przed nią, że nie zdawała sobie sprawy ze swojego błędu. Owszem, nastąpił jakiś ruch, ale nie w samochodzie. Dojrzała go, patrząc w boczne lustro.

Kiedy zaczęła się odwracać, poczuła ukłucie igły w ramię.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

- Chcę, żebyś patrzyła, jak to robię.

Zdawało się jej, że głos płynie z innego pomieszczenia. Nie wiedziała, jak znalazła się na podłodze ani ile czasu minęło. Suv stał naprzeciw niej, teraz mogła zajrzeć do jego wnętrza. Widziała powykręcane ręce i nogi, z siedzenia kapłała krew. Z boku leżał zakrwawiony kij bejsbolowy.

Młoda jasnowłosa dziewczyna siedziała oparta o samochód. Oczy miała szeroko otwarte i w taki sposób patrzyła na Maggie, jakby widziała coś przerażającego.

Gdyby tylko mogła się skupić i zobaczyć, o co chodzi.

I wtedy, całkiem jakby płynęła pod sufitem, go zobaczyła. Wysoki i szczupły, z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami, klęczał nad ciałem ze lśniącem skalpelem w dłoni. Ciął powoli, delikatnie przecinał skórę, a z każdym ruchem noża pojawiały się krople krwi.

Mężczyzna coś mówił. To jego głos słyszała, choć nadal brzmiał, jakby płynął do niej z oddali.

- Zawsze chcecie wiedzieć, dlaczego to robię - mówił mężczyzna. - Przecież wystarczająco dobrym powodem jest fakt, że sprawia mi to frajdę.

Uniósł głowę, a wtedy zobaczyła jego porażająco ciemne i puste oczy, a on się uśmiechał.

- Co o tym myślisz? Robię to, bo lubię.

Raczej nie oczekiwał odpowiedzi. Prawdę mówiąc, wyglądał na zadowolonego, że Maggie na to patrzy. Chociaż trudno jej było

widzieć wszystko dokładnie, skoro się nad nim unosiła w powietrzu.

- Nie lubię wściekłości. - Wskazał otwarte drzwi samochodu. - To marnotrawstwo energii. Ale ona nie powinna nikogo ze sobą przyprowadzać. Nie znoszę, kiedy są takie nieprzewidywalne.

Wytań ostrze, przekrzywił głowę i patrzył na nią.

- To wymaga ogromnej precyzji. Dlatego chcę, żebyś się temu przyjrzała. Nigdy dotąd nie wyjmowałem serca. - Wskazał na jasnowłosą dziewczynę, która bardziej się osunęła. Jakby na zawołanie rozległ się cichy jęk, który płynął z jej ust, chociaż wargi ani drgnęły.

Pochylił się nad ciałem i znów zaczął ciąć.

Tym razem poczuła ukłucie.

Jej spojrzenie zaczęło się przemieszczać. Widziała rzeczy z różnej perspektywy. Nagle znalazła się znów na podłodze, zamiast w górze. Choć jej wzrok wciąż był zamglony, już widziała, że ciało, które ciął, to jej ciało.

Nie czuła paniki. Zamiast tego ogarnął ją dziwny spokój. Jej serce nie szalało, oddychała rytmicznie.

Przypomniała sobie igłę. Narkotyk. Miał ją sparaliżować, pozbawić czucia, wywołać wrażenie unoszenia się nad ziemią. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Czy skutki zastrzyku mijały, czy też valium je zwalczało?

Już nie unosiła się w powietrzu, za to czuła ostrze skalpela. Nacinał tylko tyle, żeby pojawiła się krew, niezbyt głęboko. Nie było tak źle. Może jednak wciąż była trochę sparaliżowana i wszystkiego nie czuła. Czy to możliwe?

Jej dłonie znajdowały się pod brodą. Widziała je i czuła, że ma skrępowane nadgarstki. On pochylał nad nią głowę, więc nie widział jej palców, którymi próbowała poruszać. Udało się. Nogi

miała wyciągnięte przed siebie. Spróbowała poruszyć palcami w butach. Tak, mogła je zgiąć. Ale trudno jej było nie wzdrygnąć się z bólu.

Nie wzdrygaj się, powiedziała sobie. On nie może wiedzieć. Udawaj, że nic się nie zmieniło. Valium działało. Ketamina nie.

Kiedy podniósł na nią wzrok, po prostu na niego patrzyła, ani drgnęła. Nie odważyła się mrugnąć ani odezwać.

- To dopiero początek - powiedział. - Później cię wypatroszę.

Powiedział to tak zwyczajnie jak rzeźnik, który skończył kroić mięso.

- Muszę wszystko przygotować jak należy. To powinno być coś bardzo przyjemnego. Jeszcze nigdy nie wyjmowałem serca.

Podniósł się i spojrzał na nią z góry. Tym razem jej się przyglądał. Czy odgadł, że doszła do siebie? Nie mogła dopuścić do tego, by wstrzyknął jej kolejną dawkę. Nie byłaby w stanie pokonać skutków działania narkotyku, gdyby do jej organizmu dostała się kolejna dawka.

Ale Stucky odwrócił się i zniknął za tyłem czarnego suwa.

Maggie nasłuchiwała.

Nie odszedł daleko. Był blisko, gdzieś po drugiej stronie suwa. Słyszała trzaski i stukoty, jakby otwierał i zamykał metalowe szuflady. Przygotowywał się, wyjmował narzędzia niezbędne do wycięcia serca.

Maggie zgięła nogi w kolanach, cieszyła się, że ma nad nimi władzę. Jej umysł i jej wzrok usiłowały dogonić ciało. Rozejrzała się po betonowej podłodze w poszukiwaniu smitha & wessona. Oczywiście nie zostawiłby go na wierzchu, nawet będąc przekonanym, że Maggie jest pod wpływem leku.

Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, dokąd udał się Stucky. Jak blisko się znajdował. Jednocześnie sprawdzała ręce. Sznur,

którym skrępował nadgarstki, nie był mocno związany. Zrobił to trochę niechlujnie, licząc na działanie ketaminy. Nie związał jej nóg. Zaczęła wykręcać ręce do tyłu i do przodu.

Przewróciła się na bok i poczuła palący ból w brzuchu. Dziewczyna wiodła za nią przerażonym wzrokiem, ale milczała i się nie ruszała. Maggie przyłożyła policzek do zakurzonej podłogi, żeby spojrzeć pod suwem. Widziała Stucky'ego od kostek w dół. Stał obok skrzyni na kółkach.

Stuk i trzask. Otwierał i zamykał.

Wyjmował narzędzia, przygotowywał się. Był tak bardzo pewny siebie i tak bardzo arogancki, że nie słyszał, jak Maggie z trudem podnosi się na nogi. Nagle zakręciło jej się w głowie, była przekonana, że na powrót upadnie. To na pewno by usłyszał. Nie spodziewała się, że tak trudno będzie jej poruszać nogami.

Valium przestało działać, czuła, że puls jej przyśpieszył. Adrenalina wyparła spokój, wciąż jednak drażniąca mgiełka przesłaniała wzrok. Maggie słyszała, jak Stucky trzasnął szufladami, jakby skończył. Jakby miał już wszystko, co niezbędne.

Dziewczyna nadal wodziła za nią wzrokiem. Zdradzi ją niezależnie od tego, gdzie Maggie się ukryje. Po raz ostatni szarpnęła sznur wokół nadgarstków i pozwoliła mu spaść na podłogę.

Potrzebowała dosłownie kilku sekund.

I wtedy zdała sobie sprawę, że nie słyszy już żadnego trzasku ani stukotu.

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Stucky obszedł samochód. Ręce miał pełne rozmaitych narzędzi. Ze swojej kryjówki Maggie widziała tylko część jego postaci odbitą w bocznym lusterku. Natomiast nie widziała Carly, ale w duchu ją błagała: Proszę, nie zdradz mnie.

Obserwowała Stucky'ego w lusterku. Zanim w ogóle spojrzał na dziewczynę, zauważył zniknięcie Maggie.

- Co do diabła?

Podbiegła do niego od tyłu, gdy tylko zaczął się odwracać. Pierwsze uderzenie kija bejsbolowego trafiło go w ramię.

Niedobrze.

Ale przynajmniej go zaskoczyła i lekko się zachwiał. Narzędzia, które trzymał, z hukiem wylądowały na betonowej podłodze.

- Niech cię szlag, ty suko!

Zaczął się po coś schylać, a wtedy mocniej ścisnęła kij i znów się zamachnęła. Tym razem trafiła w bok głowy.

Otarł krew, a kiedy podniósł wzrok na Maggie, ujrzała jego wściekłość.

Próbował zablokować kolejny cios ręką. Rozległ się przerażający trzask, ale to nie był kij. To była kość.

Wrzask brzmiał jak głos dzikiego zwierzęcia. Rozwścieczonego dzikiego zwierzęcia. Kiedy się do niej zbliżył, nie wahała się. Cofnęła się i znów się zamachnęła.

Ktoś musi go powstrzymać.

Tak sobie mówiła za każdym razem, kiedy się otrząsał i próbował do niej zbliżyć. Za każdym razem, gdy się na nią

rzucał, jego wrzaski niosły coraz większy ładunek furii i wściekłości. A Maggie raz za razem atakowała kijem.

Kiedy wreszcie za którymś razem nie podniósł się z podłogi, znieruchomiała.

Nie była pewna, ile razy go uderzyła. Nie była też pewna, ile krwi na jej T-shircie i džinsach należało do niego, a ile do niej.

Później, kiedy Maggie pomagała ratownikowi wnieść Carly do karetki, ledwie pamiętała, jak związywała Stucky'ego. Carly jej pomogła. To pamiętała. Dziewczyna poruszała się powoli, ale robiła, co trzeba.

Policjanci, którzy odezwali się, kiedy wybrała dziewięćset jedenaście, sądzili, że jest kolejną ofiarą. Nie zadawali pytań... jak dotąd. A ona nie podała im żadnych informacji... jak dotąd.

Słyszała jednak, jak rozmawiali między sobą i przez radio o tym, że facet został pobity do nieprzytomności, a potem skrepowany.

- Wygląda na to, że dostał to, na co zasłużył.
- Mamy tu dwie osoby czekające na karetkę.
- I dwa trupy.

Stucky wciąż żył. Spętany kajdankami leżał na noszach w drugiej karetce w asyście policjantów.

Maggie machnęła ręką ratownikowi, który chciał obejrzeć jej rany. Nie krwawiła, nawet nie czuła żadnego bólu.

- Poczekam na kolejną karetkę - powiedziała.

Udało jej się dodzwonić do Rity. Poinformowała ją, dokąd zabrali Carly, i zapewniała, że dziewczyna nie jest ranna, że została tylko oszołomiona lekami.

Była zdziwiona, że Stucky nie zabrał jej telefonu, chociaż nie miała pojęcia, co stało się z jej bronią.

Przyjechał samochód techników kryminalistycznych. A także

kolejny policyjny radiowóz, dodatkowe mrugające czerwone i niebieskie światła w chwili, kiedy słońce zaczęło zachodzić. Maggie słyszała w oddali kolejne syreny. Pewnie spędzą tam całą noc, wiele rzeczy należało sprawdzić, zbadać. Nikt nie zauważył, kiedy Maggie się wymknęła. Ruszyła wzdłuż torów kolejowych i przeszła autostradę pod wiaduktem. Znalazła swój samochód w miejscu, gdzie go zostawiła. Usiadła za kierownicą i zamknęła drzwi.

Będą dziesiątki pytań, ale mogą poczekać do jutra.

Była zmęczona, potwornie zmęczona. Położyła ręce na kierownicy, oparła na nich czoło. Wciąż słyszała syreny. W końcu usiadła prosto i z turystycznej lodówki wyjęła butelkę wody. Odkręciła nakrętkę i wypila duszkiem do dna. Potem znów sięgnęła po telefon.

Pragnęła tak po prostu porozmawiać z kimś, kto nie będzie jej zadawał wielu pytań. Kto nie zrobi jej wykładu ani nie spyta, czemu wyłączyła telefon. Z kimś, kogo będzie interesowało tylko jej samopoczucie. Czy z nią wszystko w porządku.

Maggie znalazła numer i po dwóch sygnałach usłyszała:

- Gwen Patterson.
- Gwen, mówi Maggie.
- O mój Boże, tak się o ciebie martwiliśmy. Nic ci nie jest?

Zamknęła oczy, oparła głowę i powiedziała:

- Złapałam skurwiela.

Cisza. Była na tyle długa, że Maggie miała czas, by się zastanowić, czy dzwoniąc do Gwen, nie popełniła jednak błędu. Szykowała się na krzyżowy ogień pytań i poważny wykład.

Tymczasem Gwen powiedziała:

- Powiedz, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie.

PIĘĆ DNI PÓZNIJ

ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Poniedziałek

Quantico

Maggie czekała. Krzesło z twardym oparciem naprzeciw biurka Cunninghama wydawało się potwornie niewygodne. Anita powiedziała, że ma zaczekać na niego w gabinecie. Powinien przyjść za parę minut.

- Rozgość się - dodała Anita. - Przynieść ci coś do picia? - Gdy Maggie odmownie pokręciła głową, spytała: - Na pewno? Może trochę wody?

Po raz drugi potrząsnęła głową, a potem zastanowiła się, czy asystentka wie coś, czego ona jeszcze nie wie. Czy szklanka z wodą pomoże jej przetrwać wizytę w gabinecie szefa?

Nie, wątpiła, by cokolwiek jej pomogło.

Była ciekawa, ile Gwen powiedziała Cunninghamowi. Czy lojalność wobec niego znaczyła dla niej więcej niż złożona Maggie obietnica? No cóż, wkrótce się tego dowie.

Wciąż była zdziwiona, że Gwen się pokazała. Tak wiele z tego, co się wtedy wydarzyło, pamiętała jak przez mgłę. Wiedziała, że częściowo odpowiadały za to ketamina i valium. Ketamina może powodować utratę przytomności i pamięci, a także halucynacje. Chwilami Maggie zastanawiała się, co z tego, co zachowała jej pamięć, zdarzyło się naprawdę, a co było efektem ubocznym działania narkotyku.

Czy naprawdę masakrowała Alberta Stucky'ego kijem

bejsbolowym?

W koszmarach, które nawiedzały jej sny, widziała go, jak nacina jej ciało, jakby obserwowała to z góry. Ale to było naprawdę. Rana wciąż trochę krwawiła.

Kiedy przyjechała Gwen, Maggie zapomniała o tym powiedzieć. Nie, to nieprawda.

Nie zapomniała. Nie zamierzała jej tego nigdy powiedzieć.

Ale po pięciu czy sześciu godzinach jazdy do domu w Wirginii Gwen coś zauważyła, nim dostrzegła to Maggie. Krew z rany przesiąkała przez T-shirt.

- Ty krwawisz!

Nie pamiętała dokładnie jazdy na oddział ratunkowy. Czy to było w Daytona Beach? W Jacksonville? Nie była pewna. Pamiętała jednak zatroskaną minę Gwen. Troskę, która nie łączy się z wykładem ani połajankami. To było dla niej coś nowego.

Podejrzewała, że teraz czeka ją wykład Cunninghama. Wykład i reprimenda.

- Agentko O'Dell.

Przestraszył ją, wchodząc tak cicho. Odwróciła się, ale starała się na niego nie patrzeć. Jeszcze go nie widziała z laską. Lekko utykał, co miało być przejściowe, mimo wszystko nie była przygotowana na to, że będzie wyglądał tak bezbronne.

- Widzę, że dotarła pani bezpiecznie do domu.

- Tak, sir.

Skupiła się na swoich rękach leżących na kolanach. Powstrzymywała się, żeby nie zacisnąć dłoni w pięści. Nie chciała patrzeć, jak Cunningham siada w fotelu za biurkiem. Ile wysiłku to od niego wymagało.

Wysunął szufladę i wyjął kilka teczek.

Czy znów była wśród nich jejteczka osobowa?

Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Nie wiedziała, co dokładnie spotyka niesubordynowanego agenta. Choć niesubordynowany oznaczałoby, że po prostu nie posłuchała rozkazów. A jej sytuacja nie była taka prosta.

Nikt nie wiedział, że pojechała za Stuckym na Florydę. Nie zgłosiła nikomu, że znalazła pojemnik w lodówce w domu ani że był w nim list. Cunningham przebywał wówczas w szpitalu. Gdyby czekała na jego pozwolenie, Carly Burke najpewniej by już nie żyła.

Ale nie o to chodziło. Chodziło o coś więcej niż działanie wbrew rozkazom. Choć dopiero niedawno zaczęła pracę w terenie, znała zasady. Znała protokół. Działanie na własną rękę było nie do przyjęcia.

- Siostra Paige Barnett to jedna z ofiar - powiedział Cunningham, przeglądając zawartość teczek. - Lydia Barnett. Druga kobieta to przyjaciółka, która z nią przyjechała. Domyślam się, że Stucky udawał, że ma informacje na temat Paige, i zwabił Lydię do magazynu.

- To te ciała w suwie? - spytała Maggie, a gdy Cunningham skinął głową, dodała: - Widziałam samochód, jak stał przed magazynem. Musiały dopiero co przyjechać. Gdybym weszła ciut prędzej, mogłabym...

- Stop. - Uniósł rękę, jakby chciał ją zatrzymać w biegu, a ona się wyprostowała. - Ryzykowała pani życie i karierę, żeby uratować tę dziewczynę. Rozumiem to. Ale na tym dość. Nie wolno pani myśleć, że mogła je pani uratować. Nie mogliśmy wszystkich uratować. - Mówiąc to, intensywnie patrzył jej w oczy.

Nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekiwał, więc milczała.

- Z powodu tych dwóch morderstw Stucky na razie pozostanie na Florydzie. Jest też oskarżony o porwanie. Kiedy przyjdzie pora,

złoży pani zeznania. Do tego czasu pani i Ganza będziecie razem pracować nad pozostałymi ofiarami. Rozmawiała już pani z Keithem?

- Nie, sir.

- Keith i Wagner doliczyli się pięciu ciał. Mówię o szczątkach wydobytych z jaru.

Pięciu, i nadal liczyli. Nie wspominając o radnej z Bostonu. Maggie wiedziała, że było ich więcej.

Zauważyła, że Cunningham usiadł prosto i splótł ramiona na piersi. Przesunął się. Zdała sobie sprawę, że z powodu rany czuł się dużo bardziej niekomfortowo niż z jej powodu.

- Rita Burke powiedziała, że był barmanem w restauracji Gibsona. Zaczął pracować kilka miesięcy temu. Mówił, że uczy się w szkole gastronomicznej.

- Szkole gastronomicznej?

- Powiedziała, że był inteligentny i czarujący. I atrakcyjny.

Maggie kiwnęła głową. To jej nie zaskoczyło. O Tedzie Bundym mówiono, że był przystojny i czarujący. Chociaż szkoła gastronomiczna ją zaskoczyła.

- Był znany jako Drew, ale na podaniu o pracę napisał Dennis Andrew Nilsen. Rozpoznaje pani to nazwisko?

Po kilku sekundach zastanowienia kiwnęła głową.

- Przystojny, czarujący i inteligentny.

Dennis Andrew Nilsen był seryjnym mordercą, który zamordował co najmniej kilkunastu młodych mężczyzn w Londynie między tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym a osiemdziesiątym trzecim rokiem.

- Albert Stucky ponad dziesięć lat temu zarobił miliony dolarów - powiedział Cunningham - zanim odszedł ze swojej firmy komputerowej. O ile wiem, pewnego dnia po prostu zniknął.

- I został kimś innym.

- Myślę, że kiedy zacznie pani szukać, znajdzie pani kilka jego nazwisk. Obawiam się, że znajdziemy też więcej ofiar. - Znów na nią patrzył, przyglądał się jej, ale Maggie ani drgnęła. - Rozumiem, że zrobiła pani to, co uważała za słuszne. Miała pani dobrą intuicję, agentko O'Dell, ale w naszej pracy intuicja to nie wszystko. Mogła pani zginąć. To nie do przyjęcia. Czy to jasne?

Kiwnęła głową i czekała na reprimendę, kiedy Cunningham sięgnął do drugiej szuflady biurka. Tym razem wyjął rewolwer i położył go na środku blatu. To był jej smith & wesson.

- Policjanci z Miami znaleźli to w magazynie. Sprawdzili numer seryjny. Byli zaintrygowani, bo powiedzieli, że na miejscu nie było żadnego agenta FBI. Dwie ofiary. Dwie żywe osoby. Ale żadnego agenta.

Doczekała się. Mimowolnie wyprostowała plecy, jakby szykowała się na wysłuchanie wyroku. Już postanowiła, że nie będzie z nim dyskutować.

Cunningham pchnął rewolwer w jej stronę, mówiąc przy tym:

- Powiedzieli też, że z tej broni nikt nie strzelał. Gdyby strzelał, trzeba by przeprowadzić sprawę dyscyplinarną. Ale stwierdzili, że nie było żadnej strzelaniny. Żadnych ran postrzałowych. Mam ich pełny raport. - Postukał palcem w teczkę, nie spuszczać wzroku z Maggie. Urwał, jakby dawał jej szansę na wyjaśnienia, jednak ona milczała.

- Spodziewam się pani raportu do końca tygodnia. Czy to jasne?

Nie, nie do końca go zrozumiała. Czy naprawdę oddawał jej broń, zamiast ją zabrać?

- Agentko O'Dell?

Czekał, aż Maggie spojrzy mu w oczy, po czym rzekł:

- Ma pani z tym jakiś problem?

- Nie, sir.
- No to proszę wracać do pracy.

Tytuł oryginału: Before Evil
Pierwsze wydanie: 2017 by Prairie Wind Publishing, Omaha
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega
Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski
Korekta: Joanna Morawska

© 2017 by S.M. Kava

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: copyright by Tim Robinson. Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3497-9

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.